II 1.400.849

PODRÓŻ PO KSIĘŻYCU.

PODRÓŻ
PO KSIĘŻYCU,

ODBYTA PRZEZ

SERAFINA BOLIŃSKIEGO,

OPISANA PRZEZ

Dr. T. Tripplina.

Z KSIĘGOZBIORU
JÓZEFA
KORDZIKOWSKIEGO
W RADACH.

PETERSBURG.
NAKŁADEM I DRUKIEM BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA.

1858.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa, dnia 5/17 Marca 1857.

Starszy Cenzor, Radca honorowy
T. Hertz.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

II 1.400.849

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001020455468

WSTĘP.

Nie będziem pozywać z sobą czytelnika na księżyc, nie opowiedziawszy mu wprzódy, co o nim myśli świat naukowy, przyjmujący tylko to, co się da sprawdzić zmysłami naszego ciała; lecz zawsze zapowiedzieć musiemy, że traktat kosmograficzny, którym poprzedzamy podróż, dla nader licznych czytelników wyda się dziwnym, ciemnym, niezrozumiałym, bo dla pojmowania go wszędzie, trzeba posiadać zasadnicze, jeśli nie astronomiczne, to przynajmniéj matematyczne wiadomości. A zatém piękny nasz cel, połączyć pożytek z przyjemnością, naukę z zabawą, byłby chybionym, gdybyśmy byli uwarunkowali pojęcie podróży od pojęcia kosmografii księżyca. Zwalniamy zatém czytelników, nielubiących wysileń umysłowych od przekopywania się do jasnego światła przez labirynt selenografii, tusząc sobie jednakże, że po przebiegnięciu saméj podróży i po zapoznaniu się z jego interessującemi mieszkań-

cami, raczą wrócić do wstępu i przeczytać go z uwagą, na jaką zasługuje, bo istotnie zawiera w sobie ważne, może dla wielu naukowych ludzi jeszcze nieznane wiadomości, które zebraliśmy z wielkim mozołem, w kilku najnowszych dziełach.

SELENOGRAFIA

CZYLI

OPIS KSIĘŻYCA.

Księżyc jest zarówno, jak wszystkie ciała niebieskie które znamy, prawie doskonałą kulą. Jego średnica wynosi 480 mil geograficznych, albo nieco więcéj jak czwartą część średnicy ziemi; powierzchnia jego, wyrównywa trzynastéj części powierzchni ziemi. Połowa księżyca, która nam się pokazuje, nie jest obszerniejszą jak państwo Rossyjskie.

Księżyc służy naszéj ziemi za rewerber, ponieważ otrzymane od słońca światło, odbija na ziemię; ale blask, którym nasze oczy oświeca, pomimo, że dla nas tak bardzo użyteczny, jest przecie tak słabym, iż go światło dzienne, podczas zachmurzonego południa, sto tysięcy razy, zaś czyste światło słoneczne, trzysta tysięcy razy przewyższa. Piękność nocy oświeconéj od księżyca, wystawia nam tylko słaby obraz wspaniałego widoku, jaki ziemia na-

sza mieszkańcom księżyca sprawia. Widzą oni w niéj świecącą tarczę, cztery razy większéj średnicy, a trzynaście razy większéj powierzchni, niżeli my w księżycu widzimy, a to światło, które ich nocy oświeca, jest tak wielkie, że nawet my sami jego blask na księżycu dosyć wyraźnie dostrzedz możemy. Kilka dni przed i po nowiu księżyca, gdy się na zwróconéj onego stronie ku nam noc zaczyna, lub poranek zabłyśnie, tak, iż tylko wązka krawędź jego oświecona jest od słońca, przedstawiając nam odwróconą literę, cała reszta tarczy księżyca objaśniona jest tylko popielatym brzaskiem, okazującym wyraźnie wszystkie plamy księżyca. Księżyc w nowiu stoi między słońcem i ziemią; mieszkańcy strony księżyca zwróconéj ku ziemi, mają zatém noc, i widzą całą od słońca oświeconą połowę naszego planety; ziemia przyświeca im w pełném świetle, które całą tarczę księżyca owym popielatym brzaskiem okrywa. Jest to może najpiękniejszy widok, jaki nam teleskop przedstawia; ostra granica między dniem i nocą, nie jest na księżycu zaćmiona tak mocnym zmrokiem jak na ziemi; większa połowa księżyca przedstawia nam najpiękniejsze krainy, z pagórkami i dolinami, oświecone czarowném światłem ziemi, a bezpośrednio obok wązki pasek, który oświecony od ćmiącego blasku słońca, nawzajem ziemię oświeca.

Obieg księżyca.

Księżyc znajduje się w takiéj odległości od słońca jak ziemia; musi zatém i w równym czasie co ziemia, to jest w $365^1/_4$ dniach, swój obieg około słońca odbyć, co również stałoby się, gdyby nawet nie towarzyszył ziemi. Ponieważ się obadwa na jednéj stronie słońca znajdują, nie może się zatém księżyc nigdy od ziemi oddalić, a przyciągany siłą środkową ziemi, musiałby razem z nią zejść się, gdyby prócz siły rzutu, toczącéj go na około słońca, nie był otrzymał jeszcze innéj, która stosowna do jego odległości od słońca, zawsze go w téj saméj odległości utrzymuje i na około ziemi prowadzi. W czasie jednego roku, gdy te obadwa ciała niebieskie obieg swój w odległości 20 milionów mil około słońca odbywają, odbywa także księżyc ruch w odległości 51,500 mil $12^1/_3$ razy koło ziemi. Aby sobie jaśniéj wytłómaczyć ten ruch połączony, musimy się myślą przenieść do jego środkowego punktu, to jest do słońca. Tu widzielibyśmy ziemię właśnie w téj wielkości, jak nam się pokazuje Saturn, odbywającą bardzo regularny obieg od prawéj ku lewéj stronie w $365^1/_4$ dni, gdy ledwie widziany punkt w koło ziemi porusza się, odbywając każdy obrót około niéj w $29^1/_2$ dni, tak iż w tym czasie, to na prawo, to na lewo ziemi,

to przed nią, to za nią się znajduje; jednak się nigdy nie oddala od niéj więcéj, jak tylko o czwartą część średnicy księżyca, tak jak ona się nam pokazuje.

Odmiany księżyca.

Z tego biegu około ziemi i słońca, powstają owe wszystkie odmiany i zaćmienia księżyca. Stanowisko księżyca pomiędzy ziemią a słońcem, zowie się nowiem księżyca; ponieważ będąc prawie przez pięć dni niewidzialnym, a w kilka dni późniéj zwrócony jest księżyc tak dalece ku lewéj czyli wschodniéj stronie, iż po prawéj części jego od słońca oświeconéj połowy, pokazuje się nam w postaci wązkiego paska; to zjawisko przybywającego księżyca, którego wydrążenie coraz więcéj się wypełnia, przybiera w siedm dni po nowiu postać półtarczy i nazwisko pierwszéj kwadry. Granica światła, którą jasna część księżyca od ciemnéj oddziela i która dotąd wklęsłą była, a teraz w prostą zamieniła się linię, przybiera wypukłą postać, która się coraz daléj po ciemnéj części księżyca rozszerzając, w 15 dni po nowiu daje się widzieć w pełni księżyca, jak całkiem oświecona okrągła tarcza; bo gdy ziemia znajduje się w tenczas pomiędzy księżycem a słońcem, pokazuje nam więc całą od słońca oświeconą połowę. A że się

księżyc jeszcze daléj ku lewéj stronie posuwa, zwraca się więc do nas na prawéj stronie zwolna część ciemnéj jego połowy; oświecona część ubywa, wypukła granica światła staje się po siedmiu dniach prostą linią i księżyc okazuje się nam w ostatniéj kwadrze. Księżyc nie przestaje zbliżać się do swego stanowiska, między ziemią i słońcem; część widzialna zmniejsza się, linia graniczna światła robi się wklęsłą, która się coraz bardziéj zwęża, aż nakoniec ostatnia pręga niknie, i prawie po 30 dniach nów księżyca pomiędzy słońcem i ziemią nastaje i znowu prawie przez całe pięć dni bywa dla nas niewidzialnym.

Kiedy księżyc, w kilka dni późniéj, na lewo słońca staje się widzialnym, i postępuje za słońcem, podług powszechnego obrotu ciał niebieskich od lewéj ku prawéj stronie, zachodzi więc po niém, i pozostaje dla nas tém dłużéj widzialnym, im więcéj się na wschód od słońca oddala. Po siedmiu dniach, wynosi ta odległość 90°, lub czwartą część całego nieba, które się w 24 godzinach obraca; pierwsza kwadra więc zachodzi w sześć godzin po słońcu czyli o północy. Podczas przybywającego księżyca, przyświeca nam zatém nieustannie wieczorem, a po pierwszéj kwadrze jeszcze po północy, i z każdym dniem dłużéj. Pełnia księżyca stoi na przeciwko słońca; wschodzi zatém razem

z zachodem słońca, a zachodzi razem z jego wschodem, o północy stoi na południku i świeci od wieczora aż do rana. Gdy się więc księżyc ku słońcu zbliża, tak że po jego prawéj stronie stoi, natenczas wschodzi każdego dnia późniéj czyli na krótki czas przed wschodem słońca, ostatnia kwadra o czwartą część nieba ku zachodowi od słońca jest oddalona, wschodzi na sześć godzin przed wschodem słońca, więc o północy, i w pierwszych godzinach nocnych wcale nie świeci, a w krótce ubywający księżyc świeci w godzinach rannych, lecz pokazuje się nam w przeciągu większéj części dnia, jak blada chmurka, aż nakoniec światło księżyca ustaje, a nów razem ze słońcem niewidzialnie wschodzi i zachodzi.

Podobne zjawiska, które jednak przeciwnie wydarzają się, sprawia nasza ziemia księżycowi. Kiedy nów stoi pomiędzy słońcem a ziemią, natenczas znajduje się ona względem księżyca w tém samém położeniu, jak pełnia księżyca względem nas; ukazuje się jemu cała od słońca oświecona połowa ziemi. Podczas pełni, stoi ziemia między słońcem a księżycem, i okazuje mu stronę odwróconą od słońca, czyli stronę ciemną; ziemia jest tém dla księżyca, czém jest nów księżyca dla ziemi. Inne zjawiska następują tym samym sposobem, tylko, że przybywające światło ziemi z ubywającym księ-

życem, a ubywające światło ziemi z przybywającym księżycem przypada.

Zaćmienia księżyca.

Kiedy nów księżyca przechodzi pomiędzy ziemią a słońcem, natenczas ten nam czasem źródło światła całkowicie lub po części zasłania; czarna okrągła tarcza księżyca, wstępuje w prawą czyli zachodnią stronę słońca i ku wschodowi pod niém przesuwa się. Ponieważ tarcza księżyca, stosownie do jego odległości od ziemi, już większą już mniejszą aniżeli słońce nam się okazuje, przeto księżyc jeżeli bieg jego przypada na sam środek słońca, zakrywa nam całą tarczę słońca, albo sprawia zupełne zaćmienie słońca; lecz w ostatnim wypadku, pozostanie jeszcze niezakryty pręg jasny czyli obwódka w koło księżyca, a przeto następuje zaćmienie księżyca w kształcie pierścienia. Gdy pozorna wielkość słońca i księżyca mało co się różnią, przeto nie może takie zjawisko na pewném miejscu ziemi dłużéj, jak kilka minut być widzianém. Że jednak z powodu biegu księżyca i obrotu ziemi około siebie, w każdéj chwili inne miejsca ziemi w potrzebne do tego położenia przypadają, to jest: że są w prostéj linii ze środkiem słońca i księżyca, więc zupełne zaćmienie słońca tylko w ogólności pół piątéj godziny na ziemi widziane

być może. Jeżeli zaś księżyc nie przechodzi przez środek słońca i zakrywa tylko jedną część jego, natenczas powstaje częściowe zaćmienie słońca, które na każdém miejscu ziemi, po kilka godzin, a na kuli ziemskiéj w ogóle siedm godzin trwać może.

Kiedy pełnia księżyca po za ziemię przesuwa się, wstępuje czasem cień ziemi, który ona jak każde inne ciemne ciało, ku przeciwnéj światła stronie rzuca; ziemia pozbawia księżyca całkiem lub w części światła, a wtenczas powstaje całkowite lub cząstkowe zaćmienie księżyca. Ponieważ ziemia okrągła jest i mniejsza od słońca, rzuca więc cień w kształcie ostrokręgu, którego koniec daleko za nią przypada i który co raz węższym się staje, im daléj się od niéj oddala. Zaćmienie więc słońca będzie większe albo mniejsze, i trwać może dłużéj lub króciéj, podług tego jak księżyc mniéj lub więcéj oddalony jest od ziemi i bliżéj lub daléj od środka cienia przechodzi. Najdłuższe zaćmienie księżyca przypada wtedy, kiedy księżyc w zbliżeniu ku ziemi przez środek cienia przechodzi, a wtenczas może całkowite zaćmienie księżyca widzialném być w ogólności przez 2 godzin, minut 18, zaś całe zaćmienie przez godzin 4, minut 38.

Zaćmienia księżyca mogą więc nastąpić podczas pełni księżyca, równie jak zaćmienie słońca

tylko podczas nowiu księżyca. Z położenia drogi księżyca do ekliptyki wypływa, iż w trzech miesiącach jedno tylko zaćmienie nastąpić może, lub ściśléj oznaczając, że zazwyczaj w $18^1/_2$ latach, czyli 223 miesiącach, 70 zaćmień następuje, z których 29 księżyca, a 41 słońca; tak iż na każdy rok w przecięciu, 4 zaćmienia przypadają. Bywają lata, w których 4 zaćmienia słońca, a 3 księżyca; w innych zaś tylko dwa zaćmienia słońca następują, a księżyca żadne. Chociaż jednak pierwsze częściéj się przytrafiają na ziemi, aniżeli drugie, przecież te na pewném oznaczoném miejscu są trzy razy rzadziéj widzialnemi, niżeli zaćmienia księżyca, i można przyjąć, że częściowe zaćmienie słońca, raz we dwa lata na pewném miejscu przytrafia się, całkowite zaś raz tylko na 200 lat. Podobneż zjawiska przytrafiają się na księżycu. Księżyc rzuca również cień za sobą, który podczas nowiu pada na ziemię, lecz dla małéj objętości księżyca tak nieznacznym jest, iż mieszkańcy księżyca natenczas, kiedy my całkowite zaćmienie słońca mamy, cień swego planety w postaci małéj, czarniawéj, w mglistą chmurkę zakrytéj plamki, lub jeżeli nasze zaćmienie słońca jest w formie pierścienia, wtenczas tylko jak gdyby małą chmurkę, ponad ziemią przesuwającą się spostrzegają. Lecz jeżeli pełnia księżyca wstępuje w cień ziemi, na-

tenczas zasłania mu ziemia słońce, a najdłuższa trwałość całkowitego zaćmienia słońca na księżycu, wynosi również $4^1/_2$ godzin.

Pory roku na księżycu.

Księżyc ma równie jak ziemia rok o $365^1/_4$ dniach, a miesiąc po $29^1/_2$ dni, w którym czasie pokazują się mu wszystkie zaćmienia i odmiany, jakie na księżycu uważamy, tylko w przeciwnym porządku. Na księżycu mają zaćmienie słońca, kiedy my mamy zaćmienie księżyca, zaś zaćmienie księżyca, kiedy u nas jest zaćmienie słońca, a ciemna część ziemi pokazuje się księżycowi zawsze w téj saméj półokrągłéj postaci, jak się nam jasna część księżyca okazuje. Z tém wszystkiém znajdujemy przy tych pozornych zgodnościach w biegu księżyca jedną okoliczność, która tam wcale inne zjawiska, nawet wcale inną naturę zdziałać musi, jak my mamy w udziale, a to jest ta okoliczność, iż księżyc zawsze w jedną stronę jest zwrócony ku ziemi. Następuje z tąd, że księżyc w czasie 29 dniowego obiegu około ziemi, także się raz około swéj osi obraca. Ten obrót około osi, musi mieć takie same położenie, jak droga księżyca około ziemi, gdyż inaczéj części tylnéj połowy księżyca, w górze i na dole musiałyby się okazać.

Równie tak szczególna różnica zachodzi co do

dni. Ponieważ księżyc w pełni tą samą stroną zwraca się do słońca co i do ziemi, nów zaś przeciwną stroną, a zatém w ciągu jednego miesiąca w $29^1/_2$ dni, powoli wszystkie części księżyca zostają od słońca oświecone, przez co dzień na księżycu i miesiąc synodyczny księżyca są jednakowe, to jest: 29 do 30 dni. Każde miejsce na księżycu widzi słońce nieprzerwanie 15 dni nad sobą, i tak długo zostaje pod horyzontem; na całym księżycu są zawsze dzień i noc równe, a oboje trwają po 15 dni. Tak więc jak ogrzewanie na księżycu bardzo jest nierówne, tak światło zachowuje się zawsze jednostajnie, a przynajmniéj we względzie trwałości, żadna strefa nie widzi słońca dłużéj jak druga. Że jednak ten czas dosyć długo trwa, więc można powiedzieć, że każde miejsce księżyca, jeżeli tam pomiędzy temperaturą dnia i nocy podobna różnica jak u nas zachodzi, w czasie miesiąca, który oraz jest dniem jego, wszystkie pory roku odbywa, ma również lato jako téż i zimę z 15 dni złożoną, i że jego wiosna i jesień, z rannemi i wieczornemi godzinami, które tam 30 razy dłużéj trwają, przypada. Obrót codzienny jest bowiem na księżycu 30 razy powolniejszy, niżeli na ziemi, a w czasie 30 dni widzą mieszkańcy księżyca tylko raz wschodzące i zachodzące słońce i wszystkie gwiazdy. Mieszkańcy środka obróconéj do nas

strony księżyca, widzą naszą ziemię jako świecącą kulę, o cztery razy większéj średnicy niżeli słońce, nieustannie nad swemi głowami, gdy tymczasem słońce i wszystkie gwiazdy, przesuwają się po za tém wielkiém ciałem, lub też obok niego, i kreślą okręgi, które na horyzoncie tego miejsca są prostopadłemi. W równym czasie przybiera, bo nieruchome ciało, wszystkie odmiany od pełni do nowiu; jego światło przybywa po południu, z rana ubywa, a w południe całkiem niknie. Mieszkańcy krawędzi widzialnéj tarczy księżyca, widzą ziemię nieustannie w swym horyzoncie w tém samém miejscu, albo raczéj bardzo mało podnoszącą się i zniżającą, gdy tymczasem inne ciała niebieskie, albo są w jedném położeniu z horyzontem, lub też takowy pod jednakowym kątem przerzynają. Pierwsze ma miejsce na obydwóch punktach, najwyższym i najniższym widzialnéj nam tarczy księżyca, mają one słońce nieustannie w horyzoncie, a gwiazdy w jednéj połowie nieba są zawsze nad horyzontem, zaś te w drugiéj połowie są zawsze niewidzialnemi. Mieszkańcy innych części przedniéj tarczy księżyca, widzą także ziemię prawie nieruchomą, w pewnéj wysokości nad horyzontem; mieszkańcy tylnéj połowy, nie widzą nigdy ziemi.

Korzyści mieszkańców księżyca w większéj znajomości naszéj ziemi.

Ziemia, przez swój obrót, pokazuje się mieszkańcom księżyca w czasie 24 godzin, ze wszystkich stron, gdy my tylnéj części księżyca nigdy nie widzimy. Selenici, jeżeli są zaopatrzeni w bliskowidze, lub jeżeli mają bystrzejszy wzrok niżeli my, mają pewnie, chociaż nie tak dokładną, lecz zupełniejszą mappę ziemską niżeli my. Dla nas, ziemia jest obrazem za bliskim dla oczu, abyśmy dokładnie ogół przejrzeć mogli, jest to dekoracya teatralna, na któréj z bliska tylko miejsca kolorowane widzimy, lecz które w należytém oddaleniu pokazują wyraźnie co przedstawiają. W księżycu, pewno spostrzeżono za pierwszym rzutem oka nad czém u nas tak długo się spierano, że ziemia jest kulą spłaszczoną przy biegunach; Ameryka i Australia, na długi czas przed Kolumbem i Kookiem, odkrytą była w księżycu, a owo od naszych geografów nierozwiązane pytanie, względem północno-zachodniéj i północno-wschodniéj drogi do wschodnich Indyi, albo względem kraju koło bieguna południowego, od astronomów księżyca już dawno rozwiązaném zostało. Wszystkie te odkrycia na naszym planecie, widok ogromnéj kuli ziemskiéj, nie zmieniającéj miejsca w zenicie albo w ho-

ryzoncie, we 24 godzinach swoje morza, swoje kraje i góry we wszystkich pięciu częściach świata okazując i w 30 dni wszystkie postaci światła, od najpierwszéj srebrnéj nitki, aż do zupełnie oświeconéj tarczy, przyjmując światło daleko przewyższające pełnię księżyca, wszystko to jest wyłączną własnością widzialnéj nam połowy księżyca. Mieszkańcy tylnéj połowy, mają przez 15 dni zupełnie ciemną noc, która tylko przez słaby blask gwiazd poniekąd złagodzoną bywa; nie mają oni o tém wspaniałém widowisku centralnego ciała, około którego niewidząc go, swój bieg odbywają, żadnego wyobrażenia. Możemy sobie wyobrazić, z jakiém podziwieniem, opowiadania swych sąsiadów o tém ogromném świecącém ciele tam słuchają, a może powątpiewają i można sobie pomyślić, z jaką ciekawością lub pobożnością, pragną tylko słabe wyobrażenie zrobić o pierwszém wrażeniu, jakie ten wspaniały widok na owych hyperborejczyków uczynić musi. Jednak dla mieszkańców tylnéj części księżyca, blisko krawędzi mieszkających, dość jest odprawić kilka mil drogi, dla odkrycia zupełnie nowego świata. Ściślejsze rozważenie tego widowiska, posłuży nam do zrozumienia, cobyśmy z księżyca widzieć mogli.

Oprócz słońca i gwiazd nieruchomych, nie znamy żadnych ciał świecących; wszystkie planety i księ-

życe, świecą tylko tak dalece, ile na nich padające światło słońca znowu odbijają. Jednakowoż nie wszystkie części, któremi powierzchnia ziemi, a podobno także powierzchnie innych planet są okryte, w równym stopniu światło odbijają. Niektóre części świecą zatém więcéj, drugie mniéj; naturalną jest więc rzeczą, iż nie tylko każdy planeta, podług szczególnéj natury swéj powierzchni, posiada właściwe światło, że Wenus i Jowisz, Marsa i Saturna przewyższają w jasności, lecz że także powierzchnia każdego planety, okryta jest mniéj lub więcéj jasnemi lub ciemnemi płatkami. Ciało wcale nieprzezroczyste, koloru białego lub jasnego, odbija światło mocniéj, niżeli ciemne lub przezroczyste. Woda przepuszcza, jak każde inne przezroczyste ciało, wiele promieni światła, bez odbijania takowych, i otrzymuje przez to w znacznéj odległości czarniawy kolor, a puszcze afrykańskie białym okryte piaskiem, albo stepy syberyjskie jeszcze bielszym śniegiem przybrane, świecą mieszkańcom księżyca daleko mocniéj, niżeli czarne lasy północy, albo Ocean Wielki. Inną niemniéj istotną cechą, jest zupełnie równa powierzchnia wody, którą jako ciało płynne, za pomocą swego ciążaru, samo przez się przyjmuje. Morze okaże się więc jako gładka czarniawa powierzchnia, na któréj ani światło, ani cień, ani żadna odmiana kolorów miejsca

nie ma; gdy się przeciwnie, ziemia przez nierówność swoich powierzchni i rozmaitość kolorów odznacza.

Przez mniéj lub więcéj ukośne położenie przedmiotów względem słońca, oświecającego takowe, kraina, która inaczéj byłaby podobną prostemu zarysowi, otrzymuje cienie malownicze. Równiny są okryte szarym cieniem, dopóki im prostopadle spadające promienie słońca, weselszego wejrzenia nie dodadzą, a góry, rzucają ku stronie odwróconéj od słońca, długie cienie, na sąsiednie płaszczyzny, które się za zbieżeniem południa zmniejszają. Granitowe szczyty gór, błyszczą jak dyamenty, a zapadłe otchłanie, pokazują nam wygasłe wnętrza wulkanów. I tak u nas mieszkańcy księżyca o tym czasie, gdy jest południe i nów, widzą Europę, Afrykę i Azyę, jako nierozdzielną massę, jaśniejącą z niezliczonemi odmianami kolorów, światła i cieniów, przerznięte szaremi dolinami i białemi górami, otoczone z trzech stron jednakową czarną równą płaszczyzną. Po 12 godzinach, okryta jest prawie cała ziemia szarym cieniem, z którego płaszczyzny, niezliczone większe i mniejsze jasne punkciki (wyspy południowego morza) wysterczają, i która od góry aż do dołu wązką jasną pręgą (Ameryką, odznaczającą się przez nader jasne góry), jest przerzniętą.

Wszelako, to poznałoby bystre oko z księżyca bez pomocy teleskopów; lecz odkrycia na naszéj ziemi, któreby się za pomocą Herschla teleskopu w księżycu dozwoliły uczynić, muszą się wydawać niepodobne do wiary dla tego, który sam je doświadczał. Widzimy przez średnie dalekowidze w księżycu przedmioty, które nie są większe nad 1000 stóp, a poznajemy dokładnie ich postać, jeśli średnica wynosi 4000 stóp, czyli szóstą część mili. Przez dwukrotne podobne powiększenie, dają się widzieć przedmioty, nie większe naprzykład, jak Warszawskie obserwatoryum, o cztery razy zaś większe, naprzykład jak teatr Warszawski, dają się poznać bardzo wyraźnie w swéj postaci. Nie ma więc żadnéj wątpliwości, iż dostrzegacz zaopatrzony dobremi instrumentami na księżycu, rozeznać może nie tylko pasma gór, lecz i pojedyńcze góry, nie tylko nasze miasta i obozy, lecz nawet w białym piasku, albo jasno zielonéj niwie, czarną nitkę biegu większych rzek, a nawet zmiany, jakie natura lub ręce ludzkie na ziemi utworzą.

Czy istotnie księżyc jest zamieszkałym?

Otoż pytanie, które od dawnego czasu bardzo wiele ludzi sobie zadaje, a najuczeńsze akademie zajmują się rozwiązaniem tego pytania z taką pil-

nością; rok rocznie przybywają argumenta, rzucające na tę kwestyę i światło i cienie.

Idzie naprzód o dowiedzenie, czy księżyc ma atmosferę.

Jeśli ten planeta nie posiada atmosfery właściwéj sobie, do atmosfery naszéj ziemi lub innych ciał niebieskich mniéj więcéj podobnéj, wówczas żadne żyjące stworzenie, organizacyą swoją, mniéj więcéj do naszéj podobne, żyćby nie mogło, ani nie zdołało na księżycu.

Już w połowie siedmnastego stulecia, wielki Hevelius, astronom Gdański, marzył o mieszkańcach księżyca, a te marzenia wykwitły z pośród najsumienniejszych obserwacyi, które do tego stopnia zadziwiły i oczarowały, że jego monarchowie, nawet Wielki Ludwik XIV, zaszczycali astronoma Gdańskiego przyjaźnią. Hevelius wierzył w mieszkańców księżyca, wierzył takoż w jego atmosferę.

Późniéj inni astronomowie, do tego stopnia przekonani byli o istnieniu rozumnych organicznych stworzeń na księżycu, że się łudzili nadzieją ujrzenia ich, a nawet wejścia z niemi w jakiś rodzaj porozumienia.

Ale na nieszczęście, pomiędzy największymi astronomami byli i tacy, co wszelkiemi siłami od-

pychali wiarę w Selenitów, to jest mieszkańców księżyca. Pomiędzy innymi wielki Laplace.

Jakto? gwiazda mająca czterysta ośmdziesiąt mil geograficznych średnicy, i przeszło dwa tysiące mil obwodu, miałażby tylko za latarkę służyć nocom naszym, i to jeszcze, nawiasem powiedziawszy, za bardzo niedoskonałą latarkę? Taka świetna, duża gwiazda, miałażby być pozbawioną mieszkańców, kiedy inne, daleko mniejsze, jak naprzykład Pallas, najniezawodniéj niemi się cieszą?

Ach! jakbyśmy żałowali Selenitów, gdyby w istocie nie istnieli! Jak pyszny widok musi nasza ziemia przedstawiać księżycowi! Wystawcie sobie gwiazdę, ukazującą się w postaci okrągłéj tarczy, przewyższającéj o trzynaście razy średnicę tarczy księżyca, jak ją widzimy z naszéj ziemi i świetniejącéj trzynaście razy większym blaskiem od księżyca; wystawcie sobie ten majestatyczny ogrom blasku, zawieszony na zenicie, opromieniający ognistą purpurą księżyc; to musi być istotnie widok, na którego opisanie, w żadnéj fantazyi nie starczy pojęcia. A nasza ziemia, ma przedstawiać to świetne widowisko próżnemu teatrowi, widowni, w któréj nie ma ani oka, ani pojęcia, ani uwielbienia?

I nasze morza, nasze góry, pola, jeziora, miasta, rzeki, wsie i wielkie gmachy, nasze teatra

i pałace, obracają się około księżyca, i nie są podziwiane przez jego mieszkańców?

My wprawdzie, jak to wiemy z tego, co się poprzednio powiedziało, widzimy tylko jedną hemisferę księżyca, ale Selenita, jeżeli istnieje i żyje w warunkach zbliżonych cokolwiek do naszych, przeniesie się z łatwością za pomocą kolei żelaznych na drugą hemisferę, i tam znajduje inny zapas widoków i nowych zachwyceń, używa urozmaiceń i nowości, o jakich my wyobrażenia nie mamy.

Nie! gdzie takie znajduje się piękno, tam muszą być dusze, zdolne je podziwiać. Stwórca nie mógł je stworzyć dla ślepych, dla bezmyślnych, dla niczego.

Wiemy, że na téj drugiéj hemisferze księżyca, dla nas niewidzialnéj, noc następuje po dniu co czternaście dni, gdy tymczasem hemisfera księżyca dla nas widzialna, używa przez dni czternaście światła słońca i blasku ziemi, i podczas czternastodniowéj nieobecności słońca, pozostaje oświetloną blaskiem naszego planety.

Nie możemy się wyrzec wiary, że światło, drogi dar Nieba, tak obficie przyświeca martwemu ciału. Tam gdzie światło, tam jest życie, w prostém i przenośném znaczeniu; tam gdzie światło, tam powstaje jego godne życie samo z siebie. Jeszcze żadna iskra światła, na próżno nie została wypotrze-

bowaną od stworzenia świata do obecnéj chwili, a zatém wierzmy w istotność życia na księżycu, nawet gdyby innych na to nie było dowodów. Majestat cudów natury, powinien być i jest podziwianym wszędzie, gdzie go Stwórca umieścił; i Selenici są istotami używającemi daleko wyższego piękna jak my, a zatém są daleko doskonalszemi od nas, przynajmniéj w poezyi muszą nas przeskrzydlać, może nawet skrzydłami są uposażeni, jak już nie jeden utrzymywał astronom.

Ale ludzie nie lubiący wierzyć w żadne wyższe doskonałości, a takich jest niezmierne mnóstwo na naszéj ziemi, ale ludzie mierni duszą, chociażby wysoko stali nauką, utrzymują jednakże do upadłego, że księżyc pozbawiony atmosfery, a zatém i wody i ziemi roślinnéj, nie może wyżywić ani roślin, ani zwierząt, ani Selenitów, to jest istot obdarzonych rozumem i wolą.

Dzięki Bogu! najnowsze doświadczenia wykazały zupełną mylność tego zdania, ubliżającego naszemu uczuciu i godności księżyca.

Pan Pompolio de Cuppis, uczony astronom Włoski, widział własnemi oczami przez bardzo dzielny teleskop nowożytnego wynalazku, jak się promienie, blisko krańca księżyca przechodzących gwiazd, odbijały w jego atmosferze. A potém kilku innych astronomów, pomiędzy nimi Pan Leverrier, spra-

wdziło w sposób jak najściśléj zadowalniający owo spostrzeżenie. Księżyc jest opatrzony, otoczony atmosferą, o tém nie ma już wątpliwości; ta atmosfera nie sięga wysoko, podobno wznosi się tylko na półtory mili po nad powierzchnią księżyca, gdy tym czasem atmosfera naszéj ziemi, do wysokości ośmiu mil dochodzi, ale naszemu planecie potrzebna wyższa atmosfera, skromniejszy od nas co do rozmiarów księżyc, zadawalnia się mniejszą; wszystko przekonywa, że na tym świecie, wszystko znajduje się w jakimś dziwnie stałym, chociaż nie zawsze jeszcze docieczonym i uznanym stosunku. Większym od nas planetom, potrzeba wyższéj atmosfery, bo większe w nich rosną rośliny i oddychają zwierzęta; olbrzymy o tyle wyżsi od nas, o ile wieża Strasburska wyższa od naszego wiorstowego słupa, mają żyć na planecie Uranus; a znów my, w porównaniu z mieszkańcami księżyca, wyglądamy najniezawodniéj jak słupy wiorstowe, obok kręgli.

Na jednéj z najmniejszych planet, zwanéj Pallas, mającéj tylko dwadzieścia sześć mil geograficznych średnicy, słonie nie mogą być roślejsze od naszych myszy, a jednakże wydają się Palladistom, to jest mieszkańcom wolą i rozumem obdarzonym tego planety, tak dużemi jak nam nasze słonie. To szczęście, że rozum człowieka i każdego stwo-

rzenia, posiadającego władze umysłowe, nie jest w stosunku bezwzględnym z wielkością mozgu.

A zatém jest dowiedzioném, że na księżycu Selenici powinni istnieć i mogą istnieć, i że zapewne niższymi są od nas wzrostem, co ich zresztą nie bardzo martwić powinno, bo i u nas najwyżsi wzrostem, nie są najświetniejsi rozumem, dowodem tego nieboszczyk Rauwa i kilku innych nieboszczyków.

Lecz na czémże astronomowie oparli swoje zdanie, o nieistnieniu atmosfery księżycowéj? Oto na zdarzającém się często zjawisku przejścia gwiazd przez tarczę księżycową, czyli pokrycia ich przez księżyc. Gdyby to ciało niebieskie, tak rozumują uczeni, miało atmosferę, wtedy światło bijące od gwiazdy, musiałoby za dojściem do kręgu téj atmosfery, załamać się i osłabnąć; co przecież nie miało miejsca w żadném z uważanych dotąd zjawisk tego rodzaju.

Bacząc jednakże na to, że średnia odległość księżyca od planety naszego, wynosi pięćdziesiąt tysięcy mil, że w takiém oddaleniu rozległość sześć tysięcy stóp, widzimy pod kątem tylko jednéj sekundy, że przeto ziemscy spostrzegacze, mogą nie dojrzeć żadnego załamania się światła, chociażby księżyc posiadał atmosferę na sześć tysięcy stóp wysoką; że według ogólnego prawa natury, wyższe warstwy kręgu powietrznego, rzadsze są za-

wsze od niższych, a więc mniéj silnie wpływają na zboczenie światła: możemy przypuścić, że księżyc otoczony jest atmosferą znacznie nawet wyższą nad sześć tysięcy stóp, jakkolwiek obserwacye ziemskie, nie wykrywają nam dotykalnie jéj bytności.

Tym przeto sposobem, upada najważniejszy zarzut astronomów, przeciwko istnieniu atmosfery księżycowéj i jéj możliwość przynajmniéj staje się przypuszczalną. Ale badawcze przyrody, nie poprzestają na podobieństwie do prawdy, wymagają one faktów. Dla utrzymania więc wystawionéj przez nas hipotezy, innych nam trzeba na to dowodów. I otóż zjawisko towarzyszące zaćmieniom słońca, uważane po raz pierwszy r. 1842, a znane w astronomii pod nazwiskiem *korony* czyli światło-kręgu, może nam ich dostarczy.

W dawniejszych czasach, badano zaćmienia pod względem li tylko astronomicznym, a pomijano zdarzające się w ich biegu zjawiska fizyczne. Dopiéro w roku 1842, a zwłaszcza w r. 1851, zaczęto pilniejszą na te ostatnie zwracać uwagę. Roku 1851, P. Döller w Pułtawie, wezwał wszystkich przyjaciół astronomii, do czynienia spostrzeżeń w czasie zbliżającego się zaćmienia całkowitego, szczególniéj nad koroną, jéj powstaniem i zniknięciem, jéj szerokością, światłem i ubarwieniem w różnych

miejscach, jéj ruchem wirowym lub falującym i kierunkiem bijących z niéj promieni. Do takich obserwacyi dosyć gołego oka i dobrych chęci. Ale P. Döller, od wprawniejszych dostrzegaczów, zażądał nadto zmierzenia siły światła, i jeśliby się dało, ciepła korony, a nareszcie fotograficznego jéj zdjęcia.

Odezwa uczonego Pułtawskiego, nie pozostała bez skutku, a z licznie nadesłanych spostrzeżeń zdaje się wypływać przekonanie, że korona powstaje skutkiem złamania i rozstrzelenia się promieni słonecznych, dotykających atmosfery księżyca. Zdołano nawet wywołać to zjawisko sposobem sztucznym, przez ustawienie lampy Drummond'a za ciałem ciemném, umieszczoném w bani szklannéj. Lampa w tém doświadczeniu przedstawiała słońce, ciało ciemne księżyc, a otaczająca je bania szklanna, przypuszczalną atmosferę księżycową.

Możemy zresztą za istnieniem téj atmosfery, przytoczyć dotykalniejszy jeszcze dowód. Posiadamy oddawna dokładne mappy księżyca, przedstawiające najwierniéj formacye jego górzyste. Geologia uczy nas ze kształtu i kierunku gór, poznawać wulkaniczne (ogniowe) lub neptuniczne (wodne) ich pochodzenie. Otóż, stosując zasady téj nauki do pasm księżycowych, spostrzegamy u niektórych wyraźne ślady powstania neptunicznego.

Ztąd wniosek oczywisty, że na powierzchni księżyca istniała kiedyś lub istnieje woda, a tém samém istnieć musi i atmosfera.

Nakoniec, czyż każde ciało, stałéj albo płynnéj natury, nie posiada atmosfery, przez to samo, że ulega parowaniu? Czyż eter przynajmniéj, otaczający ciała niebieskie, nie musi zgęszczać się na około krążącego w nim księżyca?

Powierzchnia księżyca.

Nie masz żadnéj wątpliwości, że księżyc był kiedyś ofiarą i widowiskiem okropnych wstrząśnień wulkanicznych. Większa część powierzchni księżyca (przynajmniéj ta, która dla naszego wzroku jest dostępną), jest potargana przepaściami i najeżona skalistemi górami, wysoko wyzierającemi po nad atmosferę księżyca i dla tego pozbawionemi własności odbijania światła. Ztąd téż doświadczenia z siłą refrakcyjną księżyca tak są utrudnione, że je nie łatwo sprawdzić; potrzeba na to promieni ukośnie, i nie na wierzchołki gór, lecz w doliny pokryte atmosferą padających, potrzeba na to przedewszystkiém gwiazd blisko przechodzących.

Kto raz w swém życiu miał sposobność sprawdzić spostrzeżenia astronomów Pana Pompolio de Cuppis i Pana Döller'a i przekonać się o istnieniu atmosfery na księżycu, ten zupełnie inném okiem

spoglądać będzie na naszą nocną latarkę; ten się dziwić nie będzie, czemu wielu ludzi czuje niezwalczoną sympatyę dla Selenitów, ukochanych naszych bliźnich, mieszkających na księżycu, z których może kiedyś, z postępem fizyki, chemii i aeronautyki, ród ludzki, mieszkający na ziemi, zrobi po prostu swych współpracowników.

Już nawet daliśmy nazwiska znaczniejszym górom na księżycu i obrachowaliśmy ich wysokość, w porównaniu z górami naszego planety nadzwyczaj wygórowaną. I tak:

Góra Dorfel	wysoką jest na	26610 stóp.
Góra Newton	dito	26257 „
Góra Casatus	dito	24131 „
Góra Curtius	dito	23691 „
Góra Kopernik	dito	18200 „

Już odkryliśmy na księżycu morza burzliwe i spokojne, jeziora większe i mniejsze, wulkany ogniem buchające pośród jezior, a nawet cóś nakształt lasów lub ogrodów. Z postępem sztuki optycznéj, nie przestającéj zbogacać nas swemi wynikami, odkryjem więcéj na ulubionym trabancie naszego planety, i może już w téj chwili kiedy spisujemy to, co do nas przeszło z światła zagranicznego, szczęśliwi sąsiedzi nasi, czerpiący naukę z pierwszéj ręki, więcéj wiedzą o Selenografii.

PRZEDMOWA.

Księżyc, wierny naszego planety towarzysz, od najdawniejszych czasów zwracał na siebie uwagę mieszkańców ziemi, a duch ludzki ułudném przeczuciem nakłaniał się ku wierze, że jako wszędy w przyrodzie jest życie, to ono znajdować się musi i na sąsiedniém nam ciele niebieskiém. Wynikiem nieodzownym téj wiary, było przypuszczenie na księżycu istot myślących, a mnogie pozostałe ślady dowodzą, że już przed pięciu tysięcy laty, mądrzy Egipcyanie lubili się pieścić tą ideą o sąsiadach księżycowych, jak najulubieńszym kwiatem poezyi.

Poeci żadnego narodu i żadnéj religii o tém nie wątpili, że są ludzie na księżycu, którzy do nas tęsknią tak jak my do nich, ale świat prozaiczny nie wierzył poetom, i po otrzymanie stanowczéj w téj mierze odpowiedzi, udano się do astronomów. Odpowiedź, wbrew ogólnemu życzeniu i oczekiwaniu,

wypadła przecząco i w tych słowach: „Księżyc nie ma atmosfery, a bez powietra nie ma życia.“

Nielitościwy ten wyrok nauki, zburzył najmilsze rozkołysanéj wyobraźni rojenia.

Lecz uczuciowi ludzie, nie mogli się wyrzec niepowrótnie owych ponętnych marzeń o pobratymcach na tém ciele niebieskiém, które tak mile przyświeca młodości naszéj i jest powiernikiem naszych najskrytszych myśli, uczuć i czynów.

Szczęściem, że nad uczonych pedantów są jeszcze uczeńsi obserwatorowie, i że tym czasem optycy wynaleźli doskonalsze instrumenta.

Na dwóch odległych punktach ziemi, pracowali jednocześnie dwaj szlachetni astronomowie, nad dowiedzeniem ludzkości niezbitemi dowodami, że księżyc posiada atmosferę, że skład naturalny księżyca podobny jest do naszego planety, i że można tam przypuszczać zbliżony do naszego byt organiczny.

Temi uczonemi byli Pan Pompolio de Luppis w Ferrarze i Pan Döller w Pułtawie.

Bóg raczył pobłogosławić ich pracy.

Już nie ma wątpliwości, że księżyc posiada atmosferę, rzeki, morza, góry, wulkany, a zatém zapewne i wegetacyę, zwierzęta i ludzi.

My sami, którzy ogłaszamy ten opis podróży, odbytéj na księżyc przez ziomka i kolegę, już od

bardzo dawna wiedzieliśmy, że księżyc ma atmosferę i istoty rozumem obdarzone w niéj mieszkające a wiedzące, że my istniemy i do nich tęskniemy, i jeśli wstrzymaliśmy się z ogłoszeniem téj podróży, to tylko dla tego, żeśmy chcieli żeby tymczasem surowa nauka dowiodła możliwość ludzi na księżycu.

Teraz dopiéro wystąpić możemy z ogłoszeniem wycieczki, odbytéj przez lekarza Polskiego, jeszcze żyjącego, *wcale się nie wystawiając na czynione nam nieraz przez czujnych i nieprzychylnych krytyków zarzuty, jakobyśmy naszemi podróżami na około ziemi, w obłokach i na księżycu, urągali się z łatwowierności publicznéj.*

*Najnowsze wydoskonalenia żeglugi nadpowietrznéj, dają śmiałym turystom nadzieję, bezpośredniego dosięgnienia księżyca i porozumienia się bliższego z jego zacnemi mieszkańcami. Pan Gavarni *) zaręcza, że byle miał powietrze w apparacie do oddychania, będzie się mógł swoim balonem na inne dostać planety, a najłatwiéj na nasz księżyc, odległy tylko o mil pięćdziesiąt tysięcy. Przyjąwszy bieg balona, tak jak to już obliczono w podróży Pana*

**) Kto przeczytał z uwagą naszą Maskaradę w obłokach czyli podróż nadpowietrzną nad morze północne, wyszłą dwa lata temu w Gazecie Codziennéj i osobno w Wilnie, ten przyzna żeśmy przewidzieli i prepowiedzieli wynalazek Pana Gavarni.*

Gavarni do Algieru, po trzynaście mil na godzinę, potrzebaby tylko nie spełna roku na przeprawę do księżyca, i na przekonanie się czy istotnie Pan Cyrano de Bergerae i doktor Serafin Boliński na nim przebywali.

Warszawa d. 12 Lutego 1857.

Dr. T. T.

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC

ODBYTA

PRZEZ LEKARZA POLSKIEGO.

1. Przeprawa z ziemi na księżyc.

Uniesiony nad ziemię w pół odurzonym stanie, przez długi czas nie widziałem nawet co się zemną dzieje; tylko jakieś uczucie lubości, często mnie owładujące i we śnie, gdy myślą przelatuję po niebieskich przestworach, towarzyszyło mi i wzmagało się w miarę jakem się oddalał od padołu ziemskiego, na którym tyle złego doznałem. Smutki, troski i kłopoty, zlatały zemnie równocześnie z płatami mego ziemskiego ubioru, tak jak gdyby skutkiem tarcia o atmosferę otaczającą ziemię. Z każdą chwilą robiło mi się lżéj na ciele i na sercu, i myśl wprzódy ciężko się wlekąca po ziemi, tak jak żółw po piasku, zaczęła bujać z każdą chwilą swobodniéj w eterycznych przestworach, a nareszcie znękana uczuciem, dawno niedoświadczaném własnego szczęścia, usnęła w słodkiéj wie-

dzy, że się przebudzi jeszcze szczęśliwiéj, do jeszcze milszéj rzeczywistości.

Nie mogę powiedzieć, jak długo trwał ten stan lubego odrętwienia, czyli raczéj jak długo mi się zdawało, że trwał; czy to była chwila, czy wiek cały, tego nie wiem; nie pragnąłem przebudzenia i nie lękałem się jego, żyłem jednostajném uczuciem szczęścia niewiadomego mi z przyczyn, krążąc, jak mi się zdawało, około siebie i w własnéj swéj atmosferze, tak jak atomik niebieski, zbliżając się jednakże do jakiegoś niewidzialnego centrum, ale nic nie widząc i nie pragnąc żadnego widoku.....

Potém zaczęła się znów inna faza istotności: zmysły powoli przebudzały się ze snu jeden za drugim. Naprzód słuch wstępować zaczął w życie, uczuciem jakichś harmonij, brzmiących jednostajnie z matematyczną regularnością, i tak lubych, pięknych, jak wibracye tysiąca dyamentowych dzwonów, zawieszonych na kopule nieba.

Następnie ocknął się wzrok, uczuciem miłego niebieskawego światła, napełniającego duszę anielskim pokojem i tak rzewną pobożnością, że ręce złożyłem do modlitwy i pławiąc się w słodkim lazurze, śpiewałem hymn dziękczynienia.

Miliona heliotropów zapach i uczucie czystych anielskich pieszczot, rozeszły się po całém ciele

mojém i całkiem je przejęły wonią i miłością do wszystkiego, co było, co jest i co będzie. Z białéj aksamitnéj skóry mojéj, pryskały miłe iskierki elektryczne, niby brylantowe bąbeleczki, a za każdém potarciem rąk, sypały się iskrzące ognie, ulatujące w kształcie miłych śpiewających koliberków w przestrzeń.

Z zachwytu przelatywałem w zachwyt. Jutrzenka się ukazała i całe obłoki z rubinów i róży przelatywały około mnie, witając z serdecznym uśmiechem po imieniu:

— Witaj! witaj! gościu Serafinie, pomiędzy duszy twojéj braćmi!

Potém znów nastała ciemność, tylko pod sobą zoczyłem dużą, jak całe województwo, świecącą gwiazdę, na któréj powierzchni roiły się w kształcie barw w kalejdoskopie światła, barwy, głosy, zapachy, czucia i smaki.

Inna gwiazda daleko mniejsza, lecz świetna jak argandzkie światło, krążyła około téj wielkiéj gwiazdy, która ciągle się powiększając, traciła na blasku i nareszcie rozpłynęła się w niedościgłym dla oka widnokręgu, w ciemnych obszarach nocy. Tylko miryady świec, lamp i krążących latarni, zajaśniały na ciemnym widnokręgu podemną.

Już teraz pojąłem, że jestem w atmosferze otaczającéj jakąś planetę.

— Ach Boże! może to ziemia, na któréj się rodziłem i tylu zmartwień doświadczyłem! zawołam składając ręce do pacierza i zalewając się gorzkiemi łzami.

Nie! to nie była ziemia!

Słyszę w powietrzu głos jak gdyby człowieka, czyli raczéj żołnierza, komenderującego wojskiem. Słyszę huk bębna i wrzaskliwy głos trąbki. Nadbiega jakiś hufiec żołnierzy w seledynowych mundurach, z różowemi wyłogami, w szklistych hełmach, z błyszczącemi karabinami i pałaszami. Oto patrol żandarmeryi, nie pieszéj, nie konnéj, lecz skrzydlatéj, takiéj jakiéj u nas nie ma i nie było.

Spostrzegli mnie i wołają; zapewne pytają: „kto leci?“

Ja odpowiadam na chybił trafił: „*swój*.“

Oni jeszcze wołają, zapewne mi każą zatrzymać się, ale ja przy najlepszéj woli nie mogę się zatrzymać i ciągle spadam z szaloną szybkością na dół, ku jakiemuś padołowi, na którym rozeznaję teraz morza, góry, pola, piaski, jeziora, a nawet już miasta, wsie i rzeki.

Puszcza się za mną skrzydlaty patrol, ale dopędzić mnie nie może.

Więc komendant kazał dać ognia za uciekającym. Myślałem, że mnie w drobne kawałki kule

rozniosą, gdy zagrzmiały, jak orzech zgryzł, wszystkie karabiny razem.

Gdzie tam! obsypali mnie białemi liliami od stóp do głów, i na tém koniec, zaniechali pogoni.

O tak grzecznéj żandarmeryi, nie miałem wyobrażenia.

Potém widziałem innych skrzydlatych ludzi, krążących tu i ówdzie, w różnych kierunkach, samych lub w towarzystwie. Cały hufiec skrzydlatych dziewcząt, wracał jak się zdaje ze szkoły do domu, pod pachą bowiem miały kajeta i książki, a tak szwargotały ciągle i głośno jak u nas. Tylko innym, dla mnie niezrozumiałym mówiły językiem.

Potém znów ryby różnéj wielkości, przesuwały się po powietrzu. Jedne były tak duże jak jesiotry, i na nich siedzieli pojedyńczo starzy lub kobiety dostojnéj tuszy, którym widać siła skrzydeł nie wystarczała, i na innych znów dużych jak wieloryby, siedziało po kilkudziesiąt ludzi różnéj płci. rozmaitego stanu i wieku, pomiędzy któremi byli i ludzie bez skrzydeł, nędznie w długie suknie ubrani, po większéj części z brodami. Widać, że te wieloryby, były rodzajem omnibusów, popychanych kilkunastu skrzydłami z płótna; ludzie zaś kierujący temi omnibusami, musieli ciężko pracować siłą własnych skrzydeł.

Wszystko to tylko się migało przed memi oczy-

ma, leciałem pionowym kierunkiem ku jakiemuś padołowi i kilka razy o mało co nie zawadziłem o owe ryby.

Wreszcie spostrzegłem wyraźnie, że spadam na jakieś duże, okazałe i rzęsisto oświecone miasto, i że okna wszystkich domów tego miasta, wychodzą na dach, tworząc nie do opisania pyszną łunę światła.

Teraz zacząłem na prawdę myśleć o swym karku, i ciężkiém westchnieniem poleciłem się Bogu. Doszedł mnie natychmiast głos z padołu, jak gdyby przez tubę marynę wypchnięty:

— Nie bój się niczego, Serafinie!

Natychmiast też jakaś siła odpychająca, działając przeciw sile przyciągającéj, zwolniła mój bieg tak skutecznie, że z każdą chwilą wolniéj spadałem. Nareszcie tak leciuchno szybowałem przez warstwy powietrzne, że wszelka obawa ustąpiła z méj duszy i przypatrzeć się mogłem swobodnie temu, co się podemną na ulicach miasta działo. Ludzie krążyli po nich piechotą, pomagając sobie w biegu skrzydłami, tak jak strusie.

Podemną w środku wielkiego ogrodu, wielki gmach z dużą wieżą, pokrytą kopułą z jednego kawała szkła. W tém obserwatoryum siedział jakiś skrzydlaty Jegomość, w szlafroku i ze szlafmycą na głowie, i spoglądał na mnie w powietrze, da-

jąc mi rękoma i skrzydłami oznaki radości i przychylności.

Nareszcie kopuła szklanna odsunęła się jak na osi bocznéj od wieży, i ja zstąpiłem wolno i wygodnie.

2. Dom doktora Gerwida na księżycu.

— Witajże mi Serafinie, synu ziemi, na gruncie księżyca i w mieszkaniu twego przyjaciela, doktora Gerwida, rzecze w Polskim języku, z rozjaśnioną twarzą ów Jegomość, przyciskając mnie rękoma i skrzydłami do serca, z radości bijącego.

Mnie samemu wystąpiły łzy z radości, słysząc moją mowę rodzinną i z tak szczerą serdecznością będąc powitany. Zdawało mi się, że znam tego czerstwego staruszka od lat tysiąca, a przecież po pierwszy raz w życiu go widziałem.

— Ach przecież! przecież! od tylu lat tu cię przyciągam wszelkiemi fizycznemi i chemicznemi sposobami, i dopiéro teraz udało mi się ciebie sprowadzić, rzecze daléj mieszkaniec księżyca, sadzając mnie na kanapie i podając szlafrok i pantofle, abym się oblókł.

Teraz dopiéro spostrzegłem, że żadna część ubioru na mnie nie pozostała, i nie mało się zawstydziłem.

Zaraz téż mój gospodarz, widząc mnie zażeno-

wanego, przykrył wieżę kopułą i zaciągnął na nią pokrycie z woskowanego płótna.

Jeszcze nie mogłem przemówić słowa ze wzruszenia, gdy na raz spostrzegłem, że razem z ubiorem, zgubiłem miniaturę Malwiny, zawieszoną na szyi mojéj.

Zacząłem płakać, lamentować i narzekać w niebogłosy, i przedstawiać gospodarzowi, że się bez téj miniatury żadnym sposobem obejść nie mogę.

— Dobrze, dobrze mój Serafinie, ta miniatura będzie ci z pewnością wrócona, jeśli jéj żądasz, za godzinę, odpowie mi doktor Gerwid, z wyrazem uczciwym w twarzy i skrobiąc się skrzydłem cokolwiek kłopotliwie po głowie, już cokolwiek szpakowatéj. A i skrzydła miał także szpakowate, w niektórych miejscach już siwe.

— Czy za godzinę zażądam méj miniatury, jedynéj rzeczy, przypominającéj mi od lat siedmiu, że kiedyś byłem szczęśliwym i kochanym na téj ziemi, która mi potém, w skutek zawodów i zmartwień, tak zbrzydła??.. Kolego! czémże zastąpić zdołam tego świadka ubiegłych uniesień, tyle mi nadziei rokujących? Ciągle i bezprzestannie tęsknić będę do méj miniatury, i pokoju ci nie dam ani na chwilę; ty wiedzieć musisz gdzie się podziała, w ciągu téj podróży z ziemi na księżyc.

— Może i wiem, mój bracie Serafinie, i nie

chciałbym cię obedrzeć z tego, co ci najmniejszą przyjemność sprawić może na księżycu. Lecz przedewszystkiém opowiedz mi kolego, chociaż w krótkości, życia twego na ziemi spędzonego koleje.....

— Jakto? ranę jeszcze niezagojoną, chcesz rozrywać doktorze?

— By z niéj wyrwać grotu zatrutego jeszcze pozostałe ułomki; rana zagoi się potém sama z siebie, na zawsze.

— Jakoś przekonywająco brzmią twoje rady, o miły, skrzydlaty kolego; niechże więc tak będzie, zdobędę się na odwagę i raz jeszcze myślą wrócę do ubiegłych na padole ziemskim czasów, których ślady pozostały mi w duszy, tak głęboko wyryte.

3. Opowiadanie doktora Serafina.

— Urodziłem się w Polsce, w małém lecz przedziwnie położoném mieście, dzieckiem tak słabém, że mi ani lekarze, ani doświadczone sąsiadki, długiego nie rokowały życia. Wzrastałem w uczuciu własnéj bezsilności, bolejąc i ból zadając rodzicom, i już w kolebce, w któréj długo pozostawałem, przykrość méj istności uczułem dotkliwie.

Tęskniłem do śmierci; nie! nie do śmierci tęskniłem, tylko do innego życia, bo zdaje się, że już w niemowlęctwie wierzyłem w wieczność du-

szy, którą Bóg mi wlał, *mnie*, o nią nie proszącemu, lecz w posiadaniu jéj uporczywie trwać chcącemu.

Potém wiedziałem już co jest śmierć: mojego małego braciszka Ignasia, wywieźli w trumience, i już nigdy nie wrócił, a ja płakałem długo i tęskniłem do niego....

Wzrastałem jak owa zagraniczna roślina, dla któréj miłość i starania rodziców były cieplarnią, i długo, długo pasowałem się ze szkodzącemi wpływami ziemi; dopiéro cóś w szóstym roku życia, po pierwszy raz na własnych nogach, w towarzystwie ojca wyszedłem do naszego pysznego parku i uczułem się wśród drzew okazałych, otulony ciepłém powietrzem wiosny.

— Czemu płaczesz Serafinie? spyta ojciec, widząc łzy w moich oczach.

— Bo mi miło ojcze, tak miło jak nigdy w życiu nie było; ach te liście, te kwiaty, ten zapach i to ciepło! jakże to wszystko miłe i piękne! czy tak zawsze pozostanie ojcze?

— Nie mój synu! wszystko się zmienia na téj ziemi, roskosz nigdy długo nie potrwa na niéj, ale jéj uczucie powraca, i kiedyś późniéj na innym świecie, nigdy z duszy naszéj nie zniknie.

Uwierzyłem w zdanie ojca, który nigdy nie kłamał, i słowa jego wryły mi się na zawsze w serce.

Moim pierwszym nauczycielem był bakałarz, fi-

lozof naturalny, ubóstwiający przyrodę i przytém poeta, wykładający nawet tabliczkę mnożenia w obrazach. Przedziwny to był człowiek, doktorze Gerwidzie; to prawdziwy ojciec mego rozumu...

— A jak się nazywał ten twój pierwszy nauczyciel, którego tak mile wspominasz? spyta mój gospodarz, rozczulony do łez nie wiem czemu i ściskając mnie z rzewnością.

— Nazywał się Edwiger, odpowiadam także z łzami w oczach.

— To to jakieś nazwisko nie po sławiańsku brzmiące, o ile tu znamy z języków ziemi, zarzuci doktor.

— Istotnie był on cudzoziemcem, ale szczerze pokochał kraj, w którym znalazł pracę, chleb i szacunek. Niestety, nie pozostał w nim długo! Umarł w moich rękach na astmę, nauczywszy mnie w czterech latach, podstawy gruntownéj kilku języków i nauk przyrodzonych. Tak jest doktorze, umarł w moich ramionach, przygotowawszy mnie na śmierć swoją i zapewniając mnie, że się kiedyś ujrzemy w lepszym świecie, zapewne na księżycu, do którego przez całe swe życie tęsknił. O! będę go szukać po całym księżycu i niezawodnie go znajdę.

— Alboż to ludzie przenoszą się po śmierci z jednéj planety na drugą, tak jak Panu Cyrano de Bergerae lub tobie doktorze Serafinie udało się

przenieść za życia? zarzuci mi Gerwid ruszając ramionami.

— Bah! musi to być jednakże prawda, mój dobry nauczyciel Edwiger, nie chciałby mnie zawodzić; a potém słuchaj daléj, a przekonasz się, że najlepsi moi przyjaciele, niestety poumierali i obiecywali, że się kiedyś z niemi połączę, zapewne na księżycu. Po stracie mego dobrego nauczyciela, dostałem zapalenia mózgu i o mało co nie umarłem. W majaczeniach moich, ciągle utrzymywałem, że widzę braciszka Ignasia u starego Edwigera na księżycu. Gdym wrócił cokolwiek do zdrowia, zacny przyjaciel i dawny kolega palestrowy mego ojca, Pan Andrzej Poset, szlachcic kontuszowy, do korda i do hajdy jak to mówią, uwiózł mnie z sobą na wieś i kształcić kazał swemu dawnemu towarzyszowi, staremu Panu Swidwie, w jeździe konnéj i w używaniu broni siecznéj i palnéj. Zmusił mnie do zupełnéj zmiany trybu życia, książki poszły cokolwiek na bok, górą jazda, polowanie, kuligi, tańce, a nawet w potrzebie i toasty. Spodobał mi się nakoniec ten sposób życia, w skutek którego siła, odwaga i nigdy niedoświadczona wesołość, wstąpiły w ciało moje, dawniéj tak wietkie i słabe. Dzielny, bogobojny, a przytém wesoły, dzieci nadzwyczaj lubiący, a na łacinie mocno kształcony, Pan Andrzej był mojém bożyszczem, w którego się

wpatrywałem jak młodzian Ateński w Platona. Swidwa zaś, stary, nieuczony ale rzeźwy, przebiegły, do wszystkich psich figlów zawsze gotowy olbrzym, był moją wyrocznią, z którą dzień w dzień po parę godzin na polowaniu spędzić albo przynajmniéj przegadać koniecznie musiałem. Z szlachetnym Jegomością o historyi kraju i o wojnach, i to najczęściéj po łacinie, z starym towarzyszem o polowaniu, stawianiu sideł, o psach, koniach i jastrzębiach po polsku, ale taką polszczyzną Mospanie, jakiéj już od dawna nie słyszę, jakiéj się tajemnica może już na zawsze zatraciła.....

Nie mogłem mówić daléj, cóś mi grdykę jak kleszczami ścisnęło. Gerwid mnie owiał swojemi skrzydłami i drżące ręce mi uściskał.

— Rok cały tam u nich przesiedziałem, kochany, pielęgnowany, bawiony. Boże drogi! tak dobrze nigdy i nigdzie mi nie było; jeden starzec wyrywał mnie drugiemu, strzegli mnie jak dwie kokosze kaczuchny przez się wysiedziałéj, a radéj się puszczać na wzburzoną sadzawkę. Ale ojciec przyjechał i widząc mnie silnym i zdrowym jak nigdy, zagnał mnie do szkoły Wojewódzkiéj, na grammatykę grecką, aby sobie odświeżyć nauki od alfy do omegi. Wielki był lament po moim odjeździe w domu Pana Posta, a stary Swidwa.....

BN

Znowu mi kurcz gardło ścisnął, aż gorycz w usta wstąpiła.

— I cóż Serafinie?... stary Swidwa?....

— Może nie uwierzysz skrzydlaty doktorze?... stary Swidwa, umarł z tęsknoty do mnie, a przed śmiercią kazał mi powiedzieć, że się zobaczemy kiedyś, może na księżycu. O, Dobrodzieju, musi tu być gdzieś i stary Swidwa, w pełni księżyca. Nie wiem czy to było we śnie, czy na jawie, czy też w stanie snojawy, widywałem nieraz starego Swidwę z Ignasiem i z Edwigerem, tego mi nie wygadasz z myśli.

— A cóż do dyabła, z samemi tylko lunatykami się łączyłeś! krzyknie Gerwid oczywiście wzruszony i nadrabiając minę.

— Swój swego szuka, ojcze Gerwidzie. Cóż jest sympatya? to pociąg tajemny, z przyczyn nam niewiadomy, lecz te przyczyny istnieć muszą; Bóg je zna dobrze i Jego aniołowie także. Ale dobry mój gospodarzu, przyznać ci cię muszę, iż się czuję cokolwiek wycieńczonym.....

— Ach! możebyś się czém pokrzepił? dobrze, i owszem; zaraz ci służę.

Mówiąc to doktor, wydobył z paczki smaragdowéj małą trociczkę, zapalił ją i postawił przedemną.

— To nazywasz pokrzepieniem? jak to, u was nie piją wina? spytam zadziwiony.

— To jest trociczka, wydająca najczystszy kwasoród, czyli tleń, jak go tu nazywamy; to tak dobrze jak gdybyś wypił butelkę najlepszego szampana. Tylko poczekaj chwilkę; może ci w głowę zajdzie, bo to strasznie mocne, ale tém lepiéj, opowiesz mi dalszy ciąg twéj historyi, w mniéj smutnym tonie...

— Ach! dalibóg prawda! czuję się w istocie bardzo pokrzepionym; jakoś mi się weseléj i miléj robi na sercu. Bogu dzięki! bo to co mam do opowiedzenia, to dyabelnie smutne. Cha! miłość! rozpacz!

4. Miłość. Rozpacz.

— No, daléj mój gościu: elegię na takt szalonego alegretta! Pereant qui crastina curant! krzyknie Gerwid, a ja wstałem z krzesła, i przechadzając się po pokoju, rzekłem:

— Cha! niechże i tak będzie, z resztą nie może być inaczéj, bo się czuję pijanym. Więc jestem w szkołach Wojewódzkich, nie prawdaż? Zawcześnie na świat przybyłem i wszystko w mém życiu przedwcześnie poczynałem i kończyłem. Bah! otóż w szesnastym roku życia, kończąc szkoły, pokochałem się na zabój w najpiękniejszéj pannie, jaka

wówczas istniała na świecie, powiadam ci na *świecie*, a nie w mieście, w obwodzie, w województwie, w królestwie lub na ziemi. Polki słyną z piękności, ta górowała nad najpiękniejszemi, jak owa Kalipso nad swemi nimfami. Wysoka, wysmukła, włosy blond, ale bałwaniące się i aż do stóp! W oczach safir, puszcza i lew! na alabastrowych licach życie, uśmiech i duma, usta zaś... Boże! czemuż mi je dała raz skosztować? a czemuż potém wyrzekły: zuchwałe popsute dziecko! Ale to wiedziała, że już do niéj należę na wieki, i tego chciała, żebym do niéj należał na wieki, i żeby z mego serca płonął dla niéj ogień westalski, nawet kiedy ona będzie żoną innego, matką dzieci innego..... Skrzydlaty Gerwidzie czyś ty kochał?

— Jestem starym kawalerem moja duszko, odpowie Gerwid z westchnieniem.

— Więc kochałeś i nie zapomniałeś, żeś kochał. Kochałeś, byłeś zawiedzionym i dla tegoś się nie ożenił, i dla tego wiesz żeś kochał. Żonaci częstokroć zapominają, że kochali. Dzieci, są to kliny, które miłość do kobiety wybijają mężczyźnie z serca. Tak mówię, bo jestem pijanym, wściekłym, bo kocham Malwinę do dziś dnia, bo nie jestem jéj mężem. Ach! i ona mnie kochać musiała, bo mi dała ukraść ten całus, mnie cokolwiek młódszemu od niéj, bo mi powierzyła tajemnicę tego całusa, nie

lękając się żebym ją zdradził, pomimo tortur, które mi potém prawie swywolnie zadawała, może umyślnie, by się paść widokiem męczarni moich. Nie! nie dla tego! umyślnie na to, by się roskoszowała widokiem mocy méj duszy. A potém, w chwili gdy miała pójść za niego, za tego co się mienił być przyjacielem moim.... wiesz co się stało skrzydlaty Gerwidzie, co siedzisz jak Pitia na swym trójnogu i wlepiasz we mnie ślepie, drgając twarzą, jak stary zając; wiesz co się potém stało? Otóż nie powiem ci jeszcze nic z tego, aż zapalisz przedemną dwie trociczki, aż się zbydlę twoim tleniem jak cztery..... Do tysiąca rac kongrewskich i batalionów! słuchaj! Z uniwersytetu wysłała mnie do wojska, na wojnę, aby mogła pójść za niego, co stchórzył i pozostał w domu. Ale był hrabią, i bogatym, i wyrosłym, dużym.... Ja nic o tém nie wiedziałem, ale powiadam ci nic! Zgiełk, wrzawa, marsz, kontrmarsz, bitwa, paf! leżę na ziemi z zdruzgotaną kością u nogi. Szpital, operacya, tyfus. Rekonwalescencya po lazaretach rozumie się. Żadnéj wiadomości ani z domu, ani od Malwiny. Szpital w Montpellier. O! dobrzy lekarze! Co począć z sobą? Dyable! na medycynę chodzić, naturalnie. Półpiąta roku pracy, a żadnéj wiadomości z tamtąd. Chiński mur Dobrodzieju! Z beretem doktorskim na głowie, z próżnią w kieszeni, daléj do mieściny Delfinatu na

praktykę. Żadnego tam człowieka, tylko jeden: Benjamin Elleviou, nieszczęśliwy, miły, słabowity i tęskny, sam nie wie do czego, na honor sam nie wie do czego, do kobiety, któréj nigdy nie widział oczyma ciała, tylko oczyma duszy widzi co noc we śnie. Tak mi się zwierzył nareszcie, i utrzymuje, że tak pięknéj kobiety nie ma na świecie. Cha! Benjaminie Elleviou! pokaże ci piękniejszą, niż twego urojenia płód. Miniaturę méj Malwiny zawsze na piersiach nosiłem. Spojrzyj na ten obraz! On krzyczy, to ona! to ona, snów moich wcielenie! Pada, omdlewa, konwulsyi dostaje. On pyta: gdzie ona? „W Polsce, jeśli żyje; lecz może nie żyje, bo od lat pięciu, gdy księżyc w pełni, ona mnie się ukazuje z Ignasiem, z Edwigerem, z Swidwą, a nawet z Panem Andrzejem, po stan w kuntuszu.“ On krzyknie; „pisz do nich!“ „Ileż razy pisałem, nigdy żadnéj odpowiedzi.“ „Pisz! list prześlę pocztą, odpowiedź będzie niezawodnie, jeśli choć kto z twoich przy życiu pozostał.“ Piszę i otrzymuję odpowiedź. Gerwidzie! jeszcze dwie trociczki tu przedemną! Tak jest! ona umarła na chwilę przed ślubem, w sukni ślubnéj, jaką się przedstawiała mnie w snojawie i Benjaminowi we snach. Benjamin uszczęśliwiony wkrótce potém umiera, mówiąc, że na księżycu spotka się z Malwiną. Mnie obwiniają o przyczynę jego śmierci, unikają mnie jak

wampira. Ja sam myślę, że jestem wampirem, albo przynajmniéj aniołem śmierci. Bieda! głód, tak, głód ojcze Gerwidzie, głód w Delfinacie, pomiędzy cudzoziemcami, którzy pragną żebym sobie poszedł precz, bom zabił dobrego Benjamina. Zawlokłem się na grób jego w nocy, i tam Panie! nie wiem czy z rozpaczy, czy z głodu — umarłem. Teraz tu jestem, i szukam tych wszystkich, co umarli i których ja kocham. Muszą tu być Gerwidzie, wskaż mi do nich drogę, boś ty czarnoksiężnik i wiedzieć musisz wszystko co się u was dzieje, kiedy ci znane tajniki odległéj planety ziemskiéj. Ach! zlituj się! gdzie moja miniatura? gdzie Malwina?

Wycieńczony padłem na krzesło.

5. Kąpiel zapomnienia.

Długo doktor Gerwid wpatrując się czule i bystro w oczy gościa swojego przemyśliwał, a nareszcie bijąc się z radości skrzydłami w głowę rzekł:

— Aha! wiem czego ci potrzeba mój młody, nieszczęśliwy synu ziemi, trzeba ci przedewszystkiém kąpieli w *aqua oblivionis*, to jest w wodzie zapomnienia. Pocóż pamiętać te wszystkie martwiące ciosy, które cię spotkały na ziemi? wyrzuć je z pamięci, inaczéj niewiele skorzystasz z twego pobytu na księżycu.

— Czyż to pomoże taka kąpiel w wodzie zapomnienia, przeciw wspomnieniom, zebranym w ciągu lat dwudziestu sześciu? zarzucę doktorowi.

— Dwudziestu sześciu? zawoła Gerwid i doda z dowcipnym uśmiechem: a ile lat strawiłeś w ciągu téj podróży z ziemi do księżyca?

— Chwilę tylko, odpowiadam i rozliczywszy się z wrażeniami téj podróży, dodałem:

— A'e ta chwila, potrwała może ze sto lat, a może i więcéj.....

— Może nie dalekim jesteś od prawdy, mój Panie Serafinie; ale bądź co bądź, kąpiel w wodzie zapomnienia potrzebna ci, przecież nie lękaj się tego środka pozbycia się choć na czas niejaki pamięci twych dawnych kłopotów.

— Bynajmniéj! sam jestem lekarzem, i nie wierzę w jéj skuteczność: ale kąpiel zawsze dobra po takiéj podróży.

— Więc daléj, oto woda w szklannéj wannie, zaraz do niéj naleję essencyi zapomnienia.

Wstąpiłem w kąpiel, zrzuciwszy szlafrok i pantofle.

Skrzydlaty doktor otworzył swą apteczkę, wmurowaną w ścianę i wydobył z niéj butelkę z przezroczystym bezkolorowym płynem, którego wlał kwaterkę do kąpieli.

— Z czego się składa ten płyn, zwany essencyą zapomnienia? spytam.

— Z serc baletniczek, z mózgu wziętych lekarzy, leczących po kilkaset pacyentów na dzień, z policzka szulerów, z języka dentystów, z sumienia przedajnych sędziów, z łez bigota, z żołądka kaczki i z uczuciowości kury. Naturalnie, że wszystko to należycie wymoczone w spirytusie, dystylujemy i filtrujemy.

— Wybornyś mi mój kolego z tą apteką dynamiczno-psychologiczną, rzeknę śmiejąc się do rozpuku.

— To jednakże środek niezawodny, odpowie gospodarz.

— I to ma mi wyrugować z pamięci wrażenia, które mi się klinem wbiły w duszę?

— Wyruguje. U nas sztuka lekarska daleko zaszła, tak jak w ogóle wszystkie sztuki. Zaraz cię o tém przekonam. Patrz na ten globusik, wiszący u sufitu na cieniutkim druciku. Zgadłbyś, że to zegar mówiący i odpowiadający na pytania? Spytam go się w języku, którym my przemawiamy w naszym kraju o godzinę, a zobaczysz co nastąpi.

Istotnie skrzydlaty doktor zwrócił się do globusika i przemówił kilka wyrazów dla mnie niezrozumiałych.

Globusik natychmiast odpowiedział kilka wy-

razów także dla mnie niezrozumiałych, dźwięcznym i miłym głosem.

— To znaczy, że jest trzydzieści i siedm minut na dziesiątą, rzecze Gerwid, później się nauczysz z łatwością naszego języka i będziesz mógł sprawdzać sto razy na dzień dobroć tego zegarka. Nie ma w tém żadnego cudu. U nas akustyka daleko zaszła. Telegrafy elektryczne u was dopiéro od lat kilku zaprowadzone, już są od dawna zarzucone u nas. Wibracyami powietrza, za pomocą metalowego przyrządu uderzonego przez głos, dokazujemy tych fizycznych cudów, i do przesyłania wiadomości już nie potrzebujemy drutów. Przecież znasz telegrafy elektryczne?

— Telegrafy elektryczne? zdaje mi się, że kiedyś wiedziałem co to jest, to coś takiego, niby poczta, niby iskry... odpowiem nie mogąc z pewnością przypomnieć, co właśnie jest telegraf elektryczny.

— Aha! kąpiel już zaczyna skutkować, powie uśmiechając się doktor, i daléj rozpowiada mi o postępie fizyki na księżycu, mianowicie o fotografii, malującéj w oka mgnieniu kolorami mieszkańców księżyca, przelatujących po powietrzu.

— Wystaw sobie, że każdą pannę, polkującą po powietrzu, możemy przenieść na płótno w wielkości naturalnéj i to kolorami, zaręczał Gerwid,

i pytał mi się, czy i u nas panny jeszcze tańczą polkę.

— Nie przypominam sobie, odpowiem.

— A są u was ładne kobiety?

— Zdaje mi się że są.

— Kochałeś kiedy kobietę?

— Kochałem.

— A jakże jéj na imię było? spyta gospodarz z napiętą uwagą, ale niby to nawiasem.

— Malwina, odpowiem od razu.

— O! zanadto mało essencyi serca baletniczki w téj kąpieli, muszę jéj dolać, a wkrótce zapomni imienia swéj zubustwionéj, rzecze skrzydlaty doktor, i wylał w kąpiel cały swój zasób essencyi, nim mi zdołał wygładzić z pamięci imię kochanki.

Potém mi spytał o me własne imię.

Nie potrafiłem mu na to odpowiedzieć, istotnie zapomniałem jak się nazywam.

Z resztą wszystkiego tyczącego się mego życia na ziemi zapomniałem i przykrego doznałem uczucia, bo myśl moja błąkała się w próżni méj duszy, tak jak biedny wędrowiec w Saharze. Tylko to wiedziałem, że w téj ogromnéj puszczy jest jakaś piękna Oaza, zwana Polską; lecz gdzie leży? i jak jest daleką? o tém najmniejszego nie miałem wyobrażenia. Bezwiedzowość, jest to puszcza w głowie, w sercu i w duszy.

— Wyrwij mnie z tego okropnego stanu, przeklęty czarnoksiężniku, bo się uduszę! krzyknąłem na gospodarza, przyskakując do niego z pięściami.

On tylko machnął skrzydłami i wskazał mi na mą własną głowę, a na niéj stojąc śmiał się do rozpuku, zupełnie jak opętany.

— Myślisz że cię w tym stanie pozostawię kochany mój przyjacielu, odebrałem ci pamięć przeszłości, ale pojętność twą spotęgowałem do najwyższego stopnia, i od téj chwili bez wysilenia nauczysz się w krótkim czasie wszystkiego, co my tutaj na księżycu wiemy. Nie stracisz na téj zamianie, ręczę ci za to. Oto w tym księgozbiorze kwintessencya wszystkich nauk przez was uprawianych....

6. Oświata na księżycu.

Gerwid skoczywszy mi z głowy, pobiegł do szafy także w ścianę wmurowanéj, w któréj łeżało ze dwieście mniejszych i większych puszek, kształtu zegarków.

— Te zegarki nazywasz książkami? spytam zdziwiony.

— Bo te zegarki istotnie są książkami, u nas się nie czyta oczyma, lecz uszami. Nakręć tylko każdy z tych zegarków, a wypowie ci głosem ludzkim od początku aż do końca wszystko to, co za-

wiera. Chcesz żeby przestał mówić, to zakręć tą sprężynką; chcesz wrócić do poprzedniego rozdziału lub do przeczytanéj myśli, to się tylko spytaj tym indeksem posuwając go jak w telegrafie elektrycznym o co ci idzie, a natychmiast wróci maszynerya do rozdziału lub do przeczytanéj myśli, i najspokojniéj w świecie, nie gniewając się, powtórzy ci to samo, i sto razy jeżeli tego zażądasz.

— Ależ na to potrzeba znać wasz język, zarzucę mieszkańcowi księżyca.

— Już nim przemawiasz mój przyjacielu: własnym językiem zapomniałeś mówić, a naszego się nauczyłeś w chwili, gdyś wyskoczył z téj kąpieli. Przekonaj się tylko: wybierz sobie jaką chcesz książkę i zakręć ją, a zaraz ci zacznie gadać co w sobie zawiera. Tytuły wypisane na każdéj książce fosforycznym atramentem, świecącym w ciemności.

Wyciągnąłem książkę pod tytułem: *Choroby wieku* i chciałem ją nakręcić, lecz doktor Gerwid rzekł:

— To nudna i przewrotna książka, gotowa cię samego nabawić choroby; nie wiem jakim sposobem tu się dostała między te mądre książki, chyba ją moja kucharka tu zawlekła. Wybierz co innego.

Wybrałem książkę pod tytułem: Geografia księżyca i przekonałem się, że wszystko w niéj ro-

zumiem jak najdokładniéj, jak gdyby była w Polskim języku drukowana czyli raczéj nastrojona, jak się tu wyrażają.

Zachwycony byłem tą książką, która w prześlicznym śpiewnym języku, opowiadała mi najciekawsze rzeczy o szczęśliwéj planecie, i o jéj dobrych mieszkańcach.

— Otóż i masz najstosowniejszą lekturę na pierwsze dni twego pobytu na księżycu, potém przejdziesz do historyi mieszkańców jego i do innych książek, a wszystko co ci opowiedzą, pojmiesz i spamiętasz od deski do deski, bo próżnia rozumowa, która w tobie nastąpiła, tak pragnie zapełnienia, że wszystko w sobie pochłonie i umieści. Ja muszę lecić do księcia gubernatora, który jest chorym i mnie zawezwał na konsylium, ty tym czasem prześpij się na tym materacu, i na téj poduszce z gutta perki, wydętéj dziewiczym oddechem méj pięknéj siostrzenicy Lawinii. Wiesz, że piękniejszéj kobiety, może nie ma na całym księżycu.

— Ale gdzież jest, doktorze Gerwidzie? czy tu mieszka u ciebie? Ach jakże pragnę zapoznać się z nią....

— Widzisz, jak twoje serce pragnie zapełnienia, essencya serc baletniczych wybornie skutkowała, miłość od dziesięciu lat pielęgnowana znikła jak kamfora. Siostrzenicę Lawinię wyprawiłem z sio-

strzeńcem Cyangim na wyspę *Snu*, umyślnie aby cię tu nie widzieli w tym stanie.

7. Skrzydła.

— W jakimże jestem stanie? prawda, że sukień nie mam, ale przecież sprowadziwszy mnie tutaj in naturalibus, nie odmówiłbyś mi kredytu u twego krawca.

— Nie o suknie tu idzie, cały mój majątek, dość znaczny, jest na twe rozporządzenie, rzecze uśmiechając się doktor.

— O cóż tedy idzie?

— O skrzydła mój przyjacielu, u nas tylko zbrodniarzom, których wy mieszkańcy ziemi na śmierć skazujecie, ucinają skrzydła, a podcinają je przestępcom na mniejszą karę zasługującym. Ależ ty mój szlachetny przyjacielu i kolego, nie chciałbyś uchodzić w oczach naszych, a najmniéj w oczach prześlicznéj Lawinii, za zbrodniarza, ani za przestępcę.

— Więc cóż będzie zemną, o okrutny czarnoksiężniku, któryś mnie sprowadził na księżyc na moje upokorzenie? spytam zapłakany.

— Nie rozpaczaj przyjacielu: potrę cię balsamem wegetacyjnym po plecach, przyprawię ci na nich dwie bańki ciągle ssące i najdaléj w kilka dni wyrastać ci zaczną lotki, a za miesiąc urosną

ci pyszne skrzydła, barwy ciemno bląd, takiéj jakiéj są twoje włosy. Nie sprowadzał bym cię na twoją biedę tutaj na księżyc, na którym już od lat dziesięciu mozolę się nad sposobami przyciągnięcia cię z ziemi. W tym stanie pokazać się nie możesz nikomu; więc tymczasem, nim ci wyrosną skrzydła, korzystaj z méj biblioteki, i naucz się czego tylko chcesz, bo tyle wejdzie w ciebie nauki, ile jéj miałeś na ziemi; idzie tu tylko o dobry wybór. Nie obciążaj tedy pamięci rzeczami niepotrzebnemi ci. Mnie się zdaje, że powinieneś pozostać przy medycynie, chociaż dotąd nie odniosłeś w tym zawodzie wielkiéj zachęty.

— Więc ja byłem medykiem? dalibóg już o tém zapomniałem.

— Za tydzień będziesz lepszym medykiem jak kiedykolwiek. My na tych samych podstawach co i wy, zbudowaliśmy Eskulapowi świątynię, tylko ją wyżéj wznieśliśmy.

Mówiąc o tém i o podobnych rzeczach, doktor Gerwid, który był wielkim dygnitarzem w hierarchii medycznéj, ubrał się w spodnie z złocistym lampasem, w mundur bogato haftowany, przypiął szpadę do boku, wsadził kapelusz stosowany na głowę i ozdobił się kilkoma orderami.

Dziwnie i majestatycznie wyglądał w tém ubraniu i ze skrzydłami, które sobie starannie wypie-

rzył i wysmarował przedziwnie pachnącym olejkiem.

Potém dobył z kieszeni cóś z tła jedwabnego, złożonego i zwiniętego w niedużą trąbkę. Rozłożył to tło na podłodze, i przykręcił jego jeden koniec do dużéj kamiennéj butelki, stojącéj w kącie. Zaraz téż ów przyrząd napełniać się zaczął gazem i przybrał kształt dość sporéj ryby. Był to po prostu balon w kształcie ryby, pięknie malowany i karmazynowemi skrzelami opatrzony.

— Człowiek już nie dzisiejszy, mój przyjacielu, powie doktor, już moje skrzydła nie tak mocne, jak były kiedyś, pocóż je mam nękać więcéj? Tak, za pomocą tego konika, którego noszę w kieszeni, jazda daleko lepiéj idzie, tylko czasem machnę skrzydłem, i z łatwością szybuję po powietrzu. A jak idzie z wiatrem, to i skrzydłami machać nie potrzebuję, tylko je rozepnę, nastawię na wiatr i daléj jazda. Przecież i ty będziesz musiał posługiwać się tym konikiem z początku, nim nabierzesz wprawy.

Już się doktor miał puszczać pod obłoki na swéj rybie, gdy nagle zabrzmiała w powietrzu nad samą wieżą prześliczna muzyka licznéj orkiestry.

— Co to jest, na miłość Pana Boga? spytam oczarowany i zadziwiony.

— To nasi dyletanci i wirtuozi z towarzystwa

filharmonijnego, którzy mniemając, że Lawinia jeszcze bawi u mnie, wyprawiają jéj serenadę. Niech sobie grają na twe przywitanie; powiem im, że Lawinia słaba, nie może im się pokazać w oknie i podziękować.

— Ależ ja słyszę głos fortepjana, a nawet dwóch, i to przecudownie brzmiących.

— Cóż w tém dziwnego? przywieźli fortepjany na ogromnych balonach, do których się przyprzęgło kilkunastu niższych synów Orfeusza, którzy przytém jeszcze grają na trąbce, na klarnecie, na tamburnie, tryangalu i bębnie. Podobna usługa i takiego rodzaju hołd składany piękności, nie krzywdzi u nas nikogo. Ale może byś się posilił kochany gościu, nim spać pójdziesz. W owéj kryształowéj butelce jest nektar tokajowy, w porcelanowéj puszce ambrozya z wątróbek bekasich. Bądź zdrów. Zobaczym się za ośm godzin.

Poczciwy doktor Gerwid, uściskał mnie jak najserdeczniéj i pobłogosławił, a potém usiadłszy na swą rybę i odpiąwszy ją od podłogi, wyleciał na niéj przez boczne okno w powietrze.

Długo jeszcze krążyła muzyka nad wieżą i w koło niéj, czarując mnie i zachwycając, potém powoli oddalała się nie przestając się odzywać; nareszcie usnąłem po raz pierwszy na księżycu.

8. Noc i myśli.

Na pościeli wydętéj dziewiczym oddechem prześlicznéj Lawinii, o czém że miałem marzyć, jeżeli nie o uroczéj właścicielce tego oddechu, na którym ja, niegodny syn ziemi, spałem jak chłop na grochowinach.

Ach! jak musi być powabną młoda i wysmukła dziewica, z skrzydłami długiemi, rozłożystemi, barwy włosów swoich? Taka kobieta, to istny anioł; żadna wyobraźnia nie może sobie wystawić cóś piękniejszego i szczytniejszego jak taka kobieta. Skrzydła dodają majestatyczności; nawet mój gospodarz, chociaż czerwony, dziobaty, zwiędły na twarzy i długim nosem wysadzony, chociaż mały i pochyło się noszący, jednakże imponująco wygląda ze swemi szpaczemi skrzydłami, zwłaszcza w stosowanym kapeluszu, przy długiéj szpadzie i w ostrogach.

Żeby mnie tylko jak najprędzéj urosły skrzydła, zaraz poleciałbym na wyspę *Snu*, po piękną Lawinię.

Ale cóż to za wyspa Snu? spytajmy się naszéj gadającéj książki.

Wyspa Snu, powiada książka, leży prawie w pośrodku morza Sennego, przegradzającego Jasnogród od Ciemnostanu, i w téj chwili należy do

Lamy Ciemnostańskiego. Wyspa tak nazwana od własności usypiania ludzi i zwierząt, zapachem niezliczonego mnóstwa kwiatów odurzających, które tam rosną. Lekarze przepisują pobyt na téj wyspie osobom nerwowym, wycieńczonym, zbyt żywym, rozkochanym lub miotanym zgryzotami, i niedawno rzeczywisty lekarz stanu doktor Gerwid, wystawił tam znakomity zakład somnopatyczny, który zwabia do siebie wielką ilość wyższéj szlachty Ciemnostanu, prawie ciągle dla tego choréj, że się niczém nie zatrudnia.

Oto się dowiedziałem od jednego razu bardzo wielu rzeczy.

Wyspa Snu, jest zdobyczą bardzo ważną dla medycyny i dla ludzkości, to przyznać muszę, ale czemuż Lawinia wysłaną została do téj wyspy? czy dla tego, że jéj wuj tam ma zakład? czy dla tego, że ona potrzebuje kuracyi?

Książka powiedziała, że wysoka szlachta Ciemnostańska, prawie zawsze choruje w skutek bezczynności. Toż samo dzieje się i u nas, jeśli się nie mylę: u nas próżniacy chorują, a pracowici ludzie, nieumiejący *przemysłem* nadrabiać, umierają z głodu, gdy zachorują w skutek znoju i wysilenia.

Sławny sobie ten Ciemnostan, zobaczymy co o nim opowie księżka.

Ciemnostan jest ogromny kraj, położony na północnéj hemisferze księżyca, pomiędzy takim a takim stopniem szerokości geograficznéj. Ciemnostanowie rodzą się tak jak i inni mieszkańcy księżyca z skrzydłami, i w tém się natura bardzo pomyliła, że wszystkich nierównego stanu Selenitów czyli mieszkańców księżyca, równemi środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce obdarzyła.

Wiele jeszcze innych, również budujących rzeczy, opowiadała mi geografia księżyca, przez szlachcica Ciemnostańskiego napisana.

Należąc jeszcze wówczas do rzędu nieskrzydlatych istot, oburzałem się na barbarzyńskie prawa, skazujące niektórych mieszkańców tak strasznie górzystéj krainy, na chodzenie piechotą lub na najmowanie przewozowych ryb, jeśli uzyskali pozwolenie przenoszenia się z jednego odległego miejsca na drugie. Późniéj jednakże, gdy i mnie skrzydła urosły, zacząłem, wyznać to muszę ze wstydem, chwilami zupełnie inaczéj osądzać przywilej latania po powietrzu, i przekraczania dowolnie granic różnych krajów. Ale późniéj o tém.

9. Układy.

Mój gospodarz przyleciał dopiéro, gdym całą geografię księżyca przeczytał i pochłonął w siebie od deski do deski. Znalazł mnie prawie zanadto

ciekawym pod względem selenografii i nastarczyć nie mógł odpowiadać na me pytania o charakterystyce różnych narodów księżyc zamieszkujących.

— Na Boga! rzecze rzeczywisty lekarz stanu, obawiam się, żebyś sobie nie zatkał wszystkich szuflad twéj wiedzy tą selenografią, nie zapomniałeś ani punktu, ani przecinka z téj dyabelskiéj książki, a ja, lubo wiem wiele, nie znam jednakże z dokładnością objętości twéj głowy; może już jesteś niedalekim od punktu nasycenia? nie jeden uchodzący za wielkiego mędrca, nie zna ani o dziesiątéj części tego, coś ty połknął i spamiętał z téj książki. Ja ciebie nie chcę wykierować na geografa, lecz na lekarza.

— Przedewszystkiém tu idzie o skrzydła, mój drogi i dostojny przyjacielu; daléj smaruj mnie swym balsamem skrzydłodawczym i stawiaj mi bańki ciągle ssące. Skrzydeł mi potrzeba, skrzydeł i to jak najprędzéj!

— Skrzydeł ci potrzeba, skrzydeł i to jak najprędzéj! rzecze doktor Gerwid uśmiechając się szyderczo i wypróżniając swą rybę z gazu.

— Skrzydeł! tak nieocenionych organów, których Bóg nie odmówił żadnemu synowi księżyca.

— A cóż mi dasz za te skrzydła, miły Nafirze? muszę cię tu nawiasowo uwiadomić, że twoje imię,

któreś na ziemi nosił, znaczy naszym językiem Nafir. Więc cóż mi dasz za te skrzydła miły Nafirze?

— Co dam za te skrzydła? cóż ci dać mogę? wpadłem do ciebie ubrany i bogaty jak nowonarodzone dziecko, nic ci dać nie mogę, niestety!...

— Możesz mi dać bardzo wiele, mój drogi przyjacielu, rzecze Gerwid, wydobywszy z biórka arkusz zapisanego kilkunastu wierszami papieru i doda:

— Twój podpis.... nic więcéj.

— Zobaczmy na co: „Niżéj podpisany, syn ziemi Nafir, zobowiązuje się służyć swemu przyjacielowi Gerwidowi radą i czynem, wszędzie gdzie będzie mógł, i gdy do tego zostanie wezwanym; i przyrzeka nigdy mu nie szkodzić i źle o nim nie myśleć, nawet gdyby do tego mniemał mieć powody.“ Nie podpiszę tego kontraktu, dostojny doktorze: myślom rozkazywać nie można, dobrych uczynków za złe, równy od równego, ani nawet pan od sługi spodziewać się nie ma prawa. Wolę wrócić na ziemię, gdzie zdaje mi się żaden szlachetnie myślący i uczony człowiek, takich ofiar nigdy się nie domaga od bliźniego. Od was spodziewałem się jeszcze wyższych pojęć pod względem szlachetności.

— Nie ze wszystkiém widać zapomniałeś co się dzieje na ziemi, mój przyjacielu, bo jeszcze w tobie

pokutują jakieś pojęcia, któreś chyba z mlekiem wyssał, rzecze Gerwid drąc kontrakt i dodał: była to tylko próba charakteru, mój dobry gościu; cieszę się, że z niéj wyszedłeś z honorem; twoja szlachetność jest dla mnie dostateczną rękojmią, będziesz miał przepyszne skrzydła, najdaléj za miesiąc.

Namaścił mnie na plecach balsamem, od któregoby, jak utrzymywał, i z pięty skrzydła wyrosły, i przystawił mi na same łopatki, dwie silnie ssące bańki z gutaperki.

— Teraz się weź do ksiąg lekarskich, nie tracąc czasu na inne nauki, jeśli sobie chcesz u nas zabezpieczyć niezawisłe położenie, sam będę twoim teukrem, to jest przyjacielem i woźnicą; sam cię wprowadzę w praktykę, zaczynając od pierwszéj dostojności naszéj prowincyi, rzekł Gerwid i pośpieszył na dolne piętro, gdzie go oczekiwali pacyenci, przybiegli piechotą, na balonach i na skrzydłach. Widziałem jak jedna ogromnie opasła mamka, przyleciała z chorym niemowlęciem siłą własnych skrzydeł. Płakała w niebogłosy szybując jak duża indyka po powietrzu.

10. Latanie skrzydłami i czuciem.

Więc wróciłem do medycyny, mniemając, że się jéj po pierwszy raz uczę, jednakże w ciągu mych

studiów, ocknęły się z zapomnienia wszystkie wprzódy tak mozolnie zebrane wiadomości i zdobyte doświadczenia. W zapomnieniu pozostało tylko to, co mi martwiące lub zasmucające myśli nasuwać mogło, a żem tych swowolnie nie budził z letargu, to się każdy domyśleć może. Czułem się szczęśliwym w nadziei jeszcze większego szczęścia, a skrzydła wyrastać mi zaczęły z początku jak małe bielki, a potém jak gałązki.

Już w końcu trzeciego tygodnia mego pobytu na księżycu, puszczałem się na rybie mego gospodarza nocną porą w obszar niebieski, potém bez pomocy ryby odbywałem ćwiczenia lotne w ogrodzie, nareszcie wlatywałem z ogrodu na wieżę i nazad, w końcu czwartego tygodnia latałem jak orzeł na tęgich ciemnobląd skrzydłach, które stały się dla mnie powodem niesłychanéj dumy i roskoszy.

Często w tym czasie, oddając się gorliwie nauce i sztuce latania, myślałem o pięknéj Lawinii, siostrzenicy gospodarza, który zadowolony z mego postępowania i szczęścia, nie przestawał mi okazywać najczulszéj przyjaźni.

Nie wiem czemu mam przypisać to ciągłe zajęcie, którego przedmiotem była dla mnie ta obca, tylko z opowiadań Gerwida znana mi osoba. Lubiłem o niéj rozmawiać ze starym kawalerem i on także często wszczynał o niéj rozmowę, i jak się

zdawało, żywił we mnie chęć poznania jéj może umyślnie, bym się nią zajął na dobre, jeszcze nim ją poznam. Dopiął tego, jeżeli takie były jego zamiary: może nawet za nadto skutecznie działały jego rozmowy, bo raz zagrzany, czy to własnéj wyobraźni zapałem, czy też nektarem winnym, któregom może użył za nadto wiele, wypiłem z méj poduszki oddech Lawinii, którym była nadęta, i od téj chwili jakiś nowy duch wstąpił w me ciało, odezwały się we mnie odgłosy jakichś dawnych, sympatycznych uczuć, drgających w duszy mojéj, jak chaotyczne harmonie ubiegłych wrażeń.

— Dostojny mój przyjacielu, rzekłem razu pewnego do Gerwida, jak też wygląda twoja siostrzenica Lawinia? Daj mi jéj rysopis.

— Jak też ją sobie malujesz w swéj wyobraźni z tego, co ci nieraz mówiłem o jéj charakterze, temperamencie i humorze? odpowie Gerwid.

— Przedstawiam ją sobie wysoką, wysmukłą, białą, z niebieskiemi oczyma, długiemi jasnemi włosami i rozłożystemi skrzydłami złocistéj barwy.

— W niczém nie chybiłeś, opisałeś ją jak najdoskonaléj. Lecz któż ci powiedział, że tak wygląda? nie sposób, żebyś sobie mógł wymarzyć tak szczegółowe i prawdziwe wyobrażenie o nieznanéj ci osobie?

— Któż mi mógł powiedzieć jak wygląda, kiedy

prócz ciebie z nikim do tychczas nie rozmawiałem na księżycu.

— To ci chyba ta poduszka, na któréj śpisz, wydała tajemnicę? rzecze Gerwid śmiejąc się do rozpuku, zacierając ręce z radości i bijąc się jak szalony skrzydłem w skrzydło.

Zarumieniłem się po uszy jak smarkacz złapany z ręką w cukierniczce, i zacząłem się gniewać, aby pokryć ogarniający mnie wstyd.

— Czego się tu wstydzić? rzecze stary Gerwid; ja w twoim wieku zjadłem raz różę, zmiętoszoną w ręku méj ubóstwionéj, tyś wypił.

— Ależ broń Boże! jakie dzikie przypuszczenie! ja miałbym ubóstwiać osobę, któréj wcale nie znam, i dopuścić się takiego szaleństwa z gutaperkową poduszką? Przecież jeszcze nie jestem waryatem.

— Ale jesteś rozkochanym, nic w tém tak złego, mój Nafirze. Owszem, pragnę cię przywiązać do księżyca węzłami nierozdzielnemi, żebyś nigdy nie zatęsknił do ziemi, na któréj wiele złego doznałeś, lubo z tego już nic nie pamiętasz. Jeśli wszystko tak pójdzie, jak się spodziewam i życzę, to będziesz małżonkiem Lawinii. Przedewszystkiém staraj się pozyskać łaski księcia wielkorządcy, któremu cię przedstawię jutro. Już jest uprzedzonym o twém przybyciu i pragnie cię poznać. Od niego

głównie zależy twój los na księżycu, nie posiadając bowiem żadnych papierów, nie mógłbyś wejść w kategoryę prawnych mieszkańców księżyca, bez protekcyi jakiego wielkiego dygnitarza; dla tego téż nie ukazywałem cię nikomu, aby się nie dowiedziano pokątną drogą, że tu ukrywam jakiego zbiega z Ciemnostanu lub ze Snogrodu, za któregoby cię niezawodnie poczytano.

11. Książe Wielkorządca.

Jedziemy do wielkorządcy na dwóch lekko złoconych, ceremonialnych rybach; doktor Gerwid w mundurze i przy szpadzie, ja zaś w czarnym fraku, ale obaj z parasolami, bo deszcz padał dość mocny.

Zajechaliśmy przed główne okno na drugiém piętrze, przed którém stało na gzymsach dwóch szyldwachów, prezentujących broń przed oficerami, a kilku żandarmów i dozorców policyjnych, krzątało się w powietrzu i robiło porządek. W sali audyencyonalnéj czekało bardzo wiele gości i petycyonaryuszów. Usiedliśmy zwinąwszy wprzódy nasze koniki i schowawszy je do kieszeni.

— Widzisz tego przystojnego oficera, w białym mundurze, z czarnemi, złotem haftowanemi wyłogami? spyta mnie Gerwid.

— Tego bruneta z czarnemi skrzydłami, z nadzwyczaj ujmującą melancholiczną twarzą?

— Tegoż samego. To jest syn, a zarazem adjutant księcia wielkorządcy. Niezawodnie się do nas zbliży, skoro tylko nas zobaczy. O ile ojciec jest surowym i po prostu powiedziawszy *starym żołnierzem*, o tyle syn jest okrzesanym, a nawet estetykiem: doskonały muzyk, dobry malarz, wyborny tancerz, wszystko co tylko chcesz, a przytém najmilszy człowiek ze strony charakteru, zaręczał Gerwid.

— Wszystko to wybitne na jego miłéj fizyonomii, nie wiem czemu patrząc na niego, serce mi drzy z radości, tak jak gdybym spotkał dawnego znajomego, powiem z zapałem, nie spuszczając oka z prześlicznego oficera, który rozmawiał kolejno z petycyonaryuszkami, czekającemi na posłuchanie, i zdawał się szczery brać udział w ich sprawach. Nareszcie nas spostrzegł i natychmiast przystąpił do nas z rozjaśnioną twarzą.

— Książe Neujabi, pozwól sobie przedstawić mego przyjaciela Nafira, rzecze Gerwid do oficera, zrywając się z krzesła równemi skrzydłami.

Młody książe ścisnął mnie z serdeczną przyjacielskością za ręce i wzruszonym głosem witał najgrzeczniejszemi wyrazami, zaręczając, że wyglądał z niecierpliwością chwili poznania się ze mną.

Potém nas zaprosił do ojca, nalegając abyśmy mu odradzili dawanie audyencyi, bo istotnie jeszcze nie przyszedł do sił po swéj długiéj chorobie.

Zastaliśmy sędziwego wielkorządcę w fotelu, w surducie mundurowym, z bieluteńką jak gołąb głową i z takiemiż skrzydłami, już dobrze przetrzebionemi i zwieszonemi na dół.

Nadzwyczaj był wysokim, twarz miał dość czerstwą i marsowatą, wąsy bieluteńkie i siwe, błyskające jeszcze oczy.

— A witajże mi, witaj miły gościu, o którym mi przyjaciel Gerwid tyle dobrego opowiedział, rzecze dostojny starzec, podawszy mi rękę i przyciągając mnie bliżéj do siebie, aby mi się lepiéj przypatrzeć.

Mnie ogarnęła do niego tak nagła sympatya, że mi łzy wystąpiły w oczy.

— Czego płaczesz? Czemuś tak wzruszony, mój dobry panie Nafir, spyta starzec także wzruszonym głosem.

— Istotnie nie wiem czemu, może dla tego, że nie spodziewałem się tak łaskawego przyjęcia. Książe raczy przebaczyć, ale patrząc na niego, zdaje mi się, jak gdybym widział kogoś, co mi głęboko utkwił w sercu, rzekłem zmięszany, łez moich nie mogąc powściągnąć.

Książe i doktor spójrzeli po sobie wzrokiem

wymownym i jak gdyby potwierdzającym jakąś myśl tajemną, którą obaj tylko znali, a młody książe ciągle patrzał na mnie, jak człowiek silący się cóś sobie przypomnieć, co już głęboko zagrzebano w niepamięci.

— Nie to, nie to, mój młody przyjacielu, rzecze starzec, ktożby tu był podobnym do starego księcia Wadwis, jużby przez to samo był sławnym na całym księżycu, tylko widać dobre masz serce i litujesz się nad życiem starego zgrzybiałego żołnierza, który w tym wieku i stanie jeszcze nie może odpocząć, a już żyć nie pragnie.

— Któżby nie pragnął żyć na tym pięknym księżycu, między tak dobremi ludźmi? rzeknę nie mogąc się zdobyć na cóś lepszego.

— Pewno, pewno, odpowie książe, ale na to trzeba umieć latać na tych młodych skrzydłach, jakie ty masz, a nie tak mizernemi lotkami jak tam u mnie wiszą. Miałem ci i ja kiedyś skrzydła, tak dobrze jak mój syn Neujabi i często mi się ostrogi w nich zaplątywały, ale nareszcie się wypierzyły i nie chcą odrastać więcéj. Przyjacielu, masz być tak uczonym lekarzem, jak drugiego nie znajdzie na księżycu, racz wejrzeć w mój organizm badawczym wzrokiem, i wyśledzić, czy można jeszcze czém odżywić to moje zgrzybiałe ciało.

— W obec cudownego lekarza, dostojnego przy-

jaciela mojego Gerwida, którego lekarstw sam doświadczyłem skuteczności, czyżbym mógł się popisywać z jakiemi radami? rzeknę ze skromnością.

— Mości książe, powie Gerwid, jeszcze raz powtarzam, co już nieraz zaręczałem: w jego głowie mieści się wszystko, co tylko najmędrsze książki w sobie zawierają; w mojéj pozostało tylko echo tego co on wie w zupełności; jeżeli kto, to on może skupiwszy swe ogromne światło w jedno ognisko, wymyślić środek od nas tak upragniony, odżywienia cię, a może nawet odmłodzenia. Daj mu książe tylko czas do namysłu, a ręczę za skutek. Nie na darmo sprowadziłem go z tak daleka, i nie na darmo wyleczyłem go ze wszystkich wspomnień, tłumiących jego wiedzę. Na to tu jesteś Nafirze, żebyś nam postawił na nogi naszego dobroczyńcę księcia wielkorządcę, od tego zawisł los twój na księżycu.

Teraz dopiéro pojąłem, dla czego jestem przyciągniętym z ziemi na księżyc, i zakłopotany podrapałem się rękoma i skrzydłami w głowę.

— Ha! rzekłem, twórczości świętą iskrą przejęty, jest tu jednakże w téj głowie jakaś mała myśl, z któréj może się wyrodzić cóś, do odkrycia pożądanego środka prowadzącego.

— Nie mówiłem mości książe? zawoła Gerwid, zacierając ręce i bijąc się radośnie w skrzydła.

Z tak bogatéj i świeżéj wiedzy, musi wyrosnąć myśl strzelista i wielka, daj mu tylko książe cokolwiek czasu, a ja będę umiał zaostrzyć usilność mego przyjaciela wiadomemi mi środkami.

Stary wielkorządca aż podskoczył z radości, ale nie wiem czemu w téj chwili młody książe, z napiętą uwagą przysłuchujący się, uderzył się w głowę i zbladł jak człowiek przerażony.

Czyby nie miał kochać ojca swojego? czy nie życzy mu długiego życia? Bardzo mnie zmartwiło to pomimowolne poruszenie młodego księcia, i postanowiłem sobie dociec jego przyczyn.

Przedewszystkiém radziłem, aby sobie stary książe odpoczął i nie zatrudniał się żadnemi sprawami stanu, potém prosiłem, aby mi wolno było przylecić wieczorem z lampką argandzką, za pomocą któréj można obejrzeć wskróś całe ciało ludzkie i przekonać się o stanie wewnętrznym wszystkich organów. Tę lampkę argandzką, wydoskonaliłem podczas mego miesięcznego pobytu na księżycu, i pierwszy ją zastosowałem do użytku lekarskiego.

Stary książe i Gerwid nie mogli się posiąść z radości. Młody książe został wysłanym z uwiadomieniem, że dziś audyencyi nie będzie, a nas zatrzymano na małe śniadanie.

12. Ks że Neujabi.

Wiele ze mną rozmawiał książe Neujabi i o tém i o owém, o swych kampaniach przeciw Ciemnostanowi, w którym był razy kilka, i dziwne mi opowiadał szczegóły o tym kraju, który nie jest tak górzystym jak południowa hemisfera księżyca, lecz owszem płaskim, wcale urodzajnym, wydającym bardzo wiele bydła, zboża i drogiego kruszcu, a pomimo tego ubogim, bo wszystkie zasoby kraju wychodzą na zakupowanie cudzoziemskich cacek dla arystokracyi Ciemnostańskiéj, lubiącéj się bawić i stroić jak dzieci.

Potém młody książe zwrócił rozmowę na przedmioty potoczne, i pomiędzy innemi rzeczami spytał mi się, czy panna Lawinia już wróciła do domu wujaszka.

— Nie wróciła jeszcze, a czy ją zna książe?

— Widziałem ją razy kilka przelatującą na spacer, do kościoła i do teatru, odpowie książe.

— Ma być bardzo ładną? czy prawda? spytam z bijącém sercem.

— Jak do gustu, mój panie Nafirze, wysoka, wysmukła, blondynka, z szafirowemi oczyma i długiemi złocistemi włosami. Ale któż ci opowiadał o jéj piękności?

— Doktor Gerwid.

— Sam kochany wujaszek zachwalał swą sio-

strzenicę, to wieloznaczące, rzecze jak gdyby do siebie młodzieniec z oczywistém zakłopotaniem. Lecz po cóż ją wysłał na wyspę Snu? nie powiedział tego panu?

— Nie powiedział i ja nie śmiałem wypytywać go o to. Przecież nie jest chorą, zdaje się.....

— Nie samych tylko chorych wysyłają tam na mieszkanie, wiesz pan przecię, że są prezerwatywy, zabezpieczające od wpływu narkotycznego roślin tam kwitnących. Sami tam urodzeni i wychowani mieszkańcy, doświadczają tego wpływu, tylko do pewnego stopnia: ciągle pozostają w jakimś stanie odurzenia umysłowego, widać im dość przyjemnego, bo z niego wyjść nie pragną, tylko chyba chwilami, nie długo trwającemi. Dla tego też ich myśli i czyny noszą cechę albo w oczy bijącéj niedbałości, nieudolności, albo też gorączkowéj egzaltacyi. Na całéj wyspie nie zobaczysz długotrwałego pomnika usilności ludzkiéj, ale często obok walących się chat w najbrudniejszym zaułku, zoczysz dowód pychy arystokratycznéj: jakiś świetny pałac z herbami, basztami, salami rycerskiemi nowo postawionemi, a napełnionemi mnóstwem portretów rodzinnych, zakupionych u antykwaryuszów, lub też zbroją sprowadzoną z zagranicy.

— Żeście też sobie mieszkańcy Jasnogrodu, dali wydrzeć tę wyspę Ciemnostanowi?

— Widzisz, panie Nafirze, my sami nie wiemy, czy nam posiadanie téj wyspy korzyść lub stratę przynosiło. Umysły mieszkańców Snu, są pod wszystkiemi względami nadzwyczaj rozdwojone. Teraz Snogrodzianie, sami nie wiedzą co mają myśleć, życzyć sobie lub pragnąć, i rzucili się jednomyślnie prawie w objęcia religii, którą tak pojmują jak wszystkie inne rzeczy, to jest rzewnie lecz nieudolnie, zbyt wiele sercem a zbyt mało rozumem.

— Czy i w Snogrodzie łamią chłopom lotki, a mieszczanom wyskubują po jedném skrzydle?

— Tam jest niby inny system dzielenia ludności na stany: każdemu wolno nosić skrzydła, który za nie opłaca podatek. Zobaczysz tam ubogich hrabiów i książąt, chodzących piechotą z wyskubanemi skrzydłami, zwieszonemi na dół jak pletwy, a w tym samym czasie widzisz brodatych żydów, latających na pysznych skrzydłach.

— Wielki Boże w Niebiosach! Żydzi na księżycu?! zawołałem chwytając się rękoma i skrzydłami za głowę.

— Tu u nas w Jasnogrodzie tak dobrze jak gdyby ich nie było: porównani w obliczu prawa z nami wszystkiemi, wsiąkli do towarzystwa.

— Że to panna Lawinia, osoba jak się zdaje tak dobrze chowana, lubi zamieszkiwać taki kraj?

— O! nie myśl żeby Snogród był pozbawiony uroków. Kobiety tam błyszczą wszelkiemi powabami piękna przyrodzonego i zdobytego talentem, a nawet nauką; muzyka stoi na wysokim stopniu w Snogrodzie, a ten stan półsenności poetycznéj, w którym prawie bez przestannie pozostają dobrze wychowani i niczém nie zatrudnieni ludzie, nadzwyczaj się podoba romantycznym umysłom. Panna Lawinia, o ile mi wiadomo, jest tego usposobienia umysłu, i kilka razy na rok wylatuje ze swym braciszkiem do Snogrodu, gdzie wujaszek ma prześliczny pałacyk z parkiem, polami i lasami, obok zakładu somnopatycznego, którego jest założycielem i właścicielem. Tam sobie żyje panna Lawinia swobodnie i w przepychu, jak jaka królewna, w orszaku najświetniejszych dam okolicy, a jéj braciszek, bardzo miły lecz uczyć się nie chcący chłopaczek, zbija bąki z podobnemi sobie synami arystokracyi.

— Wszystko to, mości książe, zaostrza mą ciekawość, muszę się kiedy puścić do Snogrodu na mych skrzydłach lub nareszcie na méj rybie, która mi ułatwi przekroczenie morza, podobno tylko z dwadzieścia pięć mil szerokiego. Ma się rozumieć, że wezmę z sobą bussolę.

— Przedewszystkiém nie zapomnij paszportu, bo urzędnicy graniczni w Snogrodzie nikogo nie

wpuszczają bez paszportu, wizowanego przez ambasadora lub przynajmniéj konsula Ciemnostańskiego, rzecze księże.

— Chyba żartujesz mości książe, nie ma granic dla istot skrzydlatych! rzeknę, pewny że książe tylko żartem wspomniał o granicy.

— Nie myl się pan, są w Snogrodzie granice dobrze strzeżone, tak jak i są żydzi, ciągle tylko o kontrabandzie myślący.

— W jaki sposób możnaby otoczyć wyspę całą granicą, nieprzebytą dla ptaka lub dla skrzydlatego człowieka?

— Na sześćset kroków od ziemi dosięgnie dobra strzelba i zabija, a wyżéj są na kilku wysokościach w atmosferze, nie zbyt wysokiéj księżyca, porozciągane druty elektryczne, zabijające iskrami na kilkaset kroków od siebie wszelkie żyjące stworzenie. Przytém skrzydlate patrole czuwają wszędzie, a nocną porą świecą owe druty jak zorza północna, i światłem otaczają całą wyspę, tak, że żadna istota nie przejdzie pod niemi, nie będąc dostrzeżoną.

— A w Jasnogrodzie są także granice?

— Są, ale tylko ziemskie dla bydła, które z tamtąd często przychodzi z zarazą, i dla ludzi nieskrzydlatych, pozbawionych u nas praw obywatelskich za wykroczenia, a w tamtych krajach po-

zbawionych pojęcia o godności ludzkiéj za to, że się urodzili w niższym stanie.

— A to widać u państwa i dobre i złe szczególniéj wygórowało i odbija się jaskrawszemi barwami jak na ziemi, rzeknę do oświecającego mnie księcia Neujabi.

— A zkądże pan wiedzieć może, co się dzieje na ziemi? spyta książe z nadzwyczajną skwapliwością, spozierając na mnie ciekawie i uważnie swemi czarnemi nadzwyczaj pięknemi oczyma.

— Śniło mi się przez czas długi, żem żył na ziemi, odpowiedziałem nie będąc wówczas pewnym, czy się mylę lub czy kłamię, bo pamięć moja co do pochodzenia chwilami się przebudzała, lubo w następnéj chwili znowu usypiała.

— Ach! wystaw sobie kochany panie Nafirze, że i ja taki sen miałem, i to przez długi czas, kiedy mnie lekarze skazali na sześciotygodniowy pobyt na wyspie Snu, któren to czas przemarzyłem całkiem tylko o ziemi i o mym pobycie na téj ogromnéj planecie, któréj widziemy góry, morza, jeziora, miasta, a nawet główniejsze rzeki gołém okiem jak na dłoni. Ale posmak, który mi został po tym śnie, nie jest przyjemnym, i wcale nie odpowiada okazałości tego rzęsistego światła, o którém mieszkańcy Ciemnostanu żadnego nie mają wyobrażenia, a nas Jasnogrodzian tak zachwyca.

Wiesz co, panie Nafirze, w tych marzeniach i o tobie, nieznanym mi do téj chwili, śnić mi się musiało; bo jest myśl, która mi dopiéro teraz do głowy przyszła. Czemuż twoje ukazanie się takie na mnie wywarło wrażenie? Nadaremnie śledzę i śledzę, gdzie ciebie widzieć mogłem, gdzie cię spotkałem. Urodziłeś się i wychowałeś, jak mi doktor Gerwid zaręcza, w mieście odległém, którego nigdy nie zwiedzałem i któregoś ty nigdy nie opuszczał, więc zkądże się czepił obraz twój méj duszy? to już chyba we śnie jakim, a nieraz się wyśni nie tylko obraz człowieka, ale także cała przygoda, cała historya, zajście jakie; nawet najnadzwyczajniejsze sytuacye często nas spotykają po pierwszy raz, ale tak przygotowanych, jak gdyby się wydarzyły po raz drugi, to wszystko gra snów.

— Albo odgłos rzeczywistego życia, które się spędziło na jakim innym planecie..... dodam pomimowolnie, prawie nie wiedząc co mówię, idąc za natchnieniem myśli wyrywającéj się z duszy, jak owe światełko błędne na smętarzach.

— Albo odgłos rzeczywistego życia, które się spędziło na jakim innym planecie???... powtórzy książe Neujabi, jak człowiek budzący się ze snu, ale jeszcze oburzony. Boże! na nowy i również dedaliczny wprowadzasz mnie pan tor myśli. A jednakże i ta myśl, zdaje się, nie po pierwszy raz

zapokutowała, czyli raczéj odgłos znalazła w méj głowie. Pan jesteś jakimś zagadkowym człowiekiem, wywierającym na mnie.....

W téj chwili kazał mnie przywołać stary książe, i tém skrócił rozmowę, która mnie zaczęła w jednéj chwili i zachwycać i w niepokój wprowadzać.

13. Telegraf akustyczny.

— Więc widziałeś wszystkie organa księcia jegomości, nawet mózg, płuca, wątrobę? spyta mnie nazajutrz doktor Gerwid.

— Nawet szpik kości, mój przyjacielu; lampka argandzka doskonale się sprawiła w kamerze obskurze, w którą wsadziłem starego dostojnego weterana; jestem tak dobrze obznajmiony z wewnętrznym jego składem, jak gdybym go macał rękoma.

— I jakże go znalazłeś? spyta daléj Gerwid drżącym głosem.

— Choroby organicznéj w żadnym organie nigdzie, a we wszystkich osłabienie, brak siły żywotnéj; roztworzenie górę bierze nad tworzeniem, oto cała rzecz.

— Jak długo jego życie potrwać może, gdyby pozostał w tym stanie, i żadne dotychczas używane lub przezemnie znane lekarstwa, nie okazały się skutecznemi?

— Miesięcy pięć, dni siedmnaście, godzin trzy i minut czterdzieści dwie w najlepszym razie, gdyby cóś nadzwyczajnego, nieprzewidzianego nie zaszło, rzekłem zrobiwszy obrachunek na papierze z matematyczną dokładnością.

— A do dyabła! to krucho z nim, ja mu dłuższe rokowałem życie, ale co znaczy moja wiedza w porównaniu z twoją? Ja jestem starym gratem, nie mającym już ani zdrowego słuchu, ani wzroku, ani mocy myślenia. Ach! ty nam go wybawisz, tego dobroczyńcę kraju, który jedynie może ci zapewnić świetną przyszłość na tym uroczym księżycu, tak ci miłym.

— Ba! czémże tu zastąpić brak sił żywotnych, mój sędziwy przyjacielu? rzeknę zakłopotany. Dowiedziałem się przecież z waszych książek, że już od odwiecznych czasów silili się lekarze na wynalezienie takiego środka. Jeden stary król, nabyć chciał od swéj pięknéj, świeżéj i młodéj Liagiba sił żywotnych, których mu brakło, i czegoż dokazał? zabił ją a sam nie żył długo. Potém wymyślono płynne złoto na przedłużenie życia, ludzie przepłacali to lekarstwo na wagę dyamentów i nie zyskali korzyści z niego. Jakiś książe starał się odżywiać w atmosferze, w któréj się pociły młode i zdrowe panny jego kraju, i umarł na wściekliznę. Potém używano transfuzyi krwi z dzieci i mło-

dych ludzi; zabito ich nie mało, i nie cieszono się dłuższém życiem. Zdaje się, że przyroda nie lubi żeby ją zastępowano w tak ważnéj sprawie jak życie, sztucznemi środkami. Walczyć z przyrodą o pierwszeństwo, to strasznie trudne zadanie!

— Ty możesz walczyć i z naturą, o człowiecze wyjątkowy! który sam jesteś więcéj utworem sztuki jak natury. Posiadałbyś tę jędrność rozumu, gdybyś się nie był pozbył sztucznym środkiem wszystkich przykrych wspomnień, tłoczących, ścieśniających i gnębiących twą wiedzę? Umiałem ci odjąć, lecz dodać nie umiem; pokaż się wyższym odemnie twórczą wyobraźnią, tak jak już jesteś wyższym odemnie bogactwem wiedzy. Widzę po tobie, że już w twym mozgu roi się myśl jakaś, ogromna jak Tytan.

— Rzeczywiście, jest tam cóś w téj głowie, co się rusza i rośnie, a nie może wystrzelić w górę od razu, tak jak łodyga kwiatu aloesowego. Trzebaby mi chyba jakiegoś wzniecenia; to całomiesięczne więzienie w twéj turmie i to ciągłe połykanie twych książek uchem, dyable mi stępiło siły wyobraźni; daléj przypraw wyobraźni skrzydła, tak jak przyprawiłeś ciału.

— To téż to, że tego nie umiem, niech mnie piorun trzaśnie! mój dobry Nafirku. Skrzydła, przyznam ci się, byłyby ci wyrosły same z siebie

w tym klimacie, ja tylko przyśpieszyłem ich rozwój, tak jak można przyśpieszyć rośnięcie włosów. Wiesz co, podchmiel sobie tym dwustoletnim nektarem, to cię może wznieci.

— Nie chcę! przez całe me życie nienawidziłem trunku; mnie trzeba do wzniecenia czegoś innego, czegoś mniéj materyalnego, czegoś estetyczniejszego, uroczego, a co miłe uczucia wzbudza.

— Ach! teraz wiem czego ci potrzeba, mój dobry Nafirku; tobie trzeba widoku młodéj, pięknéj kobiety! Ach mój przyjacielu! to środek silny, potężny ale niestety, częstokroć tak zbyt potężny, że starga nerwy i mózg odurzy, zamiast go wzniecić. No! ale ty musisz mieć doskonałe siły pod wszystkiemi względami, sprobujmy tego środka. Zaraz zatelegrafuję po osobę, któréj widok przywróciłby trupa do życia.

— A gdzież twój telegraf? Już mi mówiłeś o akustycznym telegrafie, zdaje mi się gdym był w kąpieli zapomnienia.

— Nie mylisz się. Moje telegrafy oto w tych czterech szafkach, obróconych na cztery strony świata. Przyrząd sam bardzo prosty: przez każdą szafkę prowadzi dziura wskróś muru, jest i doskonała bussola, wskazująca kierunek jaki chcę nadać głosowi, i pięć piszczałek z kruszcu topionego ze szkłem, które wymawiają za silném dmu-

chnięciem tego mieszka, po jednéj z pięciu znanych nam samogłosek. Wszystkie słowa można wymówić temi samogłoskami, szykując je w pewien umówiony porządek, przedłużając je i zatrzymując się z chronometryczną dokładnością. Teraz ustawiłem rurę, wskazującą dyrekcyę do mego pałacyku w Snogrodzie. Teraz wkładam w nią pięć piszczałek wymawiających: a, e, i, o, u, i dmucham kolejno, rozumie się według umówionego programatu.

Dmuchał raz w tę, raz w ową piszczałkę, czasem po dwa i trzy razy w jedną, czasem krótko, to znowu dłużéj, z przestankami i bez przestanków. Wszystkie te piszczałki wydawały przejmujący, cienki, jakoby promienisty pisk.

— Głos tworzy się dopiéro na cyferblacie z pęcherza ryby drętwika, na któren pada u celu swéj podróży, lecz nie dolatuje tak prędko, jak światło lub iskra elektryczna, temu już zaradzić nie możemy, mój Nafirku, rzecze Gerwid, siadając obok swego cyferblatu i przybliżając nowowyszłą książkę do ucha.

Dopiéro za dobry kwadrans doleciała odpowiedź i odmalowała się na drętwikowym cyferblacie pięciu różnemi figurami jeometrycznemi w różnym porządku, raz kruciéj, raz dłużéj przebywając na czułéj tarczy.

— Za półgodziny puszcza się w podróż, za piętnaście godzin będzie tutaj, krzyknie Gerwid, zacierając ręce i skrzydła.

— Kto taki?

— Ona!

— Jaka ona?

— Lawinia, geniusz księżyca.

14. Lawinia.

Téj nocy wypiłem oddech Lawinii nawet z materaca, dotychczas szanowanego.

Natychmiast uczułem w sobie nie tylko więcéj serca, rozumu duszy, lecz nawet więcéj gieniuszu, który jest dzieckiem skupienia tych boskich darów.

Myśl, nad któréj porodzeniem tak się siliłem, wystrzeliła we mnie nie tylko jak łodyga kwiatu aloesowego, lecz jak wrzący na milę wysoki wodotrysk.

— Wiem, co ci potrzeba wielkorządco! krzyknę uradowany, tobie potrzeba promieni słońca zgęszczonych i zamienionych w płyn. A ja je skupię, zgęszczę, skoncentruję, zamienię w płyn życia, zamknę w dyamentowym flakoniku i odżywię cię tém, czém Prometeusz nadał życie kamiennemu posągowi.

Téj nocy nie mogłem się doczekać dnia, pro-

siłem Boga o jak najświetniejsze słońce, wylatywałem wysoko w powietrze nad obłoki, aby się przeświadczyć o statnie pogody, w powietrzu śpiewałem, biłem hołubce i wyskakiwałem najdziwaczniejsze antrsza i piruety; o mało co nie zostałem wzięty przez skrzydlaty patrol do kozy, jako perturbator, pijak czy waryat, szczęściem, że mnie wachmistrz dowodzący patrolem poznał jako gościa, z tak nadzwyczajną serdecznością przyjętego u wielkorządcy.

Istotnie nie posiadałem się z radości i nigdy świat nie przedstawiał mi się w tak uroczych barwach jak wtenczas, kiedy miałem pewność, że dokonam, czyli raczéj *kiedym dokonywał* największego odkrycia, jakie tylko śmiertelna istota mogła pomyśleć.

Czém jest pismo, proch, para, daguerotyp, chloroform, książka gadająca, woda zapomnienia, kwadratura koła, telegraf akustyczny i bezprzestanny ruchawiec, w porównaniu ze zgęszczeniem i uwięzieniem promieni słonecznych, tego pierwiastku światła i życia? Ja dopiéro uwieńczę wszystkie pomniejsze odkrycia koroną odkryć i będę królem wszystkich Koperników, Szwarców, Wattów, Dagerów, urzeczywistnię śmiały pomysł Prometeusza, pokutującego w mitologii najstarożytniejszych ludów od wiecznych czasów!

Jakim sposobem dokonałem tego odkrycia? Długo o tém mówić i całéj tajemnicy zdradzić nie chcę, dla niedowiarków jednakże, niechcących wierzyć w możliwość zgęszczania i uwięzienia promieni słonecznych, powiem, że na to trzeba słońca na zenicie, soczewki kryształowéj wypukło-wypukłéj, wielkości koła młyńskiego, dzwona kryształowego objętości beczki, grubości dwóch cali, z dziurką włoskową, wskróś przebijającą na wierzchu, wodorodu i tlenu w proporcyi potrzebnéj do zrobienia wody, nareszcie flakonika dyamentowego na przechowanie zgęszczonych promieni. Wszystkiego mi dostarczyć kazał księże wielkorządca za parę miljonów u optyków i chemików, i fiat vita! cui vita!

Uniesieni zapałem opowiadania, wyprzedziliśmy o dwa tygodnie czas, w którym się ziściły nasze nadzieje i oczekiwania najpiękniejszym skutkiem, i zapomnieliśmy mówić o osobie, któréj wpływowi przypisać winienem całą zasługę tego cudownego dzieła.

Mówię o Lawinii.

Lawinia przybyła w oczekiwaną chwilę ze swym bratem Icangi i z licznym orszakiem, na ogromnym wielorybie, którym kierowało przeszło dwudziestu synów księżyca własnemi skrzydłami, ża-

glami, wiosłami i śrubą Archimedesa, przyprawioną u tego olbrzymiego balonu z tyłu.

Nic nie wyrówna pyszności tego widoku.

Wieloryb świetniał w promieniach słońca, jak złota ryba z karmazynowemi skrzelami, pletwami i ogonem.

Spuścili się na płaski dach korpusu pałacowego, gdzie Gerwid, ja i służba, oczekiwaliśmy ich przybycia.

Z pod purpurowego baldachinu, Icangi sprowadził siostrę swoją złoconemi schodami na debarkader.

Kto kiedy w najmilszym śnie śmiał marzyć o czémś tak piękném jak Lawinia? Przypraw złote skrzydła najświetniejszemu kobiecemu utworowi egzaltowanéj wyobraźni twojéj, a jeszcze to będzie tylko skrzydlata córka ziemi, w porównaniu z aniołem zwanym Lawinia. Jéj wysoka postać, ubrana w niebieską gazę, spadającą jak obłok głęboko pod nogi, wdzięki jéj twarzy, nieporównana gracya jéj kibici, barwa włosów i skrzydeł, wszystko to świetniało, pachniało i śpiewało harmonią niebieską we wszystkich zmysłach moich i takie sprawiło wrażenie na méj duszy, żem zadrżał, zbladł i skrzydłami podeprzeć się musiał o ziemię, abym nie upadł.

Podobnegóż wrażenia, zapewnie przez odbicie,

doznała Lawinia, ale nie w tym stopniu, jednakowoż oprzeć się musiała o ramię brata swego, bardzo przystojnego młodzieńca, w myśliwskim stroju, z kordelasem przy boku, który także spójrzawszy na mnie, stanął jak wryty z oczami wyłupionemi na mnie.

— Dzieci! co to znaczy? patrzycie na siebie jak na upiory, to mój przyjaciel Nafir, o którym wam telegrafowałem niejednokrotnie. A to moja siostrzenica Lawinia, to mój siostrzeniec Icangi. No! poznajcie się i bądźcie dobremi przyjaciołmi, bo szlachetniejszéj istoty nie ma na całym księżycu jak pan Nafir.

Icangi przystąpił do mnie i porwał mnie w swoje objęcia, ściskając ramionami i skrzydłami jak starego znajomego, i mnie się serdecznie zrobiło w jego objęciach, ściskałem go jak dziecko, lubo tylko o pięć lat odemnie był młodszym. Jakaś promienista sympatya udzieliła się nawzajem sercom naszym, pojąłem zaraz w téj chwili, że będziemy nierozdzielnemi przyjaciołmi, gotowemi zginąć jeden za drugiego.

Potém zbliżyła się Lawinia i rumieniąc się po uszy, podała mi swą rączkę, najmilsze bawidełko jakie miałem w ręku. Jak się dziwnie smętnie uśmiechała, patrząc mi badawczo, pół nieśmiało, a pół poufale, w oczy!

— Wuju! wuju! patrz na pana Nafira i na Icangi, widziałeś w życiu swojém cóś podobniejszego? rzecze Lawinia głosem, od którego przypomnienia, jeszcze w chwili śmierci dusza się rozraduje moja.

— Nie, nie widziałem, odpowie Gerwid, istotnie tenże sam wzrost, ta twarz, tenże sam wyraz twarzy, te oczy, włosy i skrzydła, tylko że pan Icangi pucołowaty tak jak szlachcic wiejski, a pan Nafir ma twarz wyrazistszą, wyrobioną uczuciami i myślą, tak jak uczony. Ależ takie podobieństwo, to dziwna gra natury!

— W tém jest cóś więcéj jak ślepa gra przyrody, powie Lawinia cicho, tajemniczym głosem, jak gdyby do siebie mówiła, a rączki swéj nie wydziera z méj dłoni, ani téż nie spuszcza oka z méj twarzy.

— Cóż ty mówisz Lawinio! na miłość Pana Boga! to jest traf, nic więcéj; przecież się to nieraz wydarza takie w oczy bijące podobieństwo.

— Musi w tém być cóś jeszcze innego: ja to czuję tutaj wyraźnie, a tam jakoś głucho, chaotycznie, rzecze Lawinia, wskazując naprzód na swe serce, a potém na swe świetne czoło.

Wtém zagrzmiała wojskowa muzyka, może tylko o sto kroków nad nami.

Defiluje w powietrzu pułk gwardyi, którym dowodzi książe Neujabi, w szklistym szyszaku, w bły-

szczącéj zbroi. Sam Mars nie wyglądał nigdy tak świetnie. Lawinia spójrzała w górę, wypuściła mą rękę ze swojéj i zadrżała.

Książe Neujabi salutował orężem!!

15. Smętarz.

Lawinii drżały skrzydła ze wzruszenia zupełnie jak kuropatewce, nad którą jastrząb buja w powietrzu, a młody Icangi, klasnął z radości w ręce i poleciał jak sowizdrzał za zbrojnym hufcem.

— Strasznie jeszcze pstro w głowie u tego Icangi, rzecze Gerwid, za długo przebywał w Snogrodzie, jak można się zachwycać do tego stopnia ludem zbrojnym?

Niebawnie przyleciał Icangi, który na górze Marsowéj widział się z księciem Neujabi, i nie mógł się nachwalić jego grzeczności i dobréj miny.

Lawinia z zajęciem słuchała co opowiadał Icangi, lubo udawała pogrążoną ze mną w rozmowie, i że wcale nie uważa na jego słowa.

Wszystko to nie bardzo roskoszne myśli we mnie wzbudzało, uczułem żądło zazdrości głęboko w mém sercu. Ach! tak nikczemna namiętność, znalazła nawet do serca mieszkańców księżyca drogę.

— Nafirze! zlituj się, wyglądasz jak człowiek tracący odwagę, to nie przyciągnie ci serca kobiety, szepcze mi do ucha doktor Gerwid.

Uznałem mądrość uwagi Gerwida, i zaczerpnąwszy odwagi z głębi méj duszy, wystąpiłem do walki z obrazem księcia Neujabi, który zdaje się, już się zagniezdził w sercu Lawinii, przedziwnie pięknéj, uroczéj jak same bóstwo miłości.

Przy obiedzie, Gerwid nasunął mi sposobność błyszczenia mym dowcipem i memi wiadomościami. Lawinia z razu roztargniona, zaczęła się na mnie spoglądać coraz ciekawszém okiem, jak na jakieś wyższe jestestwo, i nareszcie całkiem zajęta rozmową, zleciała ze mną z sali jadalnéj pod szpalery ogrodu, i tam się przechadzała aż do późnego wieczora.

Dopiéro wówczas spostrzegliśmy, że jeden z licznych małych wulkanów, otaczających miasto na odległość dwu czy trzy milową, wyziewał ogień wysoko w niebo, i głębokim, jakby tłumionym łoskotem, roztrącał powietrze.

Wzbiliśmy się z Lawinią wysoko pod obłoki, aby rozeznać który to wulkan tak się rozognił.

Był to właśnie wulkan, służący naszemu miastu za smętarz, i sterczący wśród głębokiego jeziora, zwanego Martwém, dla tego, że żadnéj ryby, ani téż żadnego śladu jakiegokolwiek żyjątka, w nim dotychczas nie odkryto.

Tu nie chowają umarłych w łonie ziemi, lecz

ich wrzucają do krateru, w workach z materyi palnéj, mniéj więcéj kosztownéj i z ciężarem do nóg przytwierdzonym.

Nieboszczyk zstępuje z wysoka w otchłań zawsze się tlejącą, przy odgłosie muzyki jeśli jest bogatym, i z szybkością kuli spadającéj z zenitu.

Ognie krateru dokonywają dzieła zniszczenia, a popioły wyrzucone wybuchami jego, toną w ciągle burzących się falach jeziora bez śladu, tworząc tylko w głębiach pokłady soli wapiennych, potaziowych i sodowych.

Był to widok nad wszystkie opisy wspaniały: purpurowy ogień krateru, odbijał się miljonowemi łunami w zburzonych bałwanach, na których strzaskałby się w téj chwili najmocniejszy okręt, nawet gdyby był ze stali ukuty.

Wielkie mnóstwo mieszkańców miasta i okolic, krążyło około krateru po nad jeziorem, modląc się za dusze umarłych, których popioły w téj chwili spadały w wody Martwego jeziora. Lawinia pogrążona w smutnych myślach, wsparta na mojém ramieniu i utrzymując się wolnym ruchem skrzydeł prawie na jednym punkcie atmosfery, opowiadała mi, że przed laty pięciu jéj ojciec, przed trzema zaś jéj matka, znaleźli grób w ciągle palącém się wnętrzu tego wulkana.

— Umarli przed wcześnie, mówiła Lawinia, i zostawili nas sierotami, mnie i brata Icangi, wychowanych raczéj pieszczotliwie jak starannie, wielkim kosztem, ale tylko na ludzi bawić się lubiących, a do niczego dzielnego niezdolnych. Majątku nam nie zostawili prawie żadnego, jakież to szczęście, że w wujaszku, który się tymczasem zbogacił i pozostał starym kawalerem, znaleźliśmy tak dobrego i hojnego opiekuna. Wujaszek przecież swemi namowami tyle dokazał, że ja przynajmniéj w muzyce szczerze się kształciłam i że mój brat wziął się do nauki gospodarstwa ziemskiego z ochotą i wytrwał w niéj przez lat kilka, ale któż potrafi dzieciom w naszym wieku zastąpić rodziców? któż zdoła wyrugować z naszéj pamięci ich obraz w chwili, gdy się żegnali z nami, polecając swą duszę Bogu? Biedni rodzice! oni tak szczerze pragnęli pozostać z nami, i wcale nie tęsknili do innego życia, tak jak ja tęskniłam do nich po ich śmierci. Och! długo tęskniłam, i chwilami nawet teraz tęsknię, kiedy jestem smutną, a ziemia w całéj majestatycznéj pełni wznosi się na firmament.

Potém spojrzawszy w ogromną okazałą tarczę ziemi, rzekła:

— Ach jakże szczęśliwi muszą być mieszkańcy téj pysznéj planety, ukazującéj się zdumiałym oczom mieszkańców księżyca w tak świetnych barwach

i kształtach! O! tam ludzie muszą być nieskończenie szczęśliwsi od nas, nieprawdaż dobry panie Nafirze? ty najlepiéj o tém wiedzieć musisz?

— Z kądżesz ja mam wiedzieć o miła Lawinio, co się dzieje na ziemi? zapytałem zdziwiony tém zagadnieniem Lawinii.

— Wujaszek utrzymuje, że ty jesteś najmędrszym i najuczeńszym człowiekiem na księżycu, i że wiesz daleko więcéj od niego samego, który przecież do tychczas uchodził za pierwszego uczonego w całym Jasnogrodzie.

— Istotnie za takiego mnie wystawia doktor Gerwid w swéj dobroci i chęci zrobienia mi sławy, lecz nie poczuwam się do zasług odpowiednich téj sławie. To wiem, że są na ziemi mieszkańcy obdarzeni rozumem i wolą, lecz z ich dzieł sterczących na ziemi i bujających po wodach wnoszę, że mieszkańcy ziemi nie mają skrzydeł.

— Więc bujają po powietrzu bez skrzydeł, tym lepiéj, te skrzydła czasami bardzo niewygodne, dla tego najwięcéj, że są pozbawione czucia. Już razy kilka oparzyłam sobie i pogniotłam skrzydła, nieraz mi téż zawadzają w tańcu w salonie.

— Ludzie na ziemi wcale nie bujają w powietrzu, chyba za pomocą balonu, którym jak się zdaje jeszcze nie umieją kierować.

— Więc jakże się przenoszą z miejsca na miejsce, to chyba jak głos wibracyami powietrza?

— Przenoszą się piechotą, końmi i za pomocą pary po ziemi i po wodzie, i wcale nie podróżują po powietrzu, tak jak my, szczęśliwsi od nich mieszkańcy księżyca.

— Musisz się mylić kochany Nafirze; istoty rozumne, mieszkające na ziemi, o tyle muszą być szczęśliwsze od nas, o ile ziemia jest piękniejszą od księżyca; i ja po méj śmierci chcę być przeniesioną na ziemię, gdzie niezawodnie znajdę ojca i matkę, bo czemużbym tęskniła do ziemi, gdyby ich duszy tam nie było? a czemuż by oni po tak cnotliwém życiu, mieli zejść na padół nieszczęśliwszy od naszego? Nie! panie Nafirze! ziemia jest doskonalszą od księżyca, i ludzie tam nie potrzebują skrzydeł do przenoszenia się z miejsca na miejsce, tylko mkną siłą woli swojéj jak głos po przestrzeni. Ach, patrz Nafirze na tę piękną ziemię, która teraz w całym majestacie buja na firmamencie i swym blaskiem zaciemnia ogień tego wulkanu. Och! tam ludzie szczęśliwsi! może ztamtąd mój ojciec i matka patrzą w téj chwili na swój grób, i mnie tu widzą płaczącą nad nim. Och niezawodnie! bo tam daleko lepsze od naszych muszą mieć teleskopy, wszystko tam doskonalsze i piękniejsze.

Łzy żalu i tęsknoty spadały z oczu Lawinii w wody Martwego jeziora.

Widząc ją w tak uroczystém usposobieniu, nie miałem odwagi paraliżować jéj wyobraźni, wzniesionéj do tak szczytnego egzaltu.

— Chciałabym widzieć przystojnego mężczyznę mieszkańca ziemi, musi być pięknym jak Bóg, doda Lawinia, podając mi ręce, bo już jéj skrzydła słabnąć zaczęły do tego stopnia, żeśmy wrócić musieli na ląd i odpocząć na kopule panteonu Jasnogrodzkiego.

Lawinia wsparła głowę na ramieniu mojém i znękana uczuciami dnia tego usnęła. Jest ze mną jak siostra z bratem, a znamy się dopiéro od dnia dzisiejszego!

Ach cóż to za cudny wdzięk niewinności w téj twarzy, błyszczącéj rozumem, w tém czole jaśniejącém roztropnością!

Lawinio! czémże się różnisz od aniołów?

Niczém!

16. Wynalazki.

Raz nam tu wiatr zawiał aż na księżyc ułamek z jakiéjś gazety na ziemi drukowanéj, a doktor Gerwid, który jak się zdaje zna wszystkie języki i umie czytać wszystkie pisma, następujące

na tym świstku wyczytał zdania o wynalazkach, któremi się obecnie chlubi ziemia:

„Igła magnesowa odkryła nam nowe dla nas światy i dała znowu początek rozlicznym wynalazkom i sama stanowi epokę ważnych odkryć, jakie za jéj pośrednictwem dokonane zostały. Późniéj sztuka drukarska i sztuka strzelnicza, jak meteory jakie, świecą pośród tysiąca innych wynalazków swoją ważnością i bogactwem następstw jakie sobą wywołały, a do czegoż nas nie doprowadzą postępy aeronautyki, które zawdzięczamy Gawarniemu, jeśli do niéj zastosujem najnowszy i najważniejszy ze wszystkich wynalazków tu u nas w Warszawie dokonany, machinę nieustającego ruchu, wynalezioną przez Adolfa Hofmana, stolarza z Włocławka.

Druga mianowicie połowa upłynionego stulecia i początek naszego wieku, tak obfity był w wynalazki, iż prądem swoim uniosł nas aż do granic nowéj ery, do któréj wrota otwarła nam para, koleje żelazne, statki parowe i maszyny parowe, które w ogólności wstrząsnęły do posad i na nową wprowadziły drogę fabryki i wszelkie dotychczasowe rękodzielnie i rzemiosła. Badania w dziedzinie chemii poczynione, naprowadziły na odkrycie oświetlania gazem i na wynalezienie dagierotypów i fotografii. Chemia wskazała sposób wyrabiania słod-

kiego cukru z głupich buraków, piorunowéj substancyi z łagodnéj bawełny, a dobroczynnego chloroformu z podłéj wódki kartoflanéj.

Wynalazki w dziedzinie maszyn poczynione, doszły do zadziwiającego stopnia doskonałości i przemysłu. Dosyć przytoczyć tutaj maszyny parowe do przędzenia i wyrobu wełny, do bicia monet, maszyny drukarskie, które w jednym swym końcu przyjmując arkusz białego papieru, w drugim końcu oddają go po obu stronach oddrukowany, z szybkością zastępującą cztery inne w tym celu maszyny. Chronometry tak ważne w morskich podróżach, dzisiaj z taką wykonywane są ścisłością, iż po odbyciu dwóch podróży na około świata, zaledwie o $^1/_3$ część sekundy nie zgadzają się. Zegarek nie zajmujący więcéj nad jeden rubel przestrzeni, wskazuje z niesłychaną dokładnością i wybija godziny i kwadranse, wskazuje sekundy i tercye, oraz daty z kompensacyami na zmianę temperatury, ubezpieczone od następstw uderzenia.

Optyka wprowadziła rozliczne także wynalazki, wskazała udoskonalenie szkieł achromatycznych, teleskopów, mikroskopów, oftalmoskopów i tym podobnych narzędzi, któremi dojrzeć można aż do księżyca i przekonać się, że na nim są góry, morza i lasy.

Fizyka także nie mało w ostatnich czasach

przysłużyła się swemi odkryciami i wynalazkami. Tu należy latarnia bezpieczeństwa Davego, odkrycia Bisteda i Faradya, poczynione w dziedzinie magnetyzmu, elektryczności i galwanizmu, i zastosowanie nie tylko do medycyny, ale nawet do chirurgii przez galwano-kaustykę.

Wynaleziony i udowodniony przez tych mężów, prąd galwaniczny, stał się źródłem, z którego wytrysnęła niezliczona ilość innych odkryć, oświeciły wiele niezbadanych dotąd fenomenów, umysł człowieka niby z dzieciństwa prowadząc do coraz wyższego i dojrzalszego swego rozwoju, i grożą już dzisiaj obaleniem siły pary, zastąpić ją mając nadzieję tym galwanicznym prądem. Telegrafia elektryczna zniszczyła przeszkodę przestrzeni i czasu, a aerostatyka pracując nad udoskonaleniem powietrznéj żeglugi, dopełni może wkrótce oddania nam w ręce tego wszechwładztwa nad przyrodą, które się człowiekowi z wyroków Stwórcy należy.

Wkrótce człowiek-ptak zaleci na księżyc i zrobi sobie z niego swą kolonię, potém wtargnie na słońce, obetnie mu promienie i sprzedawać będzie jak tyczki do chmielu na rynku starego miasta.“

* * *

Tyle jest słów gazety, która jak się zdaje, jest rodzajem Ewangelii u biednych mieszkańców ziemi.

Otóż w ten sposób rozumują ludzie pełzający po ziemi! Daleko skromniejsi są skrzydlaci mieszkańcy księżyca, którzy używają dobrodziejstwa telegrafów akustycznych, książek gadających, zegarów odpowiadających na pytania, maszyn w ciągłym ruchu pozostających bez pomocy pary i elektryczności i stu innych nieznanych nam rzeczy, ułatwiających im wygody życia, naukę i postęp wszechstronny.

Nie! żaden mieszkaniec księżyca jeszcze nie śmiał powiedzieć, że wszechwładztwo nad przyrodą należy się człowiekowi z wyroków Stwórcy, i że wkrótce śmiertelny, a nawet nieskrzydlaty syn natury, osiągnie cel swoich życzeń, owładnie swą matkę i panować nad przyrodą będzie *ten*, nad którym panuje tutaj awanturnik, tam kobieta, ówdzie człowiek niewidomy, a gdzieindziéj jeszcze pijanica.

Ludzie na ziemi strasznie zarozumiali, daleko skromniejsi ludzie na księżycu; nie myślą wydzierać naturze berło, a jednakże więcéj się zbliżyli do źródła jéj tajemnic, i to dzięki mnie, dzięki mojemu eliksirowi długowieczności, którego wynalazek nie dokonał się wcale przypadkowym sposobem, lecz był owocem głębokich badań i bystrych spostrzeżeń rozległéj nauki i genialnych pomysłów.

Tak jest, i moje odkrycie było zamierzoném, umyślném i nikt przedemną nie zgęścił za pomocą optyki i chemicznego powinowactwa promieni słonecznych w krople, ani nawet o tém nie pomyślał.

Długowieczność zawarta w dyamentowym flakoniku, jest u mnie w kieszonce na piersiach! Na kolana przedemną o ludzie, którym potrzeba kilka lat więcéj życia dla pogodzenia się z Bogiem, lub dla dokonania jakiego chwalebnego czynu!! Ja wam je przedam bezpłatnie, a wam, którzy żyjecie dla zemsty, dla dumy lub tylko dla osobistéj roskoszy, nie dam ani kropli, nawet za miljon!

Lachesis! o miła Parko, która przędziesz wątek życia śmiertelnych istot, uznaj mnie za brata, urośnie ci pod rękoma kądziel, o Klotos! gdy miłych mi ludzi los w twych palcach trzymać będziesz. Mniéj łez wylejecie o dobre Parki! od téj chwili nad krótkością zasobów życia, lubych wam istot. Lecz jakżeby wam tu przesłać nowinę tego odkrycia? na to nie wystarczy telegraf akustyczny doktora Gerwida. I jak będziecie zdziwione, kiedy na raz, za chwilę, ujrzycie nić życia księcia Wadwisa mocniejszą i dłuższą! Komuż to przypiszecie? Samemu Zeutowi, czy jego wnukowi Asklepjosowi? Och nie! to mnie się należy ta zasługa, mnie jedn.emu śmiertelnikowi, który tego daru nie

nadużyje nawet dla siebie samego, gdyby życie jego nie miało wartości dla świata i dla Boga.

17. Kuracya.

Więcéj na skrzydłach tych myśli, jak na moich własnych piórach, puszczam się nocną porą z mą zdobyczą ku zamkowi gubernatora, znajduję jego prywatne okno otwartém i wciskam się przez nie do sypialni księcia, nie zważając na *qui vit* szyldwacha.

— Doktorze! rzecze na łożu leżący książe, na miłość Pana Boga! wkradasz się do mnie jak.....

— Kończ mości książe dostojną myśl twoją, tak jest! wdzieram się do ciebie jak złodziéj, nic więcéj, jak złodziéj, bo nim jestem, okradłem słońce z kilku promieni, które do niego już nigdy nie wrócą, jaśnie oświeconemu losowi twemu zadałem kłamstwo, a pannie Atropas, gotującéj się przerznąć nić miłościwego życia twego, wytrąciłem nożyce z ręki. Mości książe! Uznaj we mnie Prometeusza nie nagiego, do skały przykutego z sępem na wątrobie, jak go przedstawiają malarze, lecz Prometeusza dziewiętnastego wieku, we fraku i klaku, w czarnych okolicznościach i lakierowanych butach, z okularami i skrzydłami....

— Masz tam tedy! krzyknie wielki pan, jestem, niech mnie dyabli, porwą pacyentem waryata.....

— Uspokój się mości książe, przebacz że zapału mego hamować nie umiałem w twéj jaśnie oświeconéj obecności, lecz inny na mojém miejscu byłby istotnie oszalał, wiedząc, iż trzyma w swéj kieszeni rękojmię długowieczności męża tak potrzebnego krajowi i całéj ludzkości. Oto książe moje promienie ożywczego słońca, nie pokazuję ci ich w kształcie pochodni lub lontu, lecz jak widzisz oto w płynie, zawarte w flakoniku, jedną kroplą téj cieczy wzmacniam ci puls, oswobadzam oddech, z głowy zdejmuję ciężar, z serca troski i nadaję ciału całemu sen ożywczy, po którym się uczujesz za godzin ośm o tyleż lat młodszym człowiekiem. No! dowierzasz mi książe?

— Pierwszą próbę na mnie chcesz zrobić doktorze, rzecze truchlejąc książe.

— Pierwsza próba szczytnego wynalazku niech się odbędzie na twém szlachetném zdrowiu. Za nadto jestem pewny skuteczności mego lekarstwa, stanowiącego erę w dziejach świata. Zresztą jedna kropla żadnéj substancyi szkodzić ci nie może.

— Ach, ba! kwasu pruskiego jedna kropla zabija, zarzuci książe.

— Kwas pruski robi się z padliny, a mój eliksir życia z promieni słońca mój książe, jaki początek taki i koniec. Eliksir życia właśnie jest

jedynym, dotychczas napróżno szukanym antydotem kwasu pruskiego.

— Gotóweś mi wszczepić kawałek słońca w żołądek twemi promienistemi kroplami i zrobić mnie prawdziwą światłością, będę świecić jak świętojański robaczek, jak latarnik lub jak stróż nocny, noszący latarkę na brzuchu. Ale wiesz co? doskonała myśl, każę strąbić wszystkich stróżów nocnych stolicy przed mój pałac i zadasz im po kropli twego słońca, może to nas doprowadzi do oszczędzenia świec dla straży nocnéj.

— Wolne żarty jaśnie oświeconemu panu, ale za nic w świecie nie będę profanować eliksiru życia na taki cel. Od ciebie chcę zacząć mój książe, i tak jestem pewny skutku, że się ofiaruję pozostać jako zakładnik tu przy tobie i spędzić w tym samym pokoju resztę nocy, aż do twego przebudzenia i odmłodzenia.

— Pod takim warunkiem zgadzam się na wszystko, ale nie weźmiesz mi za złe, że obstawię wszystkie drzwi, okna i kominy szyldwachami, i że strzelać każę do każdego, któryby drzwiami, oknem lub kominem chciał wylecieć z téj sypialni.

— Nawet i wentylatory i rurki od wody i gazu, każ obstawić szyldwachami, mój książe; nie obawiam się żadnego zawodu i chętnie tu zostanę

czuwając nad twym dostojnym snem i jaśnie oświeconemi marzeniami waszéj światłości.

Przyjął nareszcie jeszcze po kilku nowych ceregielach, jedną kroplę eliksiru długowieczności, uczuł się nadzwyczaj pokrzepionym i usnął snem sprawiedliwego, ja zaś, uszczęśliwiony tym dobrym skutkiem, nie spuszczałem oka z pulsometru, z pulsoskopu, z respirometru, z respiroskopu i z kilku innych przyrządów, któremi lekarze na księżycu badają i mierzą objawy, wszelkie sprawy życia w chorym i zdrowym człowieku.

Wszystko w jak najlepszym, prawidłowym jak sobie życzyłem, odbywa się postępie. Usnąłem nareszcie sam i przebudzony zostałem przez samego pacyenta, który odziany w wice-mundur stał przedemną wyprostowany i serdecznie mnie uściskał, gdy się równemi nogami zerwałem z kanapy.

— *Experimentum factum*, zawoła silnym głosem książe Wadwis, poznajesz mnie lekarzu? bo ja, to sam siebie zaledwie poznać mogę i od dawna nie czułem się tak rzeźwym.

Nawet buty z ostrogami przywdział stary żołnierz, buty z ostrogami, do których tęsknił od tak dawna jak kania do deszczu lub rekonwalescentka do czepka. Ostrogi brzękiem swoim przypominają mu dawne czasy rycerstwa i parad, i o nich zaraz pomyślał, gdy się uczuł silniejszym i zdrow-

szym. I ja od téj chwili pokochałem ostrogi, jako najmilsze zwiastuny szczęścia dla mnie.

18. Wdzięczność pacyenta.

— A zatém: *exegi monumentum aere perennius*, pomnik sobie postawiłem nad śpiżowy trwalszy, już o tém wątpić nie mogę mości książe, widząc cię dzisiaj prześlicznym, a przypominając sobie żeś wczoraj, przed ośmiu godzinami jeszcze był zgrzybiałym, ledwie się ruszać mogącym, i po prostu powiedziawszy prawie dogorywającym starcem. Tak nagła przemiana....

— Jest ona pod wszystkiemi względami widoczną i jest twojém dziełem, wcale o tém wątpić nie można, rzecze z niezwykłą żywością książe, jeszcze mnie raz ściskając i unosząc z ziemi w górę jak piórko, a potém folgę dawszy serdecznym uczuciom swoim doda:

— *Exegisti monumentum aere perennius*, nie ma co mówić, że cię czeka nie jeden ale tysiąc pomników, o tém żadnéj wątpliwości być nie może, ale i to pozostanie prawdą, że *bis dat qui cito dat.* Mnie tłoczy ciężar wdzięczności tobie winnéj, o świetny mój doktorze, i to tym więcéj, im lepiéj sobie przypominam z jaką niewiarą przystępowałem do użycia twego cudownego środka. Chciałbym ci natychmiast, idąc bez żadnéj przewłoki za

popędem mego serca, okazać wdzięczność moją i to w sposób tobie najmilszy. Wiesz, że moja potęga jest wielką, bo sam monarcha tyle we mnie pokłada zaufania, że na czas pobytu swego u wód mineralnych, żadnemu z swych najdostojniejszych krewnych, lecz mnie, żołnierzowi, który tylko waleczności winien swe wywyższenie, powierzył rządy stolicy i kraju. Więc czegoż pragniesz? może pieniędzy? mogę ci zaforszusować półmiljona na rachunek miljonów, któremi cię niezawodnie najjaśniejszy pan obdarzy za twe wielkie odkrycie. Pragniesz może honorów? mogę ci udzielić niższe stopnie aż do komandorskiego, orderu szmaragdowéj jaszczurki, postanowionego dla mężów, którzy oddali usługi naukom przyrodzonym, i zarazem orderu węża brylantowego, postanowionego na uczczenie usług oddanych medycynie. Jestem pewien, że sam monarcha wręczy ci potém wielkie ozdoby tych dwóch orderów, a może postanowi z powodu twego odkrycia order Prometeusza, prosząc, abyś ty Nafirze, raczył sprawować dostojeństwo wielkiego mistrza tego orderu i przyjął w grono jego kawalerów, a twych podkomendnych samego najjaśniejszego pana. Cha! cha! mój przyjacielu Nafirze, z którym pragnę być od téj chwili *ty* a *ty*, tak jak z najrodzeńszym bratem, cha mój przyjacielu! jakież ciebie oczekują zaszczyty w tém kró-

lestwie i na całym księżycu! Och, kochany przyjacielu i życiodawco, nie minie cię nagroda godna tak wielkiego, rozumowi ludzkiemu taką chlubę robiącego wynalazku.

— Mój dobry książe, rzeknę na to, już cokolwiek spodufalony, nie mówmy w tych uroczystych chwilach przyjacielskiego uniesienia o żadnych nagrodach, któremi monarchowie wynagradzają zasługi uczonych. Moja prawdziwa najlepsza nagroda jest tutaj w sumieniu, tutaj w sercu, téj mi nie jest w stanie ani nadać, ani wyrwać żaden monarcha. Racz się zatém o wielkorządco! jeszcze wstrzymać z obkładaniem mnie orderami jaszczurki, węża i Prometeusza, i nie budź śpiącéj jeszcze a straszliwéj zawiści synów Eskulapa, niecierpiącéj wszystkiego co zanadto świeci. Używaj książe w spokojności roskoszy powracającego ci zdrowia. Ależ mnie dziwi niezmiernie dostojny mój przyjacielu, że tu nie ma książęcia Neujabi? że syn nie cieszy się widokiem ojca, co tak nagle wrócił do sił i zdrowia.

— To dalibóg prawda, gdzież jest książe Neujabi? spyta wielkorządca, zadzwoniwszy na kamerdynera.

— Odbywa przegląd swego pułku, odpowie kamerdyner.

— Cóż u kaduka! krzyknie książe Wadwis, od

tygodnia codziennie bawi się rewiami, jak gdybyśmy byli bardzo bliscy wojny z sąsiadami, a wprzód przez rok cały ani razu nie widział pułku w komplecie i czas trawił na muzyce i malarstwie. A gdzież się odbywa przegląd?

— Przed obserwatoryum rzeczywistego radcy zdrowia Gerwida, gdzie się od tygodnia zwykle odbywa, czasami nawet dwa razy, odpowie adjutant księcia, który tym czasem przybiegł.

— Jest w tém cóś do miljona dyabłów, że Neujabi wybiera takie miejsca na swoje parady, pobudki i capstrzyki, rzecze do siebie wielkorządca, kazawszy odejść adjutantowi i kamerdynerowi

— Och! jest w tém cóś mój dostojny pacyencie i panie, rzeknę płaczliwym głosem, i szlochając dodam: książe Neujabi bałamuci mi ideał temi paradami, przeglądami z ogniem i bez ognia, temi pobudkami i capstrzykami, które żołnierza bardzo męczą i drą mu mundur, bo wszystko to się odbywa w najparadniejszych sukniach, w hełmach i pancerzach. Otóż temi rycerskiemi sposobami, waleczny książe Neujabi usiłuje się wkraść w serce Lawinii i mnie z niego wyrzucić.

— Bałamuci ci ideał, mój biedny doktorze, wtenczas kiedy ty pracujesz tak mozolnie nad przywróceniem jego ojcu zdrowia? to niegodnie! Każę

go natychmiast aresztować na czele pólku i w oczach pięknéj panny Lawinii.

— Mości książe, aby nie to! zgubiłbyś mnie na wieki, a jego wzniósłbyś w sercu Lawinii do potęgi męczennika, otoczyłbyś go wszystkiemi urokami prześladowanéj cnoty. Nie panie, nie aresztuj księcia, ale jeśli ci miłe szczęście i życie twego całkiem ci oddanego lekarza, to usuń ztąd na czas niejaki pod jakim pozorem twego syna, bo inaczéj Lawinia, dla mnie przeznaczona przez samego wuja Gerwida, zachwyci się nim na zabój, a przecież sam dostojny książe nigdy nie zezwoliłby, żeby jego syn ożenił się z panną nie posiadającą historycznego nazwiska.

— Za nic w świecie, chociaż mówią, że panna Lawinia tak jest cudnie piękną, że już z powodu swéj piękności uchodzić może za historyczną osobę. Muszę ja to sprawdzić, może jeszcze dzisiaj, bo jakoś czuję się dziarsko na siłach i zdaje mi się, że widok ładnéj, miłéj kobiety, jakoś dopomógłby skuteczności tych kropli. Co zaś do księcia Neujabi i jego bałamuceń twego ideału, to ci powiem doktorze, że dla niego już dawno obmyśliłem partyę, która nowego doda blasku naszemu rodowi: Neujabi ma i musi się żenić z wdową po ogromnie bogatym królewskim księciu Nicostawie, który wprawdzie jeszcze żyje ale już, jak to mówią,

z ostatniéj piszczałki dmucha. Otóż najlepiéj będzie usunąć dobrodzieja ze sceny i posłać go gdzieś niby w ważnéj missyi za granicę, najlepiéj do Snogrodu na powitanie wice-lamy, który tamże zjechał dla objęcia rządów. Zaraz telegrafuję do monarchy mego i proszę, żeby syna mojego zaszczycono missyą poniesienia ukłonów i zapewnień przyjaźni. Bądź spokojnym mój życiodawco, nie pozwolę ci krzywdy wyrządzić; ty tymczasem zaraz po wyjezdzie niebezpiecznego Neujabi, przypuść szturm do serca pięknéj Lawinii i ożeń się jak najprędzéj jeszcze nim wróci; ułatwię ci nawet uzyskanie dyspensy od zapowiedzi. No cóż doktorze, czyś zadowolniony ze mnie?

— Więcéj jak gdybyś mię książe był obsypał dziewięciu orderami Prometeusza, wężów brylantowych i szmaragdowéj jaszczurki.

Chciałem się rzucić na kolana, książe powstrzymał mnie i serdecznie do piersi przycisnął.

19. Szarlatanizm.

Dotrzymaliśmy sobie nawzajem słowa: książe Wadwis wyekspedyował syna swego z ukłonami do Drzemniawy, stolicy państwa Snogrodzkiego; ja zaś postawiłem go na nogi, ale tak doskonale, że wszystkie obowiązki jako wielkorządca i głównie komenderującego korpusem jenerała mógł objąć, dziel-

nie pełnić, a nawet na koniu harcować przed jedynym w tych okolicach konsystującym pułkiem jazdy, nie wiele bowiem jéj tu użyć można i tylko w razie wojny z Ciemnostanem jest niezbędną dla pokrycia granicy płaskiéj od strony morza.

Sława moja rozeszła się odgłosem krociogębnym wszystkich telegrafów akustycznych po całym kraju Galangów i po całym Jasnogrodzie. Codziennie przybywało do mnie tak wielkie mnóstwo chorych, zwłaszcza starców z odległych okolic, że wszystkie hotele niemi były zapełnione i wkrótce nawet w nich zabrakło miejsca. Każdy tu chciał żyć dłużéj, a nawet tacy, których życie nikomu na nic się nie zdało i owszem jeszcze innym potrzebnym światu ludziom zawadzało, najwięcéj garnęli się do mnie. Roskosznicy, ofiarowali mi złote góry za odżywiające krople, utrzymując, że ich potrzebują do nawrócenia się i przepędzenia reszty życia w skrusze i modłach.

Nie wszystkich można było odżywiać wzmacniającym nektarem: tacy, u których chorobliwe przetworzenia brały w organach szlachetniejszych górę nad zdrowie, zamiast korzyści odnosili tylko szkodę z wzmocnienia prędu życia, zresztą wierny zasadzie mojéj, uroczyście zaprzysiężonéj w obec zawezwanego na pomoc Boga, nie udzielałem prawdziwego eliksiru życia rozpustnikom lub ludziom

pędzącym życie w gnusności; żadnemu jednakże z powierzających mi się pacyentów nie odmawiałem wyraźnie ani pomocy, ani lekarstw, każdego dobrze wybadałem pod fizycznym i moralnym względem, który tylko do mnie się uciekł po radę. Jedni otrzymywali prawdziwe krople życia, nawet bezpłatnie, jeśli byli ubogiemi; drudzy otrzymywali tylko cóś kolorem do mego eliksiru podobnego, nawet za drogie pieniądze, które w tym razie przeznaczałem na dobre uczynki, mianowicie na założenie domu przytułku dla ubogich starych wysłużonych i ubogich młodych nadzieję rokujących lekarzy.

Takim sposobem, chcąc nie chcąc zapuściłem się w dotąd obrzydliwą dla mnie drogę szarlataneryi, i przekonałem się z wielką boleścią serca, że najuczciwszy człowiek gdy jest lekarzem i gdy wielkiéj dostąpi wziętości, musi dla dobra ogółu, sztuki swojéj i swego własnego, odstąpić cokolwiek od miłéj mu rzetelności. Z téj przyczyny, nie potępiajmy tak łatwo dobrze intencyonowanych lekarzy, i nie bierzmy za złe panu Wurmsky, sławnemu lekarzowi w Drzemniawie, że w wyjątkowych okolicznościach leczy suchoty kwasem siarczanym, lodem i zimnemi kąpielami, szkrofuły kąpielami z sublimatu, i że nudy fantastycznego bogatego szlachcica rozpędza katedryzowaniem stopniowém à la major. *Melior anceps medicina quam*

nulla medicina, lepiéj niepewne lekarstwo jak żadne, mówi sobie w najlepszéj wierze doktor Wurmsky, a że kwasy i zimno jeszcze nie zostały użyte przeciw suchotom, a że lepiéj się wprawiać w katedryzowanie na żyjącym i płacącym szlachcicu jak na szpitalnym trupie, więc czemuż nie probować nowego lekarstwa przeciw nieuleczonéj chorobie i bolesnéj operacyi przeciw nudom życia bezużytecznego?

Otóż i ja szarlatanizowałem, wprawdzie nie w tak wyraźny i zbyt rażący sposób, lecz jednakże na stopę dość widzialną i martwiącą dla własnego sumienia mojego; i jedynie tém się pocieszałem, że dobroczynność z méj szarlataneryi skorzysta.

20. Nieprzyjęty podarunek.

Jakim sposobem zmusiłem promienie słońca do zgęszczenia się w płyn, tego nikomu nie wyjawiłem, nawet doktorowi Gerwidowi, zbyt delikatnemu, aby mi się śmiał wypytywać o nię.

Umiejąc jednakże uczcić ciągle mi okazywaną przez kolegę mego przyjaźń i potém ze względu na dobro ludzkości, która powinna była korzystać z tak wielkiego odkrycia, spisałem jak najszczegółowiéj tajemnicę wyroku kropli życia i opieczętowawszy ją w dwanaście kopert, darowałem Lawinii, robiąc ją legatorką sekretu, w razie gdy-

bym miał zejść nagle i niespodziewanie z tego świata.

Ta darowizna odbyła się uroczyście, w dziewiętnastą rocznicę urodzin Lawinii, w obec wielu zgromadzonych na świetną ucztę osób, którą nawet książe Wadwis, od pewnego czasu bardzo częsty gość doktora Gerwida, raczył zaszczycić swą obecnością.

Lawinii stanęły łzy w pięknych oczach, tak była rozrzewniona tym dowodem mego zaufania; po pierwszy raz w życiu nie umiała odpowiedzieć inaczéj, ależ co mogło być wymowniejszém w téj chwili, jak owe łzy dziewicy, widzącéj się depozytorką największego sekretu, jaki istniał na świecie.

Stary Gerwid także łzy osuszał pokryjomu i raz na mnie spoglądając okiem pełném serdeczności, drugi raz ośmielając Lawinię do odpowiedzi, zdawał się oczekiwać, że ta uroczysta chwila zrodzi jeszcze inną uroczystszą, stanowczą dla szczęścia mojego.

Lecz dziwna rzecz, Lawinia pozostała milczącą i dopiéro przemówiła, gdy książe wielkorządca do niéj się zbliżył i cóś szepnął w jéj ucho.

Lawinia rzekła słabym, drżącym głosem:

— Panie doktorze, zacny nasz i świetny przyjacielu! łzy których utaić nie mogłam, a nie spodziewałam się przelewać w tym dniu dla mnie uro-

czystym, są dowodem uczuć przejmujących mnie na ten dowód twego szacunku, objawianego w tak dostojném i liczném gronie, *mnie*, zupełnie nieprzygotowanéj na takie wzruszenie. Ja mam być depozytorką tajemnicy najważniejszego odkrycia, jakie zostało dokonaném może od stworzenia świata? nie mój przyjacielu, na to moje ręce za słabe, nie miałabym spokojności ani na chwilę, mniemając, że jestem w posiadaniu zdradzieckiéj puszki Pandory. Powierz raczéj tę tajemnicę całéj ludzkości, żeby wszystkie istoty na księżycu mieszkające z niéj korzystały, i sławiły cię jako istotę również szlachetną jak uczoną; lub jeśli się chcesz utrzymać przy przywileju tajemnicy, to ją każ zamknąć w granitowym bloku, którego całości strzedz będą szyldwachy samego najjaśniejszego pana. Mnie cięży ten ogrom odpowiedzialności nawet w téj chwili w mym słabym ręku, i dopiéro uschną łzy tak niespodzianie przelane, gdy go nazad przyjmiesz w twe dłonie.

Mówiąc to, Lawinia uchwyciła mnie za ręce, szczerze je uściskała i dopiéro je puściła, gdy w nich utkwił sekret opieczętowany dwunastu pieczątkami.

Nigdym tak bolesnego nie doznał wrażenia jak wtenczas, ani tak przykrego zawodu.

— Więc pójdę za radą twoją, o szlachetna dzie-

wico, rzeknę zrywając jedną po drugiéj kopertę, i w téj uroczystéj chwili, w tym szczęśliwym domu, w którym ty oddychasz o aniele piękności i rozumu, ogłoszę całemu światu tajemnicę długowieczności przezemnie odgadniętą.....

— Nafirze, przebóg! co robisz! krzyknie Gerwid, wyrywając mi z rąk zapieczętowany jeszcze na pół tuzina pieczątek papier. Król ofiaruje ci dwa miljony złotych, wielką wstęgę orderu węża brylantowego i szmaragdowéj jaszczurki, i posadę ministra zdrowia publicznego za tę tajemnicę, będziesz jednym z pierwszych dygnitarzy kraju! ja tobie chowałem tę niespodziankę.

— Nie będę żadnym dygnitarzem przyjacielu Gerwidzie, źle przystoją dostojeństwa, tytuły i ordery synowi Eskulapa, którego największą powinno być roskoszą, oddawać usługi częstokroć z upokorzeniem graniczące, najuboższym swym bliźnim. Chrystus Pan był ubogim, strzechy nie miał swojéj i jedną tylko suknię, i nogi mył zdrożonym żebrakom: ja chcę pozostać ubogim i żebym nigdy nie był kuszonym urokami bogactwa i honorów, głoszę tu wszem w obec i każdemu z osobna, że promienie słońca zostały przezemnie uchwycone i zgęszczone.

— Nafirze! Nafirze! jeszcze jedno słowo, krzy-

knie padając mi do nóg doktor Gerwid, ciebie unosi rozpaczliwe, a mnie wiadome uczucie.

I przyskakując do mnie, potarł mi organa pamięci nad okiem zawarte jakimś ożywiającym płynem, od którego zaświeciło mi się w głowie tysiąc kandelabrów, a potém rzekł jakimś językiem, którym na księżycu nikt nie przemawiał:

— Serafinie! synu ziemi! jeśli zdradzisz tajemnicę, to cię zaklnę w imię Polski i rodziców twoich, i wrócisz na padół płaczu i boleści, na którym nie znajdziesz ani Lawinii ani Malwiny!!

Struchlałem, i na całém ciele zadrżałem, a w téj chwili Gerwid wydawał mi się wielkim i groźnym, jak Atlas noszący niebo na swych barkach.

Ukorzyłem się przed rozkazującą istotą, i na jego żądanie przysiągłem, że nie wydam tajemnicy, chyba za korzyści odpowiednie jéj wielkości, a do mego własnego rozporządzenia pozostawione.

I znów Gerwid jedném zażegnaniem oswobodził mnie od kandelabrów, świecących w méj głowie, to jest od pamięci przeszłości.

— Więc tobie dobry przyjacielu, powierzam tę tajemnicę, rzekłem ochłonąwszy z wzruszenia.

— A ja przysięgam uszanować ją, i chyba po twojéj śmierci, która może nastąpić nagle i nieprzewidzianie, tak jak nie jednego zaskoczy, użyję jéj na korzyść Lawinii, dla któréj się zrzekłeś

wszelkich korzyści, gdybyś nie zezwolił pójść za naszą radą i podczas swego życia nie chciał z niéj zrobić użytku.

Podczas kolacyi, która teraz nastąpiła, stary książe Wadwis nadzwyczaj wiele zajmował się panną Lawinią; taki urok wywierała ta młoda prześliczna osoba, że najstarsi ludzie i najmłodsze dzieci nie mogły patrzeć na nią bez doznawania owych sympatycznych wstrząśnień, które najmiléj pobudzają sprężyny życia do działań. To téż sędziwy wielkorządca, który przed dziesięciu dniami ledwie dyszał i prawie dogorywał, teraz w widoku tylu piękna, życia i świeżości, czuł się do tego stopnia wzniesionym, że swych siedmdziesięciu lat, siwych włosów i wypierzonych lotek zupełnie zapomniał i na dobre mniemał, że jego gęste włosy w peruce i przyprawione sztucznie pióra do skrzydeł istotnie mu wyrosły z ciała.

Lawinię widać bawiły owe zaloty starego księcia, jakoś nie tyle tęskniła do rozmowy ze mną jak zwykle, a gdy się goście rozeszli, wyrzucała mi w słowach ani bardzo słodkich, ani téż wesoło figlarnych, że nie należało jéj robić wstydu w tak licznem gronie gości, owém powierzaniem sekretu zawartego w dwunastu kopertach.

— Czułam jak wszystkich oczy na mnie były zwrócone i mnie przenikały jak mieczami, jak mo-

głeś kochany przyjacielu wystawiać mnie tak niespodzianie na podobne wzruszenie?

— Komuż Prometeusz miał powierzyć promienie wiecznego słońca, jeśli nie najpiękniejszéj westalce całego księżyca? to był hołd oddany twym przymiotom, o cudna istoto!

— Ależ ja nie chcę pozostać wiecznie westalką, mój Nafirze.

— Ach tém lepiéj Lawinio, strzeżmy téj tajemnicy razem, korzystajmy z niéj razem, racz powiedzieć jedno słowo, a zezwolę być ministrem, rzeczywistym tajnym radcą zdrowia, dwumiljonowym panem i wielkim mistrzem wstęg i orderu wszystkich wężów brylantowych i szmaragdowych jaszczurek.

Upadłem przed Lawinią na kolana, która znowu zapłakała i drżącemi rzekła usty:

— Gdybym umiała rozkazywać sercu mojemu, ty byłbyś jego ideałem.

Domawiając tych słów, Lawinia czmychnęła przez otwarte okno na wysoki cedr Libanu i tam usiadła na samym wierzchołku, patrząc na ziemię, która z po za czarnych chmur nad widnokrąg księżyca wspaniale wschodziła.

Nie śmiałem polecić za nią na drzewo, bo na wierzchołku cedru zaledwie jedna osoba utrzymać się może.

— Gdybym umiała rozkazywać sercu, byłbyś mym ideałem!! Co znaczy taka odpowiedź? Więc mnie jednakże uważa godnym siebie, szanuje mnie, ale jeszcze mnie pokochać nie mogła..... Czyżby istotnie już kochała innego?... Czyby wzgardziła mą miłością, miłością wynalazcy eliksiru żywotności, a pokochała żołnierza o tém tylko przemyśliwającego, jakim sposobem zniszczyć życie ludziom, za to że lubią inne uczucia, inne myśli i inne barwy??...

21. Harfa.

Nie spałem téj nocy nękając się domniemywaniami; ziemia świeciła zbyt jasno i szarpała mnie za nerwy: widać że należę do rzędu istot, na które ten planeta wpływa bardzo mocno. Tutaj ziemia, gdy świeci w pełni i w czas bardzo pogodny, wywołuje trzęsienie księżyca, a pewne aloesy tylko wtenczas rozkwitają z wielkim trzaskiem i hukiem.

Adjutant gubernatora przylatuje do mnie raniuteńko, gdym jeszcze leżał w łóżku i zastukał do okna.

Otwieram, on wpada i prosi w imieniu księcia Wadwisa jak najuprzejmiéj, abym się natychmiast gotował w podróż do Drzemniawy, gdzie zachorował bardzo nagle i ciężko książe Neujabi, na cho-

robę prawie ciągle tam panującą, a zwaną *cholera morbus.*

— Racz pan wstąpić do księcia wielkorządcy, ale już wybrawszy się w podróż; zaraz tu stanie przed oknami pańskiemi ekstra pocztowa ryba o czterech ludziach, tyluż żaglach i śrubie Archimedesa; najdaléj za dwadzieścia kilka godzin staniesz pan w Drzemniawie. Gubernator czeka z paszportem i instrukcyami.

Pakuję się z takim pośpiechem, żem zapomniał wziąść z sobą służącego, i idę się pożegnać z Lawinią, którą zastaję na dachu, z harfą w ręku i śpiewającą.

— Lawinio! żegnam cię, jadę w podróż.

— Bądź zdrów kochany doktorze, zapewnie niedaleka podróż i dziś będziesz z powrotem?

— Owszem pani, jadę do Snogrodu, nawet do stolicy, do saméj Drzemniawy, rzeknę ostróżnie, z przyciskiem, dobrze uważając na twarz Lawinii, jakie sprawię wrażenie nowiną o chorobie księcia Neujabi.

— Nafirze! jak ty wlepiasz oczy we mnie? Boże, cóś mi masz złego do zwiastowania. Po co jedziesz do Drzemniawy?

— Zawezwano mnie do jednego dostojnego chorego.

— Do kogóż? spyta Lawinia cała drżąc.

— Do księcia..., odpowiadam nic śmiejąc powiedzieć.

— Do jakiego księcia? Na miłość Pana Boga?

— Do samego księcia wice lamy Snogrodzkiego, zasłabł na cholerę, która tam prawie ciągle panuje, rzeknę mijając się jak najzupełniéj z prawdą, dla oszczędzenia Lawinii zmartwienia.

— Znowu ta niegodziwa choroba jest w Drzemniawie, i właśnie musiała tam wybuchnąć w chwili, kiedy tam bawi....

Lawinia nie śmiała skończyć i zarumieniła się, spostrzegłszy jakiemi ją badawczemi oczyma nurtuję.

— Ach jedź! jedź doktorze! ratuj dobrego wice lamę, którego znam bardzo dobrze, bo nieraz dojeżdżał do naszego somnopatycznego zakładu w Chraplinie, i nawet brał tam kuracyę.

— Pani mi nie poruczy ukłonów?

— Dla kogóż?

— Dla innego księcia.

— Innego księcia?? ale prawda, przecież tam zapewnie bawi nasza deputacya, wysłana na przywitanie lamy, a z nią książe Neujabi: kłaniaj mu się kochany Nafirze, jeśli się o mnie spyta, *nie inaczéj* rozumie się mój przyjacielu, przecież wiesz, że to dość daleka znajomość....

W tém doktor uwiadomiony o mym wyjeździe,

zjechał na dach na swéj kieszonkowéj rybie. Natychmiast go uprzedziłem, że Lawinia nic nie wie o chorobie księcia Neujabi.

Nie bardzo był Gerwid zadowolony z téj podróży, i chciał koniecznie, abym tak długo pozostał w domu, aż on się porozumie telegrafem ze swoim dawnym dobrym przyjacielem, baronem Drzejną, prezesem sądu kryminalnego w Drzemniawie. Ale w tém nadjechał sam gubernator i stanąwszy na dachu krzyczał:

— Na Boga doktorze! śpiesz się: mój biedny Neujabi ciągle telegrafuje i pyta się czyś już w podróży, już pierwsze przypadłości cholery wprawdzie przeszły, idzie o to tylko, żeby nie wpadł w tyfus; odpowiedz słów kilka co ma robić i natychmiast puszczaj się w podróż.

Cóś trzasło na dole na bruku.— Była to harfa Lawinii, wypuściła ją z ręki i o mało co nie zemdlała....

Trzeźwiłem ją z rozpaczą w sercu, dalibóg! harfie zazdrościłem losu....

— Po tém co tu odkrywam radzić mam księciu Neujabi? mam wrogowi mojego szczęścia przedłużać życie? mówię do siebie trąc skronie Lawinii eliksirem promiennym.

Stary książe nie dał mi i tu pokoju, odsunął

mnie od Lawinii, sam ją chciał trzeźwić, i krzyczał wręczając mi papiery i dukaty:

— Jedź, pędź co masz siły, oto paszporta papierowe i kruszcowe, bo jeden bez drugich nic nie znaczą w Snogrodzie.

Stałem jak skamieniały, nie mogąc oczu oderwać od Lawinii, jeszcze zawsze omdlałéj, a tak pięknéj, jak jéj nigdy nie widziałem w życiu. Okropne jakieś przeczucia opanowały myśli moje, całą ich siłę krusząc lub przynajmniéj ztępiając.

Książe widząc, że nie ruszam się z miejsca, skinął na czterech skrzydlatych żandarmów, którzy mnie porwali w jednéj chwili za ręce, skrzydła i nogi, i wnieśli na śrubową rybę, nimem się spodział co się ze mną stało.

Ryba zaświszczała, odetchnęła białą parą i czarnym dymem; już jestem pod obłokami, a biedna Lawinia w oddaleniu, dalibóg w ramionach zdradliwego starca, któremum siły przywrócił na moją zgubę.

Trzeba było zlecić z ryby, puścić się nazad do Lawinii i pozostać przy niéj dniem i nocą.

Ba! trzeba było mieć więcéj sprężystości i przytomnoćci umysłu.

Czyż i ja z tego kraju, którego ludziom najtrafniejsze odpowiedzi przychodzą dopiéro na schodach?

22. Podróż z Jasnogrodu do Drzemniawy.

Mkną, nikną podemną góry, lasy, jeziora, i znów góry i niesłychanie głębokie przepaści, jakich na ziemi wcale nie ma, jeśli nas nie zawodzą nasze księżycowe teleskopy.

Okolica, z tak wielkiéj wysokości uważając, straszliwie chaotyczna. Tu świeciły ogniem płwające, tam tlejące się wulkany, tu się rzeki całe lawą toczyły, ówdzie znów błyszczały jeziora jakby żywém srebrem napełnione, a gęsto pomiędzy niemi rozsiane szmaragdowe oazy, rozsyłały balsamiczną woń wysoko w powietrze.

W tych oazach niesłychane bogactwo roślinności i żyzności, na około nich kamienne chropowate puszcze, lub też tu i owdzie piaski, jak gdyby łożyska dawnych mórz, jezior lub stawów, a gęsto rozsiane po powierzchni oazów kościoły, świadczyły o ludności ich. Istotnie jedna kwadratowa mila dobrego gruntu, wyżywiała dwadzieścia tysięcy ludności. Tu dopiéro wśród tych skał, odgraniczających osadę od osady, pojmowałeś dla czego Selenitom dano skrzydła; inaczéj bowiem te oazy, odległe tylko o kilka mil od siebie, byłyby nieznane jedne drugim, żadna bowiem noga ludzka ani bydlęcia, żeby nawet giemzy, nie jest w stanie przekroczyć zawad przez naturę tu napiętrzonych.

Daléj ku północy i zachodowi sterczą straszliwe grzebienie gór, sięgających po nad atmosferę księżyca i odgraniczających Jasnogród południowy od północnego. Można przebyć po nad temi górami, wysokiemi w niektórych miejscach mil geograficznych cztery nad poziom, ale za pomocą przyrządów zawierających w sobie sztucznie zgęszczone przez ciśnienie powietrze atmosferyczne, lecz to podróż niezmiernie kosztowna, uciążliwa, niebezpieczna i długa, którą tylko uczeni gieologowie, od czasu do czasu, dla badań naukowych przedsiębiorą. Zwyczajni podróżni wyszukują dla ich przebycia wyłomy i tunele, które tu ręka natury, a częścią i sztuka poczyniły. Nieraz wypada podróżować w ciemnych, długich i krętych labiryntach, z których nie wszystkie są dobrze oświecone gazem, nie wszystkie bezpieczne, bo czasem nawet i skrzydlaci rozbójnicy do nich się zakradają i łupią podróżnych. Wprawdzie od pewnego czasu ustanowiono w tych tunelach straż dla pobierania cła przechodowego i osadzono je żołnierzami, część ich nawet opatrzono artyleryą, żeby nie dopuszczała zbrojnych nieprzyjaciół do kraju. Dziwnie wygląda ta artylerya, zawieszona tu w tak ogromnéj wysokości nad niezgruntowanemi przepaściami.

Już przecież przebyliśmy straszliwy łańcuch, i jesteśmy nad północnym Jasnogrodem, w którym

i klimat daleko zimniejszy i kraj inny, bo prawie zupełnie płaski, i roślinność tak odmienna, że się w niéj rozpoznać trudno. Tutaj po raz pierwszy ujrzałem całe lasy owych podróżujących drzew z familii kaktusów, które się z miejsca na miejsce przenoszą, szukając żyzniejszego gruntu i znów w kilka lat na dawne wracają miejsca, w jeden rok mogą ujść całą milę i nieraz zapakują się w środek wsi i tam przebywają, aż wszystko wyciągną pożywienie z gruntu; potém nasyciwszy się śpieszą daléj.

Drzewa te, prawdziwe żwierzokrzewy, mają korzenie do nóg owadzich podobne, grube na cal i więcéj, kosmate, kolczaste i brzydkie. Temi nogami wrastają w ziemię i piją z niéj pożywienie; nogi napiwszy się usychają, inne wyrosłe z przodku pnia wbijają się w ziemię na łokieć przed uschłemi, i takim sposobem odbywa się ta dziwna wędrówka lasów.

Rośliny te są jednopłciowe, to jest jedne krzaki są męzkie a drugie żeńskie; męzkich daleko mniéj, jeden wypada na dwadzieścia żeńskich. Żeńskie kwiaty mają kształt dzwona, męzkie serca: połączenie następuje nocną porą, przy świetle ziemi. Owoc zaś wydają te rośliny zupełnie do jaja czajki wielkością, barwą, składem i smakiem podobny, i tak odżywiający, że człowiek najsłabszy od niego

sił i zdrowia nabiera. To też kaktus jaja wydający jest błogosławieństwem tego kraju, i wieśniacy posiadający plantacye tego krzewu są bogaci.

Lecz na nieszczęście dobry byt nie zawsze prowadzi wieśniaka do moralności: widziałem tu ze zgrozą wielu ludzi, powracających z kościoła i z jarmarku, w straszliwym stanie pijaństwa; nawet chłopki były pijane i śpiewały ladaco, mknąc przez powietrze. Jedna mnie jednak do żywego rozrzewniła: niosła ona męża swego pijanego jak bela do domu na barana, często odpoczywając na konarach drzew, z których jéj się łatwiéj było wznieść w powietrze niżli z ziemi.

— Czy też często spadacie po pijanemu z powietrza na ziemię? spytam jednego z tych dobrych ludzi, usypiającego w ciągu podróży.

— Nie często wielmożny panie, tylko raz jeden w życiu, ale to wystarczy na złamanie karku, odpowie chłopek kłaniając się czapką do nóg.

Bardzo dobrotliwy to ludek, tylko że strasznie nietrzeźwy.

Grunt tu się zniża ciągle aż do morza Spokojnego, które istotnie zasługuje na swoją nazwę, bo się rzadko kiedy rozdąsa lub nawet rozkołysze.

Już tutaj nad temi wodami czuć się daje jakiś wpływ lekko usypiający, który może pochdzio

od niezliczonego mnóstwa trawy morskiéj, rosnącéj na wodzie, a wyziewającéj zapach bardzo mocny. Zresztą część większą podróży odbywaliśmy nocną porą, a chociaż ziemia przyświecała mocno, jednak po całodziennem czuwaniu oczy zamykały się same z siebie.

Zdaleka świecące okrężne druty, zwiastowały nam Snogród, wyspę bardzo dużą, podłużną, z góry wąską jak szyja, z dołu szeroką jak kobieta na ziemi siedząca.

Przybywszy nad brzegi, musieliśmy ścisnąć przyrząd powietrzny naszéj ryby, zsiąść na padole przed granicznym urzędem i dać się należycie obrewidować. Nie brakło tu strażników i innych urzędników, umiejących należycie wyciągać łapy i domagać się wynagrodzeń pod różnemi pozorami. Przydały się brzęczące paszporciki, ułatwiające w sposób przedziwny stosunki ze Snogrodzianami.

Nareszcie po wielu trudnościach pozwolono nam udać się w dalszą podróż.

Postać kraju nie bardzo powabna na téj wyspie: bezustanne płaszczyzny, miejscami grunt piasczysty, rzadko gdzie bardzo urodzajny, lasy jednostajne, w których drzewa iglaste o tysiąc razy liściowe przeważają.

Ach, przecież! jestem w Drzemniawie, już za pomocą wiadomych nam okrągłych paszporcików,

wszystko ułatwione na kwarantanie miejscowéj, jadę do hotelu, przed którym ulica była wysłana słomą na stopę, i znajduję księcia Neujabi na łóżku, wcale niesłabego, lecz udającego chorobę.

23. Podstępy.

— Mości książe, czy sam siebie łudzisz, czy téż po prostu mnie zwodzisz? spytałem pacyenta bez ogródki.

— Wybacz kochany doktorze, ale wyznać muszę, że się dopuszczam i jednego i drugiego: miałem istotnie napad choleryczny dość mocny, który przestraszył przysłanego mi przez księcia wicelamę doktora Plasterysa, ministra zdrowia w Snogrodzie, i to do tego stopnia go przestraszył drogi mój przyjacielu, że mnie kazał natychmiast najnielitościwiéj zsiec bańkami i obstawić synopizmami. Osłabiony stratą krwi i boleścią, znacznie upadłszy na duchu pomiędzy cudzoziemcami i obawiając się dalszego ciągu takiéj końskiéj kuracyi, prosiłem adjutanta mojego, aby zatelegrafował do Jasnogrodu po ciebie. Potém tego wprawdzie żałowałem, bo mi się znacznie ulżyło po owém nagłém wstrząśnieniu; lecz gdy się po mieście wieść rozeszła, że sławny doktor Nafir już w podróży do konającego księcia Neujabi, postanowiłem, dla twojego doktorze dobra, udawać chorego jak mo-

głem najlepiéj, kazałem wysłać całą ulicę słomą i zasłonić okna umyślnie tak szczelnie, żeby czasem i mój służący mógł mnie zastąpić na łożu boleści i majaczyć byle co, jak chory wpadający w tyfus. Ja tym czasem grałem w drugim pokoju z mym adjutantem w karty. Mój służący tak dobrze udawał tyfus mózgowy, że mu minister Plasterys kazał w swéj obecności puścić krew, ogolić głowę, zsiec ją bańkami i nareszcie lodem obłożyć... Żal mi było wprawdzie biednego Laflera, gdy go w ten sposób na tortury brano, ale mu się należała kara za łajdaczenie się z tutejszemi baletnicami, u których się wydawał za rodzaj sekretarza, a pieniędzmi zapewnie mi skradzionemi, zalecał; więc pal go dyabli, pozwoliłem na wszystko, tylko szepnąć mu kazałem, żeby zemdlał zaraz po otwarciu weny, aby mu niepotrzebnie krwi nie wytaczano.

Jakże go medykamentowano w rozmaity sposób, zawsze myśląc że to ja! I w téj chwili całe miasto jest przekonane o tém że konam, albo jestem bliskim skonania.

Już się nawet przez żydów zgłaszał do mego adjutanta najpierwszy fabrykant trumien całéj Drzemniawy, o dostawę trumny w najlepszym i najnowszym guście, z wcięciem w talii, a doktor Kizia, sławny lekarz zwolenników Wenery i zarazem bal-

samista, prosił żeby mu wolno było w dowód szczególnego szacunku, nabalsamować mnie zaraz po śmierci, sposobem tutaj w kraju używanym, to jest pakułami umaczanemi w żywicy, takim samym sposobem, jaki u nas w muzeach używają do wypchania wielorybów i słoniów. Doktor Kizia raczył nawet oświadczyć, że za takie piękne dzieło, zadowolni się honorem i sześcioma tysiącami franków.

Adjutant przyjął tę ofiarę z wielką wdzięcznością, i kazał mieć pakuły i żywicę aromatyczną w pogotowiu; pan Sargenhans zaś, artystyczny fabrykant trumien, przekupiwszy cyrulika, dostał przez niego miarę Laflera i już mu składa paletot drewniany, z artystyczną sumiennością krawca.

Otóż kochany doktorze jak stoją rzeczy: wszyscy oczekują méj śmierci, ty przybywasz, zadajesz mi dwie krople twego odżywiającego likieru i mówisz: Wstawaj! a ja wstaję, głowę niby to wizykatoryami skancerowaną, obwijam czarną chustką, kładę na to czapkę mundurową, i wyjeżdżam z tobą na miasto, jeżeli nawet chcesz do pana ministra zdrowia, podziękować mu za przytrzymanie mnie aż do twego przyjazdu przy życiu. Daléj kochany przyjacielu, uściskaj mnie za sławę i tryumfy tu cię czekające.

Książe zerwał się równemi nogami z łóżka i krzyknął na służącego:

— Lafler! oto trzy dukaty, każ sobie przynieść perukę, aby pokryć wygoloną głowę, każ niech zajdzie powóz, i każdemu kto z zamku lub z kądkolwiek przyjdzie się spytać o zdrowie moje, powiedz, że zaraz po przybyciu doktora Nafira i po połknięciu przywiezionego mi lekarstwa, wstałem, ubrałem się i wyjechałem.

— Ależ mój książe, czyś oszalał? myślisz że zezwolę na odegranie takiéj komedyi, niegodnéj mego doktorskiego tytułu? zarzucę obrażony.

— Sam stary Hippokrates, sam boski Eskulap na twojém miejscu korzystałby z tego w sposób ci zaproponowany, chociażby tylko dla wzmocnienia w ludziach wiary w boską naukę medycyny: a że wiara tak błogi wpływ wywiera na usposobienie choroby i cierpiących, więc tym razem dla dobra ludzkości, powinienbyś odstąpić cokolwiek od surowości twoich zasad.

— Prawda, masz słuszność mój książe, zrobię z méj dumy ofiarę i odegram tę niegodną siebie komedyę. Ale przedewszystkiém uwiadomić powinniśmy księcia Wadwisa i doktora Gerwida o twém uzdrowieniu. Gdzie tu w hotelu telegraf akustyczny? każ mnie do niego zaprowadzić.

— Nie ma tu w hotelu ani domach prywatnych telegrafów tak jak u nas, mój doktorze. Jedźmy do telegrafu.

Wrażenie, któreśmy sprawili tą szarlataneryą, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Ludzie, którzy znali księcia Neujabi, to jest dygnitarze wojskowi i cywilni, damy wysokiego tonu, zatrzymywali się na widok księcia, oczom swoim nie dając wiary. Książe się kłaniał i wskazując na mnie wołał:

— To mój zbawca, cudowny doktor, to Bóg medycyny!

Książe Neujabi wypytywał się mnie o Lawinię, ale tak niby nawiasowo, prawie z niechcenia.

Odpowiedziałem mu także z udaną obojętnością, że się Lawinia dość zmartwiła nowiną o jego chorobie, ale nic mu nie opowiadałem o strzaskanéj harfie i o jéj omdleniu na dachu naszego domu.

Neujabi zesmutniał, spodziewał się że wieść o jego chorobie większe sprawi wrażenie na Lawinii.

Pozazdrościłem mu tego tryumfu, i dla tego kosztować go nie dałem.

Stanęliśmy przed telegrafem: książe niby jeszcze słaby, pozostał w powozie, ja zaś wybiegłem na telegraf, i ztamtąd zapłaciwszy za wszystkie słowa i zgłoski, przesłałem wiadomość o cudownem uzdrowieniu pacyenta.

Musiałem kłamać, szarlatanizować, aby pozo-

stać wiernym raz przyjętemu w tém miejscu systematowi.

Neujabi zmusił mnie do tego.... Darmo! Tak jedno kłamstwo pociąga za sobą mnóstwo innych.

Czekałem na odpowiedź, a tymczasem mnóstwo dygnitarzy dognało młodego księcia przed telegrafem i wypytywało go się o stan zdrowia, i składali mi najserdeczniejsze dziękczynienia za dokonanie takiego cudu. Odpowiedź od księcia Wadwis nadeszła, a brzmiała:

„Tysiąc dzięków doktorze, przytrzymaj mi syna w Drzemniawie jak możesz najdłużéj i z nim pozostań, ale nie wyjawiaj, że takie moje żądanie.“

Jedziemy do ministra zdrowia, podziękować mu za przytrzymanie księcia Neujabi przy życiu sposobami ultraheroicznemi, któremi można było zabić nie jednego lecz dwóch ludzi.

Młody książe złożył podziękowanie w kształcie sporego rulonika, i cóś niby nawiasowo wspomniał o wielkiéj wstędze orderu węża brylantowego, którym jego monarcha zapewnie nie omieszka obdarzyć tak głęboko uczonego lekarza.

Minister zdrowia Plasterys, zdobył sobie tak wysokie stanowisko wynalazkiem wielkiéj wagi dla chirurgii wojskowéj: odkrył, że nic tak szybko nie leczy kontuzyi od kul armatnich, jak plaster

wizykatoryalny, zaraz w chwili na placu boju przyłożony.

Od tego czasu wprawdzie częściéj wydarzały się kontuzye, lecz te nie pociągały nigdy za sobą śmierci. tylko gratyfikacye.

Przyjął nas bardzo grzecznie, przywdział mundur, ordery, ale zarazem objawił mi zadziwienie, że nie noszę munduru, ani żadnéj dekoracyi.

Odpowiedziałem ze skromnością, że mógłbym także być ministrem, dygnitarzem orderowym i bardzo możnym panem, gdybym chciał sprzedać tajemnicę mego odkrycia.

Książe Neujabi przyświadczył i dodał, że doktor Nafir jest człowiekiem zupełnie odrębnego sposobu myślenia....

— Rozumiem, rozumiem, on cokolwiek zakrawa na czerwonego socyalistę, a nawet na komunistę, odpowie dygnitarz, małym dreszczem wstrząśnięty.

Neujabi, zapewnie z figlarności, ruszył nieznacznie ramionami i brwią.

Od téj chwili lękał się mnie minister jak dziecko wilkołaka....

Powróciwszy do hotelu, zastaliśmy w nim wielkie mnóstwo dygnitarzy, czekających dostojnego pacyenta i jego cudownego lekarza, którego nieubłaganemi obsypywano prośbami o lekarstwo na

osłabienie apetytu i sił żywotnych. Drożyłem się utrzymując żem znękany podróżą...

Nareszcie sam wielki lama, także słabowity, przysłał adjutanta z zapytaniem o zdrowie księcia Neujabi, i z prośbą, abym się bez zwłoki udał do niego. Sam książe Neujabi raczył mnie jemu przedstawić, lecz wrócił do hotelu zostawiwszy mnie w zamku.

Dostojny pan, wycieńczony trudami wojennemi, zwierzył mi się, że nie jest syty ani życia ani chwały, i że dla dobra ludzkości pragnie żyć długo, a nawet wiecznie, jeżeli to być może.

Sprawdziwszy stan jego wnętrzności w obecności ministra zdrowia, za pomocą kamery obskury z lampką angandzką, uznałem, że jego książęca mość, nie jest w stanie korzystać z mego lekarstwa, powiększającego wszelki objaw życia prawidłowego, ale i nieprawidłowego.

Zapisałem tedy lekarstwo, niby przysposabiające do dalszéj kuracyi. Moje spostrzeżenia udzieliłem ministrowi zdrowia, ordynującemu lekarzowi, który ich wprawdzie nie zrozumiał, ale przyświadczał, że tak jest a nie inaczéj, i zaraz po mojém odejściu zawyrokował, że tak wielkiego głupca i waryata jak ja, nigdy w swém życiu nie widział.

Od téj chwili rozdwoiła się o mych zdolnościach opinia: jedni utrzymywali, że jestem po

prostu szarlatanem, drudzy zapewniali, że większego człowieka nie ma na świecie.

Dzienniki ogłosiły się przeciwko mnie, przymieszawszy cokolwiek miodu do żółci swych zdań i wyroków. Pomimo tego nagabywali mnie bigoci i roskosznicy, modląc się o krople życia. Nie biorąc od nikogo złamanego grosza, wszystkim dawałem lekarstwa, ale tylko ludziom pracującym, istotnie światu i rodzinie potrzebnym, udzielałem prawdziwego eliksiru życia.

Niestety! wszyscy ci prawie należeli bez wyjątku do klassy ubogich, małoznaczących, gnębionych ludzi, i na opinię publiczną nie mogli wywrzeć wpływu, lubo cudownych doświadczyli skutków z mego lekarstwa, i gorące modły za mnie zanosili do Boga.

Zabawiam księcia Neujabi, tęskniącego do swego kraju, ojca i kochanki, jak tylko mogę i czém tylko potrafię, postępując w duchu rozkazu dostojnego ojca, który polecił nam pozostać w Drzemniawie, aż dopókąd nas sam nie odwoła. Niech sobie książe tu pozostanie, ale ja zupełnie tu niepotrzebny.

24. Baron Drzejna.

Już od dziewięciu dni bawię w Drzemniawie, i zdaje mi się, że już dosyć téj zabawy, bo się

właściwie najokropniéj nudzę w téj miejscowości, o któréj dalibóg wcale jeszcze nie wiem, czy to duża mieścina, czy wieś, czy stolica, czy rodzaj karawanseraju, do którego ludzie na to przybywają, żeby z niego jak najprędzéj wyjeżdżać. Koniec końcem nie bawię się w Drzemniawie, tęsknię do Lawinii, i uciekłbym z tąd pomimo rozkazów księcia Wadwisa, gdyby mnie jedna, dla mnie zupełnie nieprzewidziana okoliczność nie zachwycała, a tą jest, że piękny książe Neujabi zaczyna się tutaj w najlepsze bawić, dzięki wrażeniu nań wywieranemu przez piękną młodą wdówkę, córkę księcia wice-lamy. Nadaremnie tai on przedemną zajęcie się miłą wdową: jest ono aż nadto wyraźne, i już o tém mówią w pałacu, już nawet w wielkim świecie zaczyna krążyć pogłoska o podboju, jakiego dokonały wdzięki księżniczki Omegi. Już téż o tém wiedzą w Jasnogrodzie, i to dzięki mnie; tak, przyznać muszę, żem o tém telegrafował do Gerwida, nie bezpośrednio lecz przez barona Drzejnę, wielkiego sędziego kryminalnego a mego łaskawego opiekuna, u którego tu codziennie, czasami nawet po dwa razy bywam.

Kocham tego starca nadzwyczajnie, bo to typ roztropnéj prawości, w najmilszych a zarazem najdostojniejszych kształtach; sprawowanie trudnych obowiązków swego posłannictwa wcale mu nie ztę-

piło uczuć, owszem zaręczyć można, że im więcéj miał do czynienia z majątkiem, wolnością, honorem i życiem bliźnich swoich, tym doskonalsze zyskał o tych dobrach wyobrażenie, i tym litościwszym się okazał, gdy szło o pozbawienie bliźnich swoich tego dobra.

Otóż takim był wielki sędzia kryminalny, starzec bardzo posunięty w wieku, ale silnéj budowy ciała i niestarganego zdrowia.

Przylgnął do mnie, tak jak ja do niego, natychmiast, jak gdyby mnie znał od bardzo dawna, i czuwał nademną w tém mieście, w którém prawda nie jest lubioną, i gdzie sobie jednym wybuchem szczerości zaszkodzić można na całe życie.

Z jego słów przekonałem się, że mnie na prawdę za komunistę bardzo niebezpiecznéj przyrody osądzono, a głównie z téj przyczyny, żem do tych czas nie postarał się jeszcze o żaden urząd, nadający człowiekowi jedyną wartość w oczach tego świata.

Lękał się także, aby mi nie skradziono mego dyamentowego flakonika z kroplami życia i prosił mnie, abym go nosił przy sobie na ciele, przytwierdzony łańcuszkiem do szyi, jak szkaplerz lub medalion. Późniéj bardzo żałowałem, żem za tą radą nie poszedł.

25. Zakład somnopatyczny.

Doktor Plasterys zawitał do nas jednego rana gdyśmy jeszcze spali, i rzekł:

— Chcieliście panowie zwiedzić zakład somnopatyczny, wzniesiony na naszéj wyspie przez doktora Gerwida i doń należący; jako minister zdrowia i główny inspektor wszystkich zakładów zdrowiodawczych, jadę tamże z urzędu i właśnie w téj chwili bardzo pośpiesznie, na pocztowéj rybie, bo się tam wydarzyło cóś bardzo interessującego, co późniéj opowiem. Ofiaruję panom miejsce na méj rybie i pokażę wszystkie mnie tylko znane tajniki tego ciekawego zakładu.

— Ależ panie ministrze, zapominasz pan, że dziś bal u księcia wice-lamy, zarzuci książe Neujabi.

— Jeszcze przed wieczorem będziemy z powrotem; dałaby mi żona i córki, gdybym nie wrócił; któżby je zaprowadził na bal? odpowie minister.

— Ależ ja jestem zaproszony na obiad, nie śmiem obrazić amfitryona, zarzucę także.

— U kogoż pan jesteś na obiedzie?

— U doktora Tulpensztejna.

Kłamałem, właściwie baronowi Drzejnie obiecałem być na obiedzie, lecz z wiadomych już przyczyn taiłem o ile możności moje schadzki z zacnym sędzią.

— Więc kolego, odpisz że nie będziesz, jednakże nie wyjawiaj dla czego, pocóż jeszcze więcéj drażnić zazdrość swoich kolegów?

Napisałem do kolegi Tulpensztejna, aby zawiadomił barona Drzejnę, żem z ministrem Plasterysem pojechał do zakładu somnopatycznego.

Już jesteśmy w drodze, dobre piętnaście mil z Drzemniawy do Snopola, ale wiatr nam służył, biegliśmy cztery mile na godzinę.

— Cóż tak nagłego cię wzywa do Snopola panie ministrze? spyta książe Neujabi.

— Wie przecież książe, odpowie minister, że Mirza Baszkir, który się niedawno ożenił z córką lamy Ciemnostańskiego znikł w kilka dni po ślubie nie wiadomo gdzie, i że go nadaremnie szuka żona.

— Wiem o tém.

— Otóż nadeszła wiadomość, że Mirza Baszkir bierze tu inkognito w zakładzie doktora Gerwida kuracyę senną, i to już od trzech tygodni; więc mam sprawdzić z rysopisem i fotografem w ręku czy tak jest a nie inaczéj.

— Jakto? Mirza Baszkir wolałby spać w zakładzie somnopatycznym jak w własnym świetnym pałacu? spyta Neujabi.

— Ba! tu go przynajmniéj głos jego dobrodziejki nie przebudza; przecież znane są córki na-

szego najjaśniejszego lamy, odpowie pan minister dowcipnie się uśmiechając.

— I cóż pan masz zrobić z Mirzą Baszkirem, gdy go wynajdziesz? spytam.

— Mam go dostawić pocztową rybą pod dobrą strażą do żony, ot wszystko; tam zapewnie sam lama wyznaczy mu przykładną karę.

W najpiękniejszém miejscu wyspy, w rodzaju Edenu, a przynajmniéj Arkadyi, leży wieś Snopol z pałacykiem Gerwida, a za nią na dużéj kępie, pomiędzy dwoma ramionami rzeki, pośród wysokich drzew, na przepyszném wzgórzu wznosi się sławny zakład, w którym ludzie śpią dla odzyskania zdrowia, spokojności, szczęścia, dla zapomnienia trosków lub stłumienia targa ących namiętności.

Najwięcéj rozkielzane nerwy, najburzliwszy mózg, najniespokojniejsza krew nie zdołają się oprzeć wpływowi narkotycznych tu na téj kępie w nadzwyczajnéj obfitości rosnących ziół, których wpływ można doskonale stopniować za pomocą kondensatorów, a za pomocą zaś narkozometru złożonego z dwunastu żywych ptaków różnéj wielkości, można się doskonale przekonać o stopniu narkotyczności zawartéj w powietrzu.

W tym przybytku Morfeusza, wszystko wzywa do snu co tylko na jakikolwiek zmysł działać może:

zapach subtelnych białych kwiateczków, zwanych morfinkami, widok ogromnych drzew zasłaniających horyzont, a w podwojach malowideł i posągów, przedstawiających uroki snu pod wszystkiemi możliwemi postaciami, najzupełniejsza cichość, głuche milczenie przerywane tylko falującém, jak wody oceanu chrapaniem stu kilkunastu śpiących tego przytułku mieszkańców, smak ziółek lub wód przez lekarzy przepisanych, a wlewanych w regularnych ustępach śpiącym łyżkami, nareszcie owe systematyczne łaskotania podeszew, któremi umyślnie na to trzymane dziewczynki i chłopaczki ułatwiają najuporczywszym pacyentom sen, wszystko to wpływa przemożnie na nerwy, i zaraz przy wstępie do zakładu odwiedzający wpadaliby w sen, gdyby się nie trzeźwili substancyami sen odbierającemi, zwłaszcza pastylkami z kofeiny.

W stosunku mężczyzn bardzo mało kobiet w tym zakładzie, ale które tu przebywały dla kuracyi, po większéj części cierpiały na melancholię z manią graniczącą.

Kobieta najwięcéj zgnębiona nie lubi przesypiać swych cierpień, dla kobiety każda sensacya jest żywiołem duszy!

Na różne ceny można tu spać i chrapać: na ogólnych salach, gdzie śpi po piętnastu, płaci się mało, ale w osobnych pokojach bardzo wiele. Do-

ktor nie wychodzi z zakładu i winien trzy razy na dzień przekonywać się o dobrym śnie swoich pacyentów. Dla suchotników osobna jest izba, i mogę zaręczyć, że pod wpływem kilkomiesięcznego snu, stosownéj temperatury i lekarstw dawanych łyżkami, leczą się nieraz suchoty najwyższego stopnia.

— Teraz ja, rzecze minister zdrowia, pójdę na wyszukanie mego Mirzy Baszkira, który jeśli tu jest, zapewnie leży w jednéj z najprywatniejszych celek, a tymczasem panowie tu raczą spocząć w tym pokoju. Przedewszystkiém jednakże napijmy się kawy, nigdy w życiu nie uczułem się tak spiącym odwiedzając ten zakład.

Byliśmy wtenczas w pokoju, w którym tylko trzy znajdowały się krzesła; w jednym końcu pokoju dwa, a w drugim pod kaloryferem jedno. Na tém tu przy stoliku usiadł minister, na dwóch drugich odległych od niego na pięć stóp siadł książe i ja.

Przyniesiono kawę i postawiono ją na stoliku obok ministra.

— Szanowny kolego, udziel mi do téj kawy jedną kropeleczkę twego życiodawczego eliksiru, rzecze do mnie minister.

Ja mu podaję flakonik, nie spodziewając się niczego złego. On bierze flakonik, otwiera go i —

I w tém zapada pomiędzy nami a ministrem z sufitu żelazna krata, i jakby jakimścić cudem z pod podłogi ukazują się dwa posłania z najpiękniejszych aromatycznych ziół, a na okna zapadają z tyłu także żelazne kraty.

— Co to znaczy? krzyknęliśmy obadwaj przerażeni rozpaczliwym głosem.

— To znaczy, odpowie podstępny doktor Plasterys, że panowie jesteście skazani z wyższéj woli na kuracyę somnopatyczną; to wszystko....

— Kto mnie śmie więzić tu w obcym kraju? na gruncie sprzymierzonego z nami monarchy? wrzaśnie książe Neujabi piorunowym głosem.

— Wybacz mi dobry mój i miły książe, ale to się stało za ugodą jakąś zobopólną pomiędzy jednym i drugim rządem, mnie na nieszczęście wybrano za wykonawcę tego przykrego obowiązku.

— Ależ po co i na co nas zmuszać do spania, kiedy my zadowoleni z rzeczywistości, używamy jéj skromnie i spokojnie? spytam już ziewając, bo mnie ogarniała okrutna senność, wpływ zapachu, który wyziewały te przeklęte zioła posłania naszego.

— Co ja wiem? podobno panowie rozkochani w osobach, nieprzeznaczonych dla nich z woli losu..... Ja nic nie wiem, żal mi panów serdecznie; ale poddajcie się losowi, spijcie, będą tu

mieli o was staranie jak najczulsze, ja sam dojeżdżać będę często do was; dobranoc moi dobrzy panowie.

— Słuchaj na miłość Boga panie ministrze, rzecze książe także już ziewając. Dziś miałem być na balu u księcia wice-lamy, jego córka, owa miła wdówka.....

— Cha! cha! pojmuję mój dobry książe, ona ciebie oczekuje do tańca.

— Więc jéj racz oznajmić mój ministrze, gdzieś mnie zaprowadził i zostawił.

— Tego nie zrobię, mój książe za nic w świecie; wice-lama zakazał.

— Więc przynajmniéj powiedz jéj, tak, w ciągu mowy, niby przypadkiem, że słowik nie będzie śpiewał téj nocy, chociaż tak pogodnie na niebie. Ale tak kilka razy.... powtórz to mój ministrze, że téj nocy.... słowik śpiewać nie będzie... rozumiesz panie ministrze?... tém się nie skompromitujesz a ją zaspokoisz.... będzie ci nieskończenie wdzięczną.... Dajesz słowo honoru na to?

— Daję, chętnie daję, dobranoc moi panowie.

Nim jeszcze wyszedł, my legliśmy na posłaniu jak byliśmy, sen nas zmożył.

— Ach, widzisz książe czego nas nabawiły twoje miłostki z córką wice-lamy, rzekłem usypiając.

— To nie to: chciał ci skraść flakonik z eli-

ksirem życia i dla tego nas uwięził; a z tąd wyjdziemy, chyba trupami, odpowie książe, i już śpi.

26. Przebudzenie.

Sen nas owładnął jednocześnie i obszedł się z nami równie po tyrańsku. O oporze ani myśleć nie można było, subtelny narkotyk wkradał się w płuca z siłą chloroformu, lecz przyjemniéj od niego, nieogarniając mózgu nagłém odurzeniem, pozostawiając nam naszych najsłodszych uczuć i marzeń pamięć.

—Lawinio! moja najsłodsza Lawinio! jęknął książe Neujabi, usypiając, głosem tak tkliwym, że się we wszystkich nerwach moich obił donośném echem.

— Lawinio! powtórzyły me własne usta, lecz głowa już nie była w stanie pomyśleć, że mój towarzysz inne w téj chwili wezwać powinien był imię, imię księżniczki, którą zdawał się być tak zajęty w ostatnich dniach swego pobytu w Drzemniawie.

Senny mój byt uroczy: obraz kochanki roztoczył nań swe różowe barwy, swego głosu dźwięk, swéj atmosfery zapach.

Długo trwał urok tego imienia i obrazu, byłby trwał wiecznie, lat tysiące snu nie wyrugowałyby z mych piersi uczucia, z którego wyleczyć się miałem tym dziwnym somnopatycznym sposobem.

Lecz nie trwał wiecznie, bo jednéj chwili jakieś dziwnie miłe dreszcze jaźni przenikać zaczęły nerwy moje i wdzierać się do mózgu drażniąc go, łoskocząc, wstrząsając do coraz pełniejszego czucia.

Słyszę jakieś przyjaźnie brzmiące głosy około mnie, otwieram oczy i widzę przed sobą starego barona Drzejnę w swym urzędowym mundurze i młodego przyjaciela Icangi, trzeźwiącego mnie solami.

Kilku innych mężczyzn obok nich ujrzałem.

— Dzień dobry doktorze! zawołał Drzejna, dzień dobry drogi przyjacielu, krzyczy Icangi, i ze łzami w oczach ściska mnie i całuje.

— Ach, więc żyję i jestem pomiędzy przyjaciołmi! zawołam przejęty najwyższą roskoszą.

— I będziesz wolnym za chwilę, rzecze wielki sędzia, pomagając mi wstać z łoża.

— Długo spałem?

— Ośm dni mój dobry Nafirze, odpowie Icangi. Ach! ileż ucierpieliśmy nim zacny sędzia zdołał wyśledzić co się z tobą stało. Daléj zabieraj się, ruszajmy z tąd nim nas kto zdradzi i zdenuncyować zdoła.

— Ale książe Neujabi? spytałem.

— Leży tu obok ciebie na drugiém posłaniu i śpi w najlepsze.

Istotnie Neujabi spał, ale nie chrapał. Część

twarzy miał zatopioną w poduszce, drugą zaś połowę zakrywał ręką.

— Obudźmy go i uciekajmy razem, rzeknę przypadając do księcia.

— Broń Boże mój Nafirze. On zdrajca, on cię tu sprowadził umyślnie do Snogrodu, żeby cię rozłączyć z Lawinią, a tymczasem stary książe Wadwis pokochał się na zabój w Lawinii i was tu kazał uśpić, aby się ożenić z piękną i młodą siostrą moją. Otóż takich intryg stałeś się ofiarą; lecz wszystko wykryliśmy, Lawinia wszystko wyjawiła, ona tylko ciebie kocha i czeka powrotu twego jak zbawienia. Wszystko do ślubu gotowe, jutro jesteś małżonkiem Lawinii, moim szwagrem i nigdy się już nie rozłączemy w życiu.

— Ja, mężem Lawinii!? uszom moim nie wierzę! Ach! powtórz mi to tysiąc razy.

— Nie ma na to czasu Nafirze, daléj opuszczajmy ten dom czém prędzéj.

— Nie bracie Icangi, ja go nie opuszczę bez księcia Neujabi, którego mi ojciec dał w opiekę, i lubo mnie zdradził, wybaczam mu, bo on kocha Lawinię.

— Więc go pozostaw tutaj aż do ślubu, który się odbędzie tajemnie, mimo woli i wiedzy starego księcia. Potém go sprowadziemy do Jasnogrodu

skoro się dowie ojciec, że ani dla niego ani dla syna Lawinia nie może być żoną.

— Nie bracie! chcę być szlachetniejszym, miłość Lawinii jest dla mnie dostateczną rękojmią szczęścia, nie opuszczę mego towarzysza.

Wyrywam bratu Lawinii sole do trzeźwienia, przytykam je do ust księcia Neujabi.

Wielki Boże! jego twarz zimna i skrzepła, on nie żyje, on umarł!

Okropna nas ogarnia trwoga: biorę księcia w ramiona moje i chcę go unieść, dobywając wszystkich sił moich.

Unoszę w powietrze cóś nadzwyczaj lekkiego.

Ha! to nie książe Neujabi, ani śpiący ani umarły, lecz wielka lalka, ubrana w suknie księcia Neujabi, jego twarz jest maską.

— Wykradli go i lalę zostawili na jego miejscu by oszukać stróżów!!!

— Natychmiast uwięzić doktora tego zakładu i przyprowadzić go przedemnie! krzyknie wielki sędzia do swych pomocników.

Doktor wyznaje, że już przed trzema dniami księżniczka, córka wice-lamy, wykradła księcia Neujabi i uwiozła go z sobą do Ciemnostanu.

— Niechże sobie będzie szczęśliwym z księżniczką, byleby tobie nie bruździł więcéj, rzecze Icangi i razem z sędzią uprowadza mnie z zakładu

somnopatycznego, przed którego drzwiami stała w pogotowiu ryba pocztowa.

— Jadę z wami moje dzieci, rzecze sędzia Drzejna, chcę być świadkiem twojego ślubu kochany Nafirze, a przedewszystkiém muszę cię przeprowadzić przez granicę.

Jesteśmy w drodze i właśnie świtać zaczęło, gdyśmy stanęli na granicy Snogrodu nie bez obawy, żeby nas tu nie zatrzymano.

Nie! nie telegrafowano jeszcze. Wielki sędzia ułatwił wszystkie trudności, przepuszczają nas, bujamy już nad morzem Spiącém, lecz zarazem spostrzegamy, że za nami pędzi straż graniczna na skrzydłach i rybach śrubowych. Wzywają nas do zatrzymania się, strzelają do nas, ale kule nie donoszą.

Uciekamy, i w kilka godzin stajemy nad gruntem Jasnogrodzkim.

Wieje wiatr przeciwny bardzo mocny i utrudnia podróż naszą. Dopiéro we dwie godziny po zachodzie słońca stajemy nad stolicą Jasnogrodu.

Stary Gerwid jeszcze czuwa i wyziera ze szczytu swéj wieży. Jesteśmy w jego objęciach. Jakaż szczera radość błyszczy w jego oczach; nigdy mi się nie wydawał tak szczęśliwym i pięknym.

— A Lawinia? spytałem.

— Lawinia słaba: cały dzień przepędziła w ló-

żku blada, zapłakana i niespokojna. Dopiéro przed godziną usnęła. Nie budźmy jéj; jutro rano mój Nafirze jesteś jéj mężem; już pozyskaliśmy księdza, który da ślub tajemny.

27. Wesele na obłoku.

Lawinia chora i widzieć jéj nie mogę. Lawinia usnęła, lecz nie powiedziała: obudźcie mnie gdy Nafir przybędzie. Zdaje się, że powinna była pomyślić o mnie i mojéj zawezwać pomocy.

Jutro ślub, już ksiądz zamówiony, jutro będzie moją na zawsze; w każdéj chwili i nigdy się nie rozstaniem z sobą. W wieczném pogrążony zachwyceniu, patrzeć będę na jéj wdzięki, podziwiać będę każdego jéj ruchu uroki, sycić się niebieską melodyą jéj głosu i oczarowany jéj duszy polotem, bujać z nią będę po przestworach nieba na obłokach i chmurkach, nad ognistemi kraterami i bezdennych mórz falami.

Ach, jakże miło latać z Lawinią po niebie!

Lecz téj nocy zachmurzyło się niebo okropnie: ziemia nie może się przedrzeć swém światłem przez czarne kiry grubych obłoków, tylko czasem mignie przez nie i znów nastaje nieprzejrzała ciemność.

Okropna noc i lada chwila wybuchnie jedna z tych straszliwych burz, od których odgłosu ła-

mią się kamienne grzebienie niezmiernych olbrzymów, odgraniczających nas od północy. Szkoda, że taka noc okropna poprzedza najszczęśliwszy życia mojego dzień!

Lecz cóż to za czerwony, ciemno-czerwony meteor krąży w tym czarnym obłoku, co tu zawieszony jak wyspa z kiru sam jeden na niebieskim firmamencie, tuż nad moją wieżą? Czémże może być ten czerwony w obłoku krążący meteor?

Spojrzyjmy przez teleskop.

Tak ciemno, że teleskop nic ukazać nie może: widzę tylko czarne jak atrament tło, purpurowe światło i cóś migocącego się około światła, czasem je zasłaniającego.

Co to być może?

Ha! nie lękajmy się straszliwéj już się zbliżającéj burzy, i korzystając ze skrzydeł puśćmy się na zwiady prosto na zenit ku meteorowi.

Lecz tym razem dla bezpieczeństwa wziąłem z sobą broń: szpadę ogniem pałającą.

Wzbijam się wysoko w zenit, jak strzała wypuszczona pionowo, mknę i szybuję aż śpiewają moje skrzydła, jak u łabędzia, który zdąża do swéj ojczyzny.

Jestem pod szarym obłokiem, tuż pod nim; wkraczam w czarny obłok, ostróżnie się zbliżam do światła, powoli, podstępnie.

Cha! Wielki Boże! tym światłem jest latarka, a trzyma ją w swym ręku Neujabi, zdradliwy książe, o którym mniemałem, że jest z swą księżniczką Snogrodzką w Ciemnostanie.

On jak gdyby oczekiwał kogoś.

Lecz jakiś szmer dolatuje i zbliża się wartko.

I wpada jakiś świetny srebrny obłoczek w czarną chmurę, w środku któréj czeka Neujabi i tu srebrny obłoczek łączy się przed memi oczyma z postacią księcia.

Boże! to Lawinia!

Neujabi ze wzruszenia opuszcza latarnię, która spada na dół, ja puszczam się za nią, chwytam ją, szukam ich w obłoku i znajduję.

Ona w jego ramionach, omdlała, z drżącemi skrzydłami; on pije jéj koralowe usta, przyciska ją do serca.

— Lawinio! Neujabi! krzyknę aż zadrżały echa gór okolicznych.

—Nafirze! przedstawiam ci księżnę Neujabi, żonę moją od przyszłéj nocy, rzecze książe unosząc omdlałą Lawinię w swych silnych ramionach.

Teraz mnie latarnia wypadła z ręki, ale ziemia wyjrzała jasna i świetna z po za chmur i okazała mi upojonych roskoszą małżonków.

— Przebacz Nafirze! ja ciebie kocham, lecz w nim kocham siebie; podaj mi rękę, bądź naszym

przyjacielem i opiekunem; i kiedy już tak chciało niebo, żeś ty pierwszy odkrył tajemnicę naszego związku, zwiastuj ją memu wujaszkowi i jego ojcu.

Tak mówiła do mnie, rękę moją całując i skrapiając łzami.

— Ale Lawinio? tutaj w obłokach?....

— Nafirze! nie mamy domu innego tylko kopułę nieba za strzechę, obłok zaś za łoże. Jego ojciec wydziedziczy, a mnie wujaszek.

— Zapomniałaś Lawinio o twych dwóch miljonach?... spytam zmieszany, o dwóch miljonach, które tobie dałem; należą do ciebie od téj chwili, bo ja żyć przestanę. Widzisz krater pogrzebowy, nad którym kiedyś w pamiętnéj dla mnie nocy bujaliśmy razem? w téj chwili wyziewać zaczął ogień, on mnie do siebie zaprasza. Bądźcie szczęśliwi i módlcie się za mnie.

Biegłem ku kraterowi, oni mnie przytrzymywali za skrzydła, ściskali i całowali, aż mnie uprosili, że nie zadam sobie śmierci, tylko wprost polecę do wujaszka Gerwida zwiastować com widział.

28. Przeszłość.

Gerwida zbudziłem i opowiedziałem mu wszystko.

— Stało się nie według méj woli, ale widać

z przemożnéj woli losu, bo się stało pomimo wszystkich starań naszych i zabiegów, rzecze Gerwid kiwając głową żałośnie.

— Więc im przebaczasz doktorze?

— Kiedyś ty przebaczył, to i ja przebaczyć muszę; przed tobą jednym nie chciałbym się wstydzić, bo ty jesteś istotą nadludzkiéj dobroci.

— A zatém ruszam do księcia Wadwis, aby u niego wybłagać przebaczenie.

— Nie potrzeba, ja sam go uwiadomię i będzie tu za chwilę z wszystkiemi temi, których pokochałeś i znasz od dawna. Chodź ze mną do obserwatoryum. Spojrzyj teraz przez ten nowy teleskop na ziemię w pełni stojącą. Nastawię ci ziemię na ten punkt, który ci wskrzesi pamięć przeszłości i obudzi tęsknotę, bo tęsknić mój przyjacielu to jest wierzyć w przyszłość, kto tęskni ten ma nadzieję. Co widzisz teraz na ziemi?

— Widzę ogród, a w nim łoże, a na łożu?.... Boże wielki! na łożu ja sam, ale uśpiony, nie martwy, tylko uśpiony.

— A kogo tam widzisz obok siebie?

— Widzę starca z siwemi włosami, stojącego obok łoża mego, widzę niewiastę u stóp moich, widzę młodą osobę klęczącą przy tém łóżku. Ach Boże! jakież cierpienia na ich twarzy wyryte! czy

nie można im pomódz Gerwidzie? czemuż mnie tak obchodzi los tych osób?

— Wkrótce się o tém dowiesz. Teraz przygotuj się na przykry widok mój Nafirze, o dziecko znane mi od tak dawna i od tak dawna ukochane. Zobaczysz twoich przyjacioł, znanych ci z kąd innąd, zobaczysz takich jakiemi byli gdy ich oddano wnętrznościom padołu, na którym się rodzili.

* * *

Gerwid zniknął, ciemność zaległa salę, nawet słońce zasłoniło się nieprzejrzałemi chmurami. Sześć błędnic niebieskich bujało około mnie, i nareszcie spoczęło nad głowami sześciu trupów w trumnach.

Rozpoznałem ich od razu.... byli to: Ignaś mój mały brat, Edwiger mój nauczyciel, pan Andrzej mój dobry opiekun, stary Swidwa, Malwina moja narzeczona, ksiądz Benjamin mój przyjaciel.

Od jednego do drugiego chodziłem, nie wzbudzali mi żadnéj odrazy, tylko owszem jakąś lubą nadzieję, że ja pomiędzy niemi spocznę.

Oglądałem się za siódmą trumną, nie było jéj.

— Szkoda! w tak dobrém towarzystwie miléj być umarłym, niźli żyć między żyjącemi bez czucia i serca!

I daléj rzekłem do starego nauczyciela:

— Dotrzymałeś słowa professorze Edwiger, widzę cię na księżycu, ale umarłym, czemuż ja żyjący pomiędzy wami?

— Boś nie umarł na ziemi, tylko tam śpisz na niéj, zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią, rzecze Edwiger, i wstaje z trumny i staje się Gerwidem.

— Wstańcie i wy przyjaciele Serafina, rzeknie Gerwid uroczystym głosem.

Ignaś wstaje i jest Icangim, sędzia Andrzej jest Drzejną, Swidwa księciem Wadwisem, Malwina Lawinią, ksiądz Benjamin księciem Neujabi! Trumny znikają, światło powraca.

— Widziałeś nas takiemi jakiemi byliśmy na ziemi, tu w innych istot postać wcieleni, przybraliśmy inny charakter, inne stanowisko, tylko echo dawnych sympatyi w nas pozostało. Ja jeden przedarłem się wiedzą do całkowitości dawnych uczuć istności i dla tego sprowadziłem cię tutaj na uszczęśliwienie lub na wyleczenie z rozpaczy. Pierwszego dokonać nie mogłem, drugiego dokonam, jeśli poznasz osoby otaczające cię uśpionego na ziemi. Spojrzyj teraz w teleskop.

— Boże! to mój ojciec, moja matka, moja siostra, płaczą nademną uśpionym, nie wiedząc, czy

wróci życie lub śmierć nastąpi. Ja chcę pójść do nich, otrzyć im łzy i żyć pomiędzy niemi.

— Więc do widzenia Serafinie, jeszcze znajdziesz się z nami, lecz na innym planecie. Na żadnym nie ma szczęścia zupełnego, na każdym żyć można dość szczęśliwie, krzepiąc się w duchu, wierząc, że doskonałe szczęście daném będzie dopiéro w niebie, gdzie ciała nie ma, i namiętności, pędzące cielesném życiem, umilkną na zawsze w wiecznie trwającém uczuciu niebiańskich uwielbień.

Wszyscy zbliżyli się do mnie i serdecznym mnie pożegnali uściskiem. Wróciłem duszą na ziemię, na któréj jako uśpione ciało leżałem przez całe dwa miesiące, od chwili gdym zemdlał na grobie księdza Benjamina.

Tam mnie znaleziono uśpionego, zawieziono mnie w tym stanie do Montpellier i złożono w szpitalu. Wkrótce potém przybyli ojciec, matka i siostra z Polski i w tym dziwnym znaleźli mię stanie, o którym nie można było wyrzec z pewnością czy się skończy powrotem do zdrowia, czy śmiercią, lub co gorzéj idyotyzmem.

Lecz życie fizyczne nie ustawało w mém bezduszném ciele, puls bił dobrze, cera wprzódy tak blada, nabierała oczywiście czerstwości, a cała twarz wyrazu weselszego.

— Jego dusza musi być szczęśliwszą tam, gdzie

teraz buja, niż była kiedykolwiek w rzeczywistości, rzecze professor Lallemand i kazał mnie zanieść do ogrodu, między kwitnące krzewy i rozpiąć nademną namiot, by mi nie szkodziły słoty, ani raziły promienie słońca.

I coraz więcéj dawał mym rodzicom nadziei, im mnie widział czerstwiejszym i pogodniejszym.

Ziściły się jego przepowiednie: gdym stanął duszą nazad w mém ciele, zerwałem się z łóżka i do nóg upadłem rodzicom, co z dalekiéj Polski przybyli odszukać stęsknionego syna.

Wiedziałem gdzie jest Malwina, Edwiger, Andrzej i wszyscy których kochałem, wierzyłem, że się z niemi znów kiedyś połączę jeszcze przed śmiercią i nie tęskniłem już do księżyca, lecz żyłem pełnemi siłami tu na ziemi, świadcząc dobre za złe, kochając wszystkich, nawet i nieprzyjaciół moich.

Wiele lat od tego czasu upłynęło, starzeć się zaczynam, ale się czuję szczęśliwym, bo wierzę w Boga i w uczucie miłości, które On wlewa w serce swym szczerym sługom.

POBYT NA KSIĘŻYCU

SAWINIUSZA CYRANO DE BERGÉRAE,

OFICERA GWARDYI FRANCUZKIEJ *).

Krótki rys życia pierwszego podróżnika po księżycu.

Sawiniusz Cyrano de Bergérae, autor wielu do dziś dnia cenionych utworów komicznych, urodził się w roku 1620, w zamku Bergérae w Perygordzie, umarł zaś w 1655. Młodość swą spędził w sposób bardzo urozmaicony i burzliwy. Najprzód wszedł jako kadet do półku gwardyi, w którym odznaczył się walecznością. Wybitną cechą jego charakteru był popęd do pojedynków, i miał ich w swém życiu nieprzeliczoną liczbę. Otrzymawszy

---

*) Dajemy tu w przepolszczeniu opis pierwszéj podróży na księżyc, odbytéj przez dowcipnego Cyrano de Bergérae, dwa wieki temu; lecz zarazem dodać musiemy, ze nie wierzemy autorowi Agryppiny i Pedanta, który nie znalazł na księżycu skrzydlatych, a zatém doskonalszych ludzi, lecz Selenitów na czworakach chodzących.

P. A.

na wojnie wiele ciężkich ran, porzucił Bergérae służbę wojskową i całkowicie poświęcił się literaturze. Zostawił nam następujące utwory: Agryppinę, tragedyę; Udanego Pedanta, komedyę; Podróż po księżycu i Komiczną historyę państwa na słońcu. Molliere, Fontenelle (w swych Światach), Voltaire (w Mikromegasie) i Swift (w Guliwerze), czerpali bardzo wiele z Berżeraka. Dzieła jego doczekały się bardzo wielu wydań, z których ostatnie ukazało się w Paryżu w roku zeszłym.

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC.

Było to podczas pełni księżyca, niebo jaśniało pogodą, a dziewiąta godzina tylko co wybiła, gdyśmy wracali z Clamart do Paryża od pana Guigy, który nas gościnném uraczył przyjęciem. Oczy każdego z nas były wlepione w szafranowe oblicze księżyca, a myśl błąkała się na drodze najdziwniejszych przypuszczeń co do istotnéj jego przyrody. Jeden z nas utrzymywał, że to być musi otwór niebieskiego sklepu; drugi znów twierdził, że to jest owo okrągłe żelasko, na którém Dyana prasuje wykwintne żaboty Apollina; inny nakoniec dowodził, że księżyc może być bardzo prawdopodobnie słońcem w wice mundurze, które zdjąwszy z siebie pod wieczór świetne swe promienie, wygląda

przez ten otwór, chcąc się dowiedzieć, co też to ludzie robią na świecie podczas jego niebytności.

— A ja, rzekłem, dorzucając swe słówko do waszych, powiem wam, nie wdając się w owe wysokiéj waszéj wyobraźni przypuszczenia, któremi tak doskonale zabijacie czas dość już długo trwającéj drogi, iż wierzę, że księżyc jest światem równie jak nasz, i że nasza z kolei ziemia służy mu w nocy za latarkę.

Odpowiedziano mi głośnym śmiechem.

— Może tak samo, odrzekłem, śmieją się w téj chwili na księżycu z tego, co podobnie utrzymuje, że nasza planeta jest światem.

Ale napróżno starałem się im dowieść, że wielu znakomitych ludzi trzymało się tego zdania. Podniecało to tylko coraz bardziéj ich śmiechy.

Bądź co bądź, myśl ta jednak dość odpowiednia mym usposobieniom w owéj chwili, głębiéj mi się jeszcze w mózg wwierciła, wywoławszy przeciwko sobie tak żwawe w mych towarzyszach przeczenie. Przez całą drogę wnętrze méj czaszki zapładniało się tysiącem określeń księżycowéj przyrody, lecz ani jedno z nich nie mogło przyjść na świat szczęśliwie i w zdrowym stanie. Słowem, utrzymując w sobie podobne myśli i popierając je rozsądnemi (o ile przedmiot pozwalał) rozumowaniami, byłem już bardzo bliski oddania się im cał-

kowicie i na zawsze, gdy przecie cud czy wypadek, los lub cóś może takiego co to zowią widzeniem, urojeniem, chimerą albo głupstwem, wyprowadziło mnie z tego kłopotu, a nawet postawiło w możności napisania niniejszéj gawędy.

Wróciwszy do domu, gdym wszedł do mego pokoju, spostrzegłem na biurku otwartą jakąś książkę, któréj tam ani kładłem ani roztwierałem. Było to dzieło Kardana, i jakkolwiek nie miałem najmniejszego zamiaru czytania go, oko moje jednak mimowolnie, niby jakąś tajemną kierowane siłą, wpadło na wyrazy, opisujące wypadek, jaki się wydarzył pewnego razu temu filozofowi: w nocy, przy słabém świetle jednéj świecy, zatopiony w swych oderwanych badaniach spostrzega Kardan wchodzących do pokoju, pomimo że drzwi szczelnie były pozamykane, dwóch olbrzymiego wzrostu starców, którzy po wielu zapytaniach ze strony filozofa odpowiedzieli mu nareszcie, iż są mieszkańcami księżyca, i powiedziawszy to znikli.

Byłem cały zdumiony. Książka ta, która sama z pułek przywędrowała na stół, sama się w tém znaczącém dla mnie otworzyła miejscu, wszystko to nastroiło mnie na taką nutę, żem postanowił przekonać przecie raz już ludzi, że księżyc jest rzeczywistym światem.

— Jakto? mówiłem sam do siebie, cały dzień

myśl moja była wyłącznie zajętą jednym tym tylko przedmiotem, a teraz powróciwszy do domu, widzę jedyną w świecie książkę zajmującą się tą rzeczą, leżącą na mym stoliku i otwartą?.. i oczy moje nadludzką jakąś wiedzione siłą, utkwiły właśnie w miejscu jak najciekawszém... w miejscu, które coraz silniéj podsyca i tak już mocno rozbudzoną mą ciekawość do badań księżyca??... Zaprawdę musi w tém wszystkiém być cóś.... tak, bez zaprzeczenia, niewątpliwie dwaj starcy, którzy zjawili się niegdyś sławnemu owemu filozofowi, oszczędzając tym razem sobie i mnie pracy i niepotrzebnéj zmudy czasu na odwiedziny, musieli w czasie méj nieobecności wyjąć z szafki tę książkę i tu ją rozłożyć w tém miejscu.

Ale, pomyślałem sobie daléj, jakąż drogą dojdę do rozstrzygnienia wszelkich niepokojących mnie wątpliwości w badaniach nad księżycem? Trzebaby się nań dostać... A czemużby nie natychmiast? odpowiedziałem sobie. Prometeusz przecież wędrował do nieba po ogień. Mamże być mniéj od niego przedsiębierczym?.. Dla czegoż nie miałbym się spodziewać równie szczęśliwego jak on w mych poszukiwaniach i przedsięwzięciach skutku?

Po wszystkich tych *widzimisiach*, któreby kto inny wziął może za objawy gorączki, ogarnęła mnie

całego nadzieja wynalezienia sposobu przejażdżki na księżyc. W tym celu pojechałem na wieś, osiadłem w domku zupełnie odosobnionym, i przerzuciwszy tysiące nawijających mi się pomysłów, wybrałem sobie następującą drogę dla dostania się *in excelsis.*

Poprzyczepiałem do siebie ogromną ilość okrągłych szewckich baniek, napełnionych rosą, a promienie słoneczne działając na nie w sposób, w jaki sobie radzą gdy tworzą olbrzymie chmury, zalegające często całe sklepienie niebios, podniosły mnie tak raptownie w górę, że po krótkim przeciągu czasu poczułem, iż muszę się znajdować powyżéj średniéj strefy. Lecz ponieważ szybkość przyciągającéj siły, która mnie pędziła do góry, zamiast mnie przybliżać do księżyca, zdawała mi się owszem przeciwnie oddalać mnie od niego, stłukłem więc kilka baniek, następnie jeszcze kilka, aż nakoniec poczułem, że wyswobodziwszy się z pod wpływu przyciągającego siły promieni słonecznych, zacząłem upadać ku ziemi. Według mego obliczenia powinna była być w téj chwili północ. Tymczasem słońce świeciło z najwyższego punktu, i wnosząc z silnie mnie palących jego promieni, musiało to być południe.

Możecie sobie wystawić moje zadziwienie, a doszło ono do tego stopnia, żem sobie pozwolił wy-

obrazić, że Pan Bóg zawrócił naumyślnie słońce, aby przyświecało méj śmiałéj wędrówce. Ale co jeszcze przyczyniło się do zwiększenia mego podziwu, to to, że wyobrażałem sobie, iż podnosząc się pionowo, powinienem był spuścić się na to samo miejsce, z którego porwany zostałem, a tymczasem ziemia pod memi stopami była mi zupełnie nieznaną. Widząc w oddali dym wychodzący z komina jakiéjś nędznéj chatki, udałem się w jego kierunku. Gdym się jeszcze znajdował oddalony od zabudowania tego na strzał pistoletowy, nagle otoczyło mnie mnóstwo ludzi zupełnie nagich. Wyraźne zadziwienie malowało się na ich twarzach, byłem bowiem zapewnie pierwszym człowiekiem, którego widzieli w tak dziwnym jak mój butelkowym stroju. Ku większemu jeszcze zbałamuceniu wszystkich domysłów, jakie się mogły zrodzić w ich głowach, stopy moje nie dotykały ziemi; bujałem leciuchno nad jéj powierzchnią, i gdyby nie zmniejszona już znacznie ilość baniek, pewnieby rosa w nich zawarta, pod wpływem słonecznych promieni, podniosła mnie do góry z równym jak pół doby temu pośpiechem. Chciałem do nich przystąpić, lecz oni przestraszeni zerwali się jak stado dzikich ptaków i znikli w pobliskim lesie. Ale zdołałem jednego z nich schwytać. Zapytałem go, a z trudnością mi to przyszło, bom cały był zazia-

jany, jak daleko do Paryża i od jakiego to czasu ludzie we Francyi chodzą nago? Człowiek do którego przemówiłem w ten sposób, był starcem cery oliwkowéj. Padł przedemną na kolana, złożył ręce ale z tyłu głowy, otworzył usta i zamknął oczy. Bełkotał cóś długo przez zęby, tak żem go zrozumieć nie mógł; dźwięki jego głosu podobne były do gardłowego syczenia niemocy.

Po pewnym czasie wystąpił z lasu oddział żołnierzy i bijąc w bębny zbliżał się ku mnie. Dwóch z oddziału wysunęło się naprzód. Zapytałem ich, gdzie się znajduję?

— Jesteś pan we Francyi, odpowiedzieli mi, ale jakież to licho ustroiło pana w ten sposób? i jakim się to dzieje cudem, że my pana nie znamy? Czy okręta wylądowały? Może pan jesteś posłańcem do gubernatora? Dla czegożeś pan porozlewał swą wódkę w taką nieskończoną ilość flaszeczek?

Odpowiedziałem na to wszystko, że żadne licho nie przyczyniło się do mego stroju, że mnie nie znają dla téj bardzo prostéj przyczyny, że wszystkich ludzi znać niepodobna, że pierwszy raz słyszę o tém, aby okręta żeglowały po Sekwanie aż do Paryża, że nie mam żadnéj nowiny do udzielenia panu gubernatorowi *de l'Hôpital*, i że zresztą bynajmniéj nie wiozę ze sobą gorzałki.

— Ho! ho! odrzekli biorąc mnie pod obiedwie

ręce, chcesz nam grać rolę zucha. Pan gubernator pozna cię zaraz.

Poprowadzili mnie więc do samego vice-króla, który zadawszy mi kilka protokularnych zapytań, rozkazał w końcu dać mi pokój we własnym swoim pałacu.

Ja z méj strony dowiedziałem się, że jestem rzeczywiście we Francyi, ale w nowéj, w Ameryce. Pokazało się więc, żem spadł na Antypody.

W wieczór, gdym się już zabierał do snu, wszedł do mnie vice-król i odezwał się w ten sposób:

— Nie śmiałbym zakłucać pańskiego spoczynku, gdybym nie był przekonany, że ktoś co wynalazł sposób przebycia w tak krótkim czasie tak długiéj drogi, może również mieć sposób nie męczenia się nigdy. Wiesz téż pan, że nasi ludzie koniecznie utrzymują, żeś pan czarnoksiężnik. Rzeczywiście obrót, który pan przypisujesz ziemi, jest dość dowcipną zagadką, tém bardziéj, że przypuściwszy nawet, iżeś wczoraj wyjechał z Paryża, to jeszcze ziemia nie potrzebowałaby wcale obracać się, abyś się tu pan dostał. Słońce za pośrednictwem pańskich flaszeczek podniosło pana w górę, musiało cię więc spuścić na to miejsce, gdyż według Ptolomeusza i nowszych filozofów, słońce obraca się w tym ukośnym kierunku, jaki ty chcesz nadać ziemi. A zresztą cóż mamy za powód utrzy-

mywać, że słońce jest nieruchome, kiedy widziemy jak bieży? lub że ziemia się obraca, kiedy przeciwnie czujemy ją tak stałą i nieporuszoną pod naszemi stopami?

— Oto są kochany panie powody, odrzekłem, skłaniające nas do mniemania, że słońce jest nieruchomém, i że się znajduje w samym środku wszechświata: najprzód, że wszystkie planety potrzebują światła i ciepła, a jedno i drugie mogą otrzymywać jedynie od słońca w stanie jego nieruchomym. Przyroda urządziła wszystko w ten sposób, że źródło każdéj rzeczy zawarte jest w samym jéj środku, tak jak ziarno lub pestka w owocu! Przypuściwszy więc, że inne planety, podobnie jak ziemia, potrzebują ożywczego światła i ciepła słonecznych promieni, to aby je ciągle i w jednakowym zawsze miały stosunku, muszą się obracać około tego ich źródła, które znów musi być nieruchomém. Zresztą jest to wielką zarozumiałością chcieć utrzymywać, że słońce obraca się około naszéj ziemi dla tego, aby jéj jednéj tylko przyświecało. Ciało nieskończenie od niéj większe! ho! ho! jest to to samo, jak gdybyśmy powiedzieli, że dla upieczenia na rożnie skowronka, trzeba na około niego obracać komin z ogniem; jest to utrzymywać, że nauka medycyny potrzebuje chorego, a nie odwrotnie, słowem jest to powiedzieć, że wielkie

rzeczy są stworzone dla małych, że słabszy musi zawsze zwyciężyć mocniejszego. Nie! stanowczo utrzymuję, że się ziemia około słońca obraca i żywi się jego światłem i ciepłem wespół z tyloma innemi ciałami niebieskiemi, które również około niego krążą i korzysta z tych darów tylko jak żebrak, który idąc ulicą obok cesarskiego pałacu, korzysta z tysiąca świateł, które w nim płoną.

— Zwalniam cię, rzecze gubernator, od dalszego dowodzenia, nie dla tego ażebyś mnie miał przekonać, ale że chcę ci opowiedzieć dowcipny dowód jednego z naszych krajowców, na potwierdzenie własnego twego zdania. Krajowiec ten podzielał zdanie Kopernika o biegu ziemi około słońca, ale dowodził tego w sposób zupełnie różny od uczonego astronoma. Mówił on, że piekielny ogień będąc zawartym we wnętrzu ziemi i nielitościwie paląc nieszczęśliwych potępieńców, zmusza ich do tego, że chcąc uniknąć go pną się po kulistém sklepieniu, w którém są zamknięci, i tym sposobem nadają ruch ziemi, podobnie jak pies zamknięty w kole, pnąc się po jego ścianach, zmusza je do szybkiego nadzwyczaj biegu.

Co dzień powtarzały się te nasze arcy-astronomiczne rozmowy, przechodziły one nawet w sferę czysto-filozoficzną, i Bóg wie do jakichby przyprowadziły nas wyników, gdyby nie to, że sprawy

państwa odwołały wice-króla z tego wyłącznie naukowego pola na inne mniéj oderwane. Mnie zaś z większą jeszcze niż dawniéj siłą opanowała myśl dostania się koniecznie na księżyc. Ile razy oblicze jego pokazało się na niebie, szedłem w pole i przypatrywałem mu się z całém zajęciem, a serce moje paliła żądza znajdowania się na nim. Pewnego nareszcie razu, zbudowawszy doskonałą machinę, która według wszelkich poprzednio już przezemnie robionych obliczeń, powinna mnie była podnieść do jakiéj sobie tylko życzyć mogłem wysokości, i zaopatrzywszy się we wszystko co osądziłem za potrzebne, puściłem się w napowietrzną podróż z pobliskiéj skały. Widać jednak żem źle jeszcze wymiarkował siły i działanie méj machiny, gdyż wzniósłszy się do niezbyt znacznéj wysokości, spadłem na ziemię, ku wielkiemu niezadowolnieniu mego ciała, które się całe w okamgnieniu przemieniło w jedną olbrzymią ranę. Mimo to jednak, duch mój nie stracił przytomności, zerwałem się czém prędzéj, zgromadziłem poodrywane i rozproszone w około mnie co grubsze cząstki méj materyalnéj istoty, a przybywszy do domu wysmarowałem się tak doskonałym balsamem, sporządzonym ze szpiku i żywokostu, że wkrótce wróciłem do dawnego stanu cielesnego zdrowia. Wtenczas przypomniało mi się, że wartoby iść poszu-

kać méj machiny, która razem ze mną spadła z górnych stref na ten padół. Gdzie tam! szukałem napróżno, nigdzie jéj śladu nawet nie mogłem się domacać, aż wreszcie znajduję ją na środku rynku *Quebec*, otoczoną przez kilku żołnierzy, którzy już podkładają pod nią ogień, w chęci uczynienia jéj pastwą tego niszczącego żywiołu. Zgrozą przejęty na widok tych nowych Herostratów, rzucam się pomiędzy nich, a rozpacz dodając mi nadludzkich sił sprawia, że odrazu ich odpycham i wskakuję do méj maszyny. Lecz o nieba! wskakując poruszyłem nogą lotną sprężynę, która w jednéj sekundzie wprawiając w ruch cały mechanizm, unosi mię gwałtownie w górę.

Pędzę tedy pionowo jak strzała z najdoskonalszego wyrzucona łuku, wzbijam się coraz wyżéj i wyżéj, w tém nagle maszyna moja ulega temu samemu wypadkowi, jaki ją spotkał w czasie mojéj pierwszéj na niéj podróży. Kórka i sprężyny tracą regularność biegu, całość mechanicznego ruchu coraz bardziéj słabnie, i wreszcie maszyna z podemnie upada. Rzecz jednak niepojęta! ja bynajmniéj nie idę za jéj przykładem, lecz przeciwnie, bez najmniejszego z méj strony starania, coraz się wyżéj podnoszę.

Proszę sobie wystawić moją odwagę i zimną krew w owéj chwili! Zapominając o położeniu w ja-

kiém się znajduję, zapominając o grożącém mi niebezpieczeństwie, najspokojniéj zacząłem badać przyczyny tego niezrozumiałego dla mnie zjawiska. I doszedłem nakoniec całéj tajemnicy. Księżyc był w swym peryodzie zmniejszania się. Wiadomo, że wówczas wysysa on szpik z kości wszystkich żwierząt, znajdujących się na ziemi, a ponieważ ja cały byłem wysmarowany szpikiem, przeto księżyc gwałtownie mnie do siebie przyciągał. Siła ta zaś przyciągania była tém większą, iż znajdowałem się daleko bliżéj księżyca, aniżeli wszystko to co pełza po naszéj ziemi. Szybkość mego lotu wzrastała co chwila. Gdym wreszcie, o ile mi się zdaje, odbył już ze trzy czwarte drogi do księżyca, nagle przewróciłem się nogami do góry. Wywróciłem jednak tego koziołka tak niepostrzeżenie, że tylko ciężar własnego ciała spływając mi na głowę, przekonał mnie o tém nadprzyrodzoném mém położeniu.

Powiodłem do koła wzrokiem i ujrzałem się między dwoma ogromnemi księżycami. Oddalałem się jednak widocznie od większego, dążąc ku mniejszemu. Zjawisko więc to łącznie z tym tajemniczo wywróconym koziołkiem i z jakiémś wreszcie wewnętrznem przeczuciem, z którego żadnéj sprawy zdać sobie nie mogłem, wprowadziło mnie na myśl, że zdążam ku właściwemu (w naszém rozu-

mieniu) księżycowi. Rzeczywiście po dwudniowéj jeszcze wędrówce poczułem na sobie silne nadzwyczaj działanie przyciągającéj siły księżyca i zresztą, nie zdając wam sprawy z wrażeń jakich doznałem spadając, bo takowe i dla mnie pozostają cokolwiek ciemnemi, powiem tylko, żem się na raz ujrzał pod drzewem, z tuż obok mnie leżącemi trzema gałęziami, które oberwałem spadając i z dojrzałém jabłkiem rozmazaném na méj twarzy, któréj usta chciwie chwytały wydzielający się z owocu smaczny jego sok.

Gdym przyszedł do siebie i spojrzał w około, pyszna równina rozwinęła się przed mém okiem. Cztery srebrne przerzynały ją rzeki, które łącząc się przy swém ujściu, tworzyły dziwnie piękne i symetryczne jezioro. Świecące kamyki, któremi droga była tu usypaną, nie były tak twarde jak nasz krzemień, lecz owszem zdawało mi się, iż miękną pod moją stopą i uchylają się pod jéj naciskiem. Daléj między rzekami, pięć alei ślicznemi usadzonych drzewami przecinało się z sobą, nad któremi unosiła się olbrzymia gwiazda; drzewa tak proste i tak wysokie, iż się zdawało, że ich szczyty giną w atmosferze sąsiednich planet.

Patrząc z dołu aż do góry na te pyszne drzewa, nie byłem w stanie powiedzieć na pewno czy one z ziemi wyrastają, to jest czy ziemia je dźwi-

ga, czy też przeciwnie one wstrzymują ziemię przyczepioną do ich korzeni. A zapach rosnących kwiatów i cudowne ich barwy tak mile uderzały wzrok mój i węch, a muzyka ptasząt wesołych tak łagodne do ucha sprowadzała mi wrażenia, żem na seryo rozumiał się być w raju. Jak żwierz na wiosnę lenieje i nową pokrywa się szerścią, tak ja moralnie zrzuciłem z siebie wszystko com z ziemi na sobie tu przyniósł i nowym pokryłem się włosem. Czułem wyraźnie, jak się odradzam, czułem, że robię się takim, jak kiedym miał lat czternaście.

Puściłem się drogą przez śliczny lasek myrtów i jazminów, a uszedłszy z jakie ćwierć mili, spostrzegłem w cieniu na murawie cóś ruszającego się.

Podszedłem bliżéj i ujrzałem spoczywającego na pysznym natury kobiercu młodziana tak zachwycającéj, czystéj niebiańskiéj piękności, że w mém zachwyceniu chciałem mu już oddać cześć, jaką zwykliśmy oddawać Bogu.

Lecz on w sam czas zdążył mnie wstrzymać mówiąc:

— Do Boga tylko w ten sposób zwracać się należy.

— Masz przed sobą kogoś, odrzekłem mu, który zachwycony tyloma cudami, jakie znalazł na twéj

uroczéj ziemi, nie wie od czego ma zacząć; język mi się plącze, przybywam ze świata, który tu zapewnie uważacie za księżyc; zamiarem moim było się dostać na to ciało niebieskie, które znów u nas nazywają księżycem, ale widzę, że jestem w raju, w obec Bóstwa, które nawet nie chce abym mu należną cześć oddał.

— Wyjąwszy natury Boskiéj, jaką mi przypisujesz, ponieważ jestem równie jak ty istotą stworzoną, reszta słów twych jest prawdziwa. Jesteś rzeczywiście na księżycu, mówiąc językiem waszéj ziemi. Bo i ja kiedyś mieszkałem na waszym świecie. Oddany byłem wówczas całkowicie życiu naukowemu i było mi z tém dość dobrze, ale gdy nakoniec spostrzegłem, że im więcéj człowiek umie, tém więcéj przekonywa się, że umie bardzo jeszcze mało w porównaniu z tém, coby mu umieć wypadało, chcąc dojść do prawdy; znudziło mnie to, zniecierpliwiło tak, żem stracił nadzieję odszukania téj prawdy na drodze nauki. Począłem wówczas myśleć, myśleć... aż pewnego razu wziąłem dwie stopy kwadratowe magnesu, wsadziłem do chemicznego pieca i gdym go w ten sposób należycie oczyścił i rozrzedził, wydobyłem z niego wszystką siłę przyciągającą w kształcie kulki śriedniéj wielkości. Następnie kazałem sobie zrobić maszynę z cienkiego żelaza, wsiadłem w nią i rzu-

ciłem w powietrze magnesową kulkę. Natychmiast poczułem, że się podnoszę i zdążam w prostym do góry kierunku za wyrzuconą kulką. Gdy takowa opadać poczęła, schwyciłem ją co prędzéj i znów wyrzuciłem w górę, i znów maszyna ze mną przyciągana przez magnes szybko podnosiła się. Powtarzając ciągle to działanie, dostałem się nakoniec aż na księżyc. Kiedy już byłem na jego powierzchni, oko moje, podobnie jak twoje przed chwilą, zachwycone zostało widokiem téj cudownéj natury. Długo błąkałem się samotnie nie wiedząc co począć, zwątpiłem już nawet potém, czy te urocze miejsca są zamieszkałe przez kogo i smutno mi się zrobiło na myśl, że jestem tak zupełnie odosobniony od wszelkich żyjących istot. Wpadłem w końcu w rozpacz i prosiłem Boga o śmierć lub spotkanie się choć z jakiém żwierzęciem. Niebo mnie wysłuchało: po kwadransie drogi zoczyłem zbliżające się ku mnie dwoje ogromnych jakichś żwierząt. Jedno z nich, dostrzegłszy mnie uciekło z niewypowiedzianą szybkością, drugie zaś pozostało na miejscu i pilnie zaczęło mi się przypatrywać. I ja téż z méj strony uważnie mu się przyglądałem i ku wielkiemu memu zadziwieniu przekonałem się, że te żwierzęta miały zupełnie ludzkie twarze i składem ciała wcale się od nas nie różniły. Cała ich różnica od nas polegała na tém,

że chodziły na rękach i nogach, poprostu na czworakach, co z resztą przyznasz pan, nie jest przeciwko naturze, bo przecież dziecko, dopóki jest maleńkie, dopóki jeszcze żaden obcy wpływ nie ma do niego przystępu, chodzi na czworakach. Ale mniejsza o to.

Otóż jedno z tych żwierząt, jak ci przed chwilą mówiłem, uciekło do lasu, wkrótce jednak wróciło w towarzystwie nieprzeliczonéj liczby podobnych mu stworzeń. Jedno nareszcie z nich podstąpiło do mnie bliżéj, wzięło mnie przedniemi łapami w pół i zarzuciwszy na grzbiet, niezmiernie szybko mnie uniosło przy radośnych okrzykach całéj czeredy.

Po pewnym przeciągu czasu ujrzałem się wśród murów, dość porządnie zbudowanego miasta, co mnie utwierdziło w mém poprzedniém mniemaniu, że to rzeczywiście muszą być ludzie. Zewsząd wołano, patrząc się na mnie: to zapewnie ten sam rodzaj żwierzątka, którego jedną sztukę posiada królowa, tylko, że to drobniejsze i jakoś łagodniejsze wygląda na samicę.

Wystąpił nareście z tłumu jakiś obywatel, mieniący się być znawcą żwierząt i domagał się aby mu mnie darowano. Uczyniono zadość jego żądaniu. On mnie zaniósł do ratusza. Cały dzień tłoczono się zewsząd, aby mnie oglądać. Następnych

dni zaprowadzono już pewien porządek w tych odwiedzinach. Wyznaczono godziny, w których dozwolono ciekawym przychodzić dla przypatrzenia mnie się. Wówczas dozorca zmuszał mnie skakać przez sznur, tańczyć, wywracać kozły i rożne odbywać ćwiczenia gimnastyczne, bardzo poniżającéj przyrody; okropnie musiałem pracować na zarobienie téj łyżki strawy, jakiéj mi w tém więzieniu udzielano.

Po dwóch czy trzech miesiącach podobnego życia, usłyszałem za sobą głos ludzki, przemawiający do mnie po grecku. Odwróciłem głowę i spostrzegłem rzeczywiście człowieka, który mi się pytał z kąd jestem i jakim się tu dostałem sposobem. Opowiedziawszy mu pokrótce przyczyny, jakie mnie skłoniły do tego śmiałego przedsięwzięcia i środki, które mi posłużyły do wykonania go, zostałem zapytany w następujący sposób:

— Jesteś ofiarą głupoty twych bliźnich, wiesz o tém? I tu równie jak na twoim rodzinnym planecie, znajduje się niedorzeczna tłuszcza, która nie może zrozumieć tego, do czego jéj oko nie jest przyzwyczajoném. Uważają cię na księżycu za zwierze dla tego, że nie chodzisz na czworakach jak oni; ale wiedz, oni oddają ci tylko wet za wet. Ręczę ci, i sam zapewnie o tém przekonany jesteś, że gdyby który z nich dostał się na ziemię,

niezawodnie byłby przez was uważany za żwierze. A niechby mu jeszcze fantazya przyszła utrzymywać, że jest człowiekiem, niezawodnieby go nasi uczeni kazali udusić jako potwora.

Mój nowy znajomy obiecał mi potém w ciągu naszéj rozmowy, że da znać o mojém pojawieniu się do dworu, co zapewnie znakomicie wpłynie na poprawę mego losu. Powiedział mi, że gdy tylko usłyszał o mnie i gdy mu opisano mniéj więcéj kształt mojego ciała, zaraz się domyślił, że muszę być człowiekiem, albowiem on sam, jakkolwiek urodził się i wychował na *słońcu*, nawiedzał jednakże ziemię i mieszkał pewien czas na niéj.

Był mianowicie w starożytnéj Grecyi, gdzie pospolicie nazywano go szatanem Sokratesa. Wychował tam Epaminondesa i rządził w Tebach podczas jego małoletności, następnie pojechał do Rzymu, gdzie wrodzone mu uczucie sprawiedliwości skłoniło go do przyjęcia czynnego udziału w stronnictwie Katona. Późniéj był ciągle przy Brutusie, z którym go nawet bardzo ścisła łączyła przyjaźń.

Nakoniec, dodał, ludzie do tego stopnia znikczemnieli na ziemi, że ja i koledzy moi ze słońca straciliśmy ochotę nauczania ich. Musiałeś o nas słyszeć; byliśmy tam znani pod najrozmaitszemi nazwiskami: wyroczni, nimf, gieniuszów, wróżek, larów, lemurów, penatów, larw, strzyg, złych i do-

brych duchów, najad, rusałek, cieniów, widm, strachów, widziadeł i sobowtorów. Porzuciliśmy świat wasz za czasów panowania Augusta, zaraz po ostatniém mém widzeniu się z Druzem, synem Liwii, kiedy tenże wybierał się na wyprawę przeciwko Giermanom. Niedawno byłem powtórnie na waszym świecie dla widzenia się z Kardanem, którego nauczyłem wielu bardzo pożytecznych rzeczy. Obiecał mi za to opowiedzieć ludziom tę ostatnią moją wycieczkę na waszą planetę. Widziałem się również z Agryppą, Opatem Tryteniusem, Cezarem, doktorem Faustem, la Brossem. Znałem Campanellego, z mojéj nawet namowy napisał on książkę pod tytułem: „De sensu rerum.“ Bywałem podczas pobytu mego we Francyi u la Mothe'a, le Vogera i u Gassendego. Oto są mniéj więcéj ludzie, których poznałem bliżéj i którzy zasługują na jakąś uwagę. Wszyscy inni stali tak dalece niżéj od rozumnéj istoty, jaką powinien być człowiek, żem znalazł wiele bardzo zwierząt, którebym postawił wyżéj od nich. Więc obrzydziwszy ich sobie ostatecznie, przeniosłem się na ten księżycowy świat, który przynajmniéj pod tym względem lepszy jest od waszego, że nie ma na nim pedantów, i że w ogóle tutejsi mieszkańcy kochają prawdę. Filozofowie na księżycu rządzą się jedynie rozsądkiem,

krótko mówiąc każdy sofista i orator uważany tu jest za waryata.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, zapytałem się go wiele sobie może liczyć lat? Odpowiedział mi, że od trzech do czterech tysięcy.

Zapytałem go następnie, czy ludzie na słońcu mają też same kształty ciała co na ziemi?

— Tak jest, odpowiedział, ale skład naszego ciała jest zupełnie od waszego różny i w ogóle nie może być porównany z żadną rzeczą istniejącą na waszym planecie. Wy zwykliście nazywać ciałem tylko to, co podpada pod wasze zmysły, my zaś przeciwnie utrzymujemy, że wszystko na świecie jest ciałem, chociażby nie było dostępném żadnemu z pięciu zmysłów człowieka. Podczas pobytu naszego na ziemi, byliśmy zmuszeni przyodziewać się w wasze kształty ciała, to jest w takie, które nie przechodzą po za zakres słabego rozwinięcia waszych zmysłów.

Tyle ciekawych, a często zagadkowych rzeczy, skłoniło mnie do zadawania mu dalszych zapytań:

— Chciałbym wiedzieć, rzekłem, jak ludzie na słońcu umierają, jeśli są podlegli śmierci, i w jaki sposób się rodzą? Czy prawa natury w tym względzie są jednakowe u was i u nas.

— Zbyt wielką jest, odpowiedział, granica między naszemi i waszemi zmysłami, abyś był w sta-

nie zrozumieć całą tajemnicę wszystkich tych rzeczy. Wy wyobrażacie sobie, że w ogóle to czego nie możecie zrozumieć, jest *duchowém*, albo że wcale nie istnieje, tymczasem loika ta jest bardzo fałszywą i nawet może sama posłużyć za dowód na to, że w przyrodzie mogą istnieć miljony przedmiotów, które abyście mogli poznać, musielibyście mieć miljony nowych organów, których nie posiada wasza istota. Ja naprzykład za pomocą mych zmysłów jedynie poznaję przyczynę związku, jaki zachodzi między magnesem a północnym biegunem; również widoczną, dotykalną jest dla mnie przyczyna przypływu i odpływu morza. Wy nie możecie się podnieść do wysokości zrozumienia podobnych kwestyi i stanowią one przedmiot waszéj wiary; bo zmysłom waszym brak tych subtelnych własności, za pomocą których dochodziemy do łatwego pojęcia wszystkich tych zjawisk.

Tymczasem dozorca mój spostrzegłszy, że odwiedzający mnie goście zaczynają ziewać, że rozmowa moja z zacnym słonecznym obywatelem, któréj zupełnie nie rozumieli, nudzi ich najniemiłosierniéj, począł z całéj siły ciągnąć za sznurek, na którym byłem uwiązany i musiałem znów skakać, tańczyć, wywracać kozły, aż szanowna publiczność kładła się na ziemię pękając ze śmiechu.

Jegyną mą pociechą w obecném mém położe-

niu były odwiedziny tego poczciwego szatana. Z nim jednym mogłem przynajmniéj pomówić po ludzku, gdyż z krajowcami nie można było zawiązać żadnéj rozmowy, najprzód dla tego, że mnie uważali za żwierzę nie mające na sobie najmniejszéj ludzkiéj cechy, powtóre zaś, że nie znałem zupełnie ich języka, a którego nauczyć się nie było tak łatwo. Trzeba ci wiedzieć bowiem czytelniku, że jest tu właściwie jeden tylko język dzielący się na dwa narzecza: jedném mówią możni, arystokracya księżycowa, drugiém znów lud. Pierwsze narzecze składa się z niewyraźnych, nieokreślonych dźwięków, podobnych cokolwiek do głosu muzycznego. Naturalnie, że dla naszego ucha są one zupełnie niezrozumiałe. Można je porównać do nuty jakiejś piosenki, któréj słów nie słyszysz. Bez zaprzeczenia jest to bardzo dowcipny i dobry wynalazek, bo skoro się zmęczą rozmową, wówczas biorą do ręki lutnię lub inny jaki podobny instrument i z nadzwyczajną wprawą przebierając palcami po jego strunach, najdokładniéj w świecie udzielają sobie swe myśli. Tak, że czasami widzisz ich ze dwudziestu zajętych ważną jakąś kwestyą teologiczną lub prawną, każdy z nich mówi, zaprzecza, dowodzi, a to wszystko razem tworzy najwyborniejszy koncert, jaki kiedykolwiek pieścił ucho artysty. Drugie ludowe narzecze polega cał-

kowicie na ruchu członków; niektóre części ciała stanowią całe zdania, naprzykład wywijanie palcem lub ręką, poruszanie ucha, oka, wargi, policzka może oznaczać całe zdanie w rozmowie, gdy tymczasem inne i innych członków poruszenia wyrażają pojedyńczy tylko wyraz lub rzecz jakąś. Do takich należą zmarszczenie czoła, rozmaite drgania muskułów, wykręcanie rąk, tupanie nogami, tak że gdy mówią, (zwłaszcza zważywszy to, że chodzą zupełnie nadzy), zdaje się ci, że nie widzisz rozmawiającego człowieka, tylko ciało jakieś ustawicznie drżące.

W ten sposób dzień po dniu schodziło mi życie. Pewnego razu wszedł do mego więzienia, a raczéj klatki, ponieważ tu uchodziłem za żwierzę, jeden z krajowców i objąwszy mnie przedniemi łapami, położył bardzo delikatnie na swych plecach, i nie wymówiwszy ani jednego słowa wyniósł mnie na dwór. Wyszliśmy z miasta i wędrowaliśmy cały dzień, zawsze zachowując względem siebie to samo położenie, to jest ja siedząc na nim jak na koniu, a on służąc mi za doskonałego rączego wierzchowca.

Pod wieczór stanęliśmy na popas w zajezdnym domu. Gubiąc się w przypuszczeniach co do przyszłéj méj doli, przypomniał mi się poczciwy słoneczny obywatel, który mi słodził przykre chwile

pobytu w więzieniu, i smutno mi się zrobiło, gdym sobie pomyślał, że go już może więcéj nie zobaczę.

Przechadzałem się po dworku zatopiony w podobnych dumaniach, gdym spostrzegł zbliżającego się do mnie jakiegoś krajowca, który przedniemi łapami wziął mnie za szyję i serdecznie uściskał. Zdziwiony, nie wiedząc coby to mogło znaczyć, zatopiłem w niego wzrok badawczy, a on przemówił do mnie po francuzku:

— Jakto! nie poznajesz więc starego przyjaciela?

Wówczas poznałem dopiéro, że to jest ten sam, na którym tu przyjechałem z miasta, ale zadziwienie moje zwiększyło się jeszcze, gdym go usłyszał mówiącego nadzwyczaj poprawną francuzczyzną. On zaś daléj ciągnął:

— Obiecywałeś mi, że mnie nigdy nie zapomnisz, że przysługi jakie ci wyświadczyłem, nigdy z twéj pamięci nie wyjdą, a teraz patrzysz się na mnie jak gdybyś mnie widział pierwszy raz w życiu!

Ale widząc, że niczego się nie domyślam, rzekł daléj:

— No cóż? jestem przecie Szatanem Sokratesa, tym samym co to cię nawiedzał i cieszył w więzieniu. Przyjąłem naumyślnie kształty tutejszych

ludzi, aby cię uprowadzić z tamtąd. Jedziemy obecnie do dworu. Mówiłem o tobie z królem, któren polecił mi, abyś się niezwłocznie przed nim stawił.

W tém dano nam znać, że przygotowany dla nas posiłek jest gotów. Udałem się więc wraz z mym przewodnikiem do pysznie umeblowanéj sali, ale nie spostrzegłem w niéj żadnych przyborów do jedzenia. Głód dokuczał mi niemiłosiernie. W tém trzech czy czterech młodych chłopców przystąpiło do mnie i zaczęli mnie przedniemi swemi łapami rozbierać aż do naga. Nowy ten obrządek zdziwił mnie do tego stopnia, żem nie śmiał, a raczéj zapomniałem się zapytać o jego znaczenie.

— Czy chcesz według przyjętego na ziemi zwyczaju zacząć od zupy? zagadnął mnie mój przewodnik.

Odpowiedziałem machinalnie, że dobrze, ale zaledwiem to wymówił, gdy poczułem mocny nadzwyczaj zapach wybornych jakichś potraw. Powodowany głodem, instynktownie zerwałem się z miejsca i chciałem szukać źródła, z którego wychodziły tak doskonałe wonie, lecz Szatan mnie powstrzymał, zapytując:

— Gdzie chcesz iść? pójdziemy późniéj na przechadzkę, teraz zaś jest czas jeść, skończ zupę, a następnie każę podać inne potrawy.

— A gdzież jest do czarta ta zupa, odpowiedziałem z gniewem. Czyś się uwziął drwić sobie dziś ze mnie bez przestanku?

— Sądziłem, odrzekł mi spokojnie, że będąc w mieście, widziałeś swego dozorcę lub kogobądź wreszcie z krajowców spożywającego obiad. Dlatego nie uprzedziłem cię o sposobie, w jaki się te rzeczy odbywają na księżycu. Ale skoro widzę, że nic jeszcze nie wiesz w tym względzie, muszę ci więc powiedzieć, że ludzie tu żyją jedynie wonią, jaką wydają potrawy. Sztuka kucharska polega tu na skupieniu w umyślnie na ten cel przygotowanych naczyniach, wydobywających się z mięsa i jarzyn gazów. Skoro już dostateczna ich ilość zostanie nagromadzoną w naczynia, stosownie do smaku i apetytu pożywających, wówczas odkrywają takowe, właśnie tak jak to ma miejsce w téj chwili. Rozumiem dobrze, iż tobie, nieprzyzwyczajonemu do podobnego sposobu postępowania, musi się to wydawać dziwném, aby nos bez pomocy zębów i gardła mógł pełnić obowiązek ust, ale że tak jest istotnie, przekonasz się o tém z własnego doświadczenia.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy poczułem mnóstwo innych wybornych zapachów, nie wiedzieć zkąd się wydobywających, a które napełniły całą salę. Wąchałem je z całéj siły, wydymałem jak mogłem

płuca, aby jak najwięcéj tego pożywnego gazu choć tą drogą wpłynęło do mego próżnego żołądka, i rzeczywiście po pewnym czasie uczułem się mniéj czczym.

— Nie powinno cię to dziwić, wtrącił znów Szatan, musiałeś przecie zauważyć, że i u was kucharze, kucharki, pasztetniki, w ogóle osoby krzątające się koło jadła, lubo jedzą daleko mniéj od wszystkich innych, a są mimo to nadzwyczaj tłuści. Cóżby mogło być tego przyczyną, jeśli nie gazy wydobywające się bez ustanku z przygotowanych przez nich potraw, które wsiąkają w ich organizm? Nadto trzeba ci wiedzieć, że podobny sposób żywienia się jest nierównie zdrowszy aniżeli ten, który istnieje u was. Pokarm w ten sposób dostawszy się do naszego ciała, nie wyrabia w nim żadnych nieczystości, które są po większéj części źródłem wszystkich chorób. Uważałem żeś równie niezmiernie się zdziwił, gdy cię rozebrano do stołu. Bardzo naturalnie, odzienie bowiem utrudnia wsiąkanie pożywnych gazów w ciało i dla tego usuwają je tu jako przeszkodę.

— Wiesz pan co jednak, wtrąciłem, zanim się zupełnie przyzwyczaję do tego nowego sposobu pożywania pokarmów, czuję silnie się jeszcze odzywające we mnie resztki zwyczajów ziemskiego życia, i dla tego nieskończenie byłbym ci wdzięczen,

gdybym mógł poczuć w téj chwili pod żarłocznym mym zębem kawał jakiegokolwiek mięsa, choćby najtwardszego.

Obiecał zadosyć uczynić mym żwierzęcym, jak mówił, zachceniom, ale już nie dziś tylko jutro; lękał się bowiem, abym nie dostał niestrawności.

Gawędziliśmy jeszcze potém długo o tém i o owém, gdy dano nam znać, że posłania już nasze gotowe i czas jest kłaść się spać.

Po wygodnych schodach dostaliśmy się na wyższe piętro, przeznaczone na sypialnie. Ciż sami chłopcy, którzy nam usługiwali przy obiedzie, zaprowadzili mnie do pysznego pokoju, usłanego najwonniejszemi i najżywszych barw kwiatami, aż do wysokości trzech stóp. Dla pana Szatana znajdował się obok również wykwintnie urządzony pokój. Dowiedziałem się, że tu nie znają innych łóżek. Położyłem się więc na tém pachnącém posłaniu, a usłużne chłopczyki natychmiast poczęli mnie leciuchno łechtać pod podeszwy, po bokach, rękach, nogach, tak, że w kilka chwil słodko nadzwyczaj usnąłem.

Nazajutrz, wraz z pierwszemi promieniami wschodzącego słońca, wszedł Szatan do mego pokoju.

— Wstawaj, rzekł, chcę ci dotrzymać słowa; zjesz dziś śniadanie po swojemu.

Podniosłem się z posłania, ubrałem się i poszliśmy obadwaj do pobliskiego gaiku. Zastaliśmy tam czekających już na nas zawsze tych samych chłopaczków. Jeden z nich trzymał w przednich łapkach broń jakąś, jak mi się zdawało palną, dość podobną do naszéj strzelby. Na rozkaz Szatana, chłopczyk wystrzelił, a ja zdumiony ujrzałem u mych nóg kilkanaście ślicznie upieczonych skowronków.

— Jedz, rzekł mi mój towarzysz, może nie lubisz skowronków; oni dla tego wybrali ten rodzaj ptaków, że zwykle karmią niemi tu małpy, a są w tém przekonaniu, że ty należysz do gatunku tych figlarnych żwierząt.

Nie odpowiedziałem nic tą razą, zajadając z niesłychanym apetytem smaczną pieczonkę; przyszło mi tylko na myśl przysłowie, że jest kraj, w którym: „pieczone gołąbki, same wlatają do gąbki,“ i domyśliłem się zaraz, że to w tém przysłowiu musi być mowa o księżycu.

— Dziwi cię i to zapewnie, zagadnął mnie Szatan, że ten chłopak wystrzeliwszy zabił już upieczone skowronki? Wiedz, że tutejszy proch ma własność nie tylko zabijania żwierzyny, ale zarazem oskubania jéj, wypatroszenia i upieczenia jak na rożnie.

Po tém śniadaniu puściliśmy się w dalszą drogę.

Jeszcze przed odjazdem Szatan wręczył gospodarzowi jakiś papier, za który ten mu niezmiernie grzecznie dziękował.

— Cóż to za papier? zapytałem, czy oni tu na księżycu znają weksle?

— Nie, odpowiedział mi, są to wiersze, które tu zastępują pieniądze. Jaka zaś niesłychana panuje tu taniość możesz się z tego przekonać, że za wysoko płaciłem sześciowiersz. O tém co posiadam, to jest o czterech sonetach, dwóch epigrammatach, dwóch odach i jednéj eglodze, moglibyśmy objechać pół księżyca.

— O mój Boże! rzekłem, żeby téż to na ziemi miały kurs podobne pieniądze! Wieluż znam poetów, którzy umierają z głodu, a którzyby mogli wybornie żyć, gdyby właściciele gastronomicznych zakładów chcieli przyjmować taką monetę. Powiedzże mi pan, czy te wiersze służą raz na zawsze, czy idzie tylko o to, aby je przepisać?

— Nie, autor napisawszy wiersze, idzie z niemi do mennicy, gdzie zasiadają tak zwani: „przysięgli poeci państwa.“ Ci krytykują poemat i naznaczają mu pewną wartość. A wielka sumienność i znajomość rzeczy przewodniczą im przy téj ocenie. Nie myśl, aby sonet zawsze się równał sonetowi, bynajmniéj, zależy to od wewnętrznéj jego wartości.

Znają tu jeszcze inny sposób zaspakajania należytości za jedzenie i mieszkanie. Jest to weksel na pewną ilość wierszy, wypłacalny na tamtym świecie.

Wszystkie te nauczające dla mnie rozmowy, nie przeszkadzały nam odbywać naszéj drogi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Przybyliśmy nareszcie do królewskiéj stolicy. Zaprowadzono nas prosto do zamku, gdzie cały dwór przypatrywał mi się z wielkiém zajęciem, ale z większém zarazem umiarkowaniem aniżeli tłum prowincyonalnego miasta. Skoro sam król mi się przyjrzał, rozkazał, aby kogoś przyprowadzono. Za chwilę wbiegło do sali mnóstwo małp różnego gatunku, ubranych we frezy i spodnie, a między niemi duży jakiś człowiek, zupełnie tak jak ja zbudowany na dwóch nogach, ale z gęstym lasem włosów i ogromnemi wąsami.

Ujrzawszy mnie natychmiast krzyknął:

— Criado de vouestra merced.

Ja mu odpowiedziałem w podobny sposób po hiszpańsku. Ale zaledwie nas posłyszano rozmawiających, gdy wszyscy obecni poczęli klaskać w przednie łapki wołając: muszą być z tego samego rodzaju, jak się cieszą, jak radośnie mruczą do siebie, i natychmiast król polecił, aby nas razem zamknęli w nadziei, że się będziemy mnożyć.

Hiszpan opowiedział mi swoją historyę, że za pomocą wielkiéj bardzo ilości ptasich skrzydełek, dostał się na księżyc i strasznie się tém oburzał, że go tu wzięto za małpę.

— Jakto, mówił, nasz naród, który jest tak potężnym, który we wszystkich częściach świata ma swoje osady, na którego usługi Pan Bóg kulę ziemską stworzył, ma tak zostać poniżonym w mojéj osobie? Moja kastylijska duma nie ścierpi tego: wojnę wypowiem księżycowi!

Bądź co bądź, cieszyłem się choć z tego, że miałem towarzysza z ziemi, który zrozumiałym dla mnie przemawiał językiem. Jedno nam tylko było nie na rękę, to to, że sądząc, że jesteśmy samiec i samica, chciano koniecznie żebyśmy się rozmnażali.

Jednego dnia mój samiec, albowiem sądzono, że jestem samicą, powiedział mi, że do przebieżenia całéj ziemi i zupełnego nakoniec opuszczenia jéj, spowodowało go to, że nie znalazł ani jednego kraju, w którymby choć wyobraźnia była swobodną.

— Uważasz, rzekł on, choćbyś cóś najsłuszniejszego utrzymywał, jeśli nie nosisz beretu doktorskiego, jesteś idyotą, szalonym, a nawet czémś jeszcze gorszém. W czasie pobytu mego w moim kraju, chciano mnie oddać pod sąd św. inkwizy-

cyi, za to, żem się ośmielił w obec pedantów utrzymywać, że istnieje próżnia, i ponieważ nie chciałem się zgodzić na to, aby jedno ciało miało mieć większą ciężkość gatunkową od drugiego.

Zapytałem go, jakie ma dowody na poparcie tak mało upowszechnionego zdania.

— Dla dowiedzenia tego, rzekł on, potrzeba koniecznie przypuścić, że jeden tylko jest żywioł. Powietrze bowiem jest wodą, tylko bardzo rozrzedzoną, woda jest to ziemia rozpuszczająca się, ziemia zaś sama jest wodą bardzo skupioną. Tak więc, jeśli zgłębisz dokładnie własności ciał, poznasz, że jest jedno tylko ciało, które jak doskonały aktor, odgrywa na tym ziemskim padole rozmaite role, przebierając się w różnorodne suknie; inaczéj trzebaby przypuścić bytność tylu żywiołów, ile jest ciał. Zapytasz może, dla czego ogień parzy, a woda chłodzi, choć są jedném i tém samém ciałem? odpowiem ci na to, że ciała te działają stosownie do usposobienia w jakiém się znajdują. Ogień, który jest tylko wodą, jeszcze bardziej rozrzedzoną, aniżeli potrzeba, by z niéj utworzyło się powietrze, chce przemienić w siebie wszystko z czém się tylko zetknie. Tak więc żar węgla będąc ogniem najsubtelniejszym i mogącym najlepiéj przeniknąć ciała, wciska się w pory naszego organizmu i sprawia to, że się pociemy. Pot ten rozszerzony przez

ogień, przemienia się w dym i staje się powietrzem; powietrze jeszcze bardziéj rozpuszczone żarem oddziaływania nazywa się ogniem. Woda znów różniąca się od ognia tém, że cząstki jéj są bardziéj skupione, nie parzy nas z tego powodu, że będąc bardziéj skupioną, przez sympatyę, stara się bardziéj skupić ciała jakie spotyka, i zimno jakie czujemy, jest skutkiem, że ciało nasze bardziéj się skupia będąc w bliskości ziemi lub wody, które chcą zrobić je podobném sobie.

Ztąd to wynika, że człowiek mający wodną puchlinę, przerabia na wodę wszelki pokarm jaki przyjmuje; ztąd także żółciowy przerabia na żółć krew, jaką wydaje w nim wątroba. Przypuść więc, że jeden tylko jest żywioł, wszystkie ciała będą miały jednakową ciężkość gatunkową. Zrobisz mi może zarzut, że żelazo, metale, ziemia, drzewo bardziéj są przyciąganemi do środka ziemi, aniżeli gąbka, z tego powodu, że ta ostatnia napełnioną jest powietrzem, które jéj utrudnia spadanie do ziemi. Nie ztąd to jednak pochodzi, bo chociaż kamień pada na ziemię z większą szybkością jak piórko, oboje mają jednakową ciężkość gatunkową.

I mówił bez końca mój hiszpan. A umysł jego tak był poważno-naukowy, że nigdy nie zniżył się do jakiegoś zwykłego, życiowego przedmiotu. Broń Boże! zawsze bujał w sferach czysto naukowych.

Gdym się nie chciał zgodzić na jego dowodzenia (a trafiało się to często), wówczas wykrzykiwał z wielkiém współczuciem nademną:

— Jakże żałuję, że tak wzniósły umysł jak pański, nie jest w stanie wybić się z pod wpływu tych odwiecznych przesądów, które nie pozwalają wiedzy zajaśnieć w całém jéj świetle. Chciej że wierzyć a raczéj przekonać się, że wbrew temu co twierdzi Arystotus i czemu poklaskuje w téj chwili cała Francya, wszystko zawiera się we wszystkiém; i tak w wodzie jest ogień, a w ogniu jest woda, a w wodzie powietrze, a w powietrzu ziemia, łatwiéj to jest dowieść, aniżeli przekonać się o tém; słuchaj więc!

I znów dowodzenia bez końca. W każdym razie uczone te rozprawy mogły mieć miejsce tylko w nocy, w dzień bowiem wciąż nas odwiedzano, a towarzysz mój utrzymywał, że gdy mówi, a ktoś mu przerywa, traci natychmiast związek myśli i nie może iść daléj.

Mnóstwo osób przychodziło do naszéj klatki; jedni cmukali na nas, drudzy rzucali nam ciasta, orzechy lub zioła. Karmiono nas przy tém bardzo starannie i nader czysto utrzymywano. Sam nawet król z królową zaglądali do nas i najjaśniejsza pani idąc za natchnieniem swéj kobiecéj ciekawości, oglądała mnie bardzo niedyskretnie.

W czasie tych ustawicznych odwiedzin zdołałem nareszcie tyle skorzystać z krajowego języka, żem pewnego razu zrozumiał co król mówił w méj obecności do swéj małżonki i wtrąciłem nawet kilka wyrazów do rozmowy, rozumie się kalecząc nielitościwie ich muzykalną mowę.

Król zauważywszy to, zmienił nagle dotychczasowe o mnie zdanie i zaczął mniemać, iż muszę być dzikim człowiekiem. Wnet rozeszło się po całym księżycu, że owe dwie szczególniejsze sztuki małych na dwóch nogach żwierzątek, nie należą bynajmniéj do żadnego rodzaju tych ostatnich, lecz że to są dzicy ludzie, skarłowacieli zapewnie przez niewygody odosobnionego w dzikości życia, i którzy z przyczyny widać organicznéj słabości swych przodków tak nieszczęśliwie są upośledzeni od przyrody, że nijak nie mogą się utrzymać na przednich nogach, lecz cały ciężar swego jakkolwiek małego ciała, zmuszeni są opierać na tylnych. Zdanie to wyszedłszy od króla i będąc bez przestanku powtarzaném przez massy, byłoby niewątpliwie uzyskało obywatelstwo, gdyby nie uczeni, którzy mu się silnie oparli.

— Jakto, mówili oni, nazywać ludźmi żwierzęta, gdzie tam gorzéj daleko, bo potwory! jest to bezbożnością, szaleństwem!

— Słuszniéj by już daleko było, dodawali mniéj

zapalczywi, przypuścić do przywileju ludzkości, a zatém i nieśmiertelności domowe nasze żwierzęta. One przynajmniéj urodziły się i wzrosły na naszéj ziemi, pośród nas, ale te potwory jakieś, które powiadają, że przybyły tu z jakiejś planety, pełniącéj dla nas obowiązki księżyca; a zresztą zważcież wszystkie cechy wyróżniające ich od nas: my chodziemy na czterech nogach, bo Pan Bóg stwarzając nas, nie chciał, abyśmy byli narażeni co chwila na upadnięcie, nie troszcząc się zaś o los tak nędznych istot jak te, upośledził ich gorzéj aniżeli wszystkie żwierzęta, opierając ich ciało na dwóch tylko podstawach. Oni są nawet gorzéj daleko uposażone od przyrody aniżeli ptaki, te bowiem mają przynajmniéj w zamian dwóch tylko nóg skrzydła, któremi się ratują w razie jeżeli kto na nich napada. Gdy tym czasem te nieszczęśliwe stworzenia, są zupełnie pozbawione środków ucieczki w razie gwałtownéj potrzeby. A cała ich postać do czego podobna? ta twarz wzniesiona do góry, zdająca się ciągłą zanosić do nieba skargę za to, że ją utworzyło. My mamy głowę spuszczoną na dół, bo nam nic nie brakuje na ziemi do naszego szczęścia. Nie potrzebujemy ją wznosić do góry, bo się nam już nic z tamtąd nie należy.

Codziennie słyszałem podobne rozmowy, prowadzone u kratek méj klatki. Jedno im tylko było

nie na rękę; lud, który mnie również nawiedzał, słyszał mnie nieraz przemawiającego dość poprawnie miejscowym językiem, nie mogło mu się więc pomieścić w głowie, abym mógł być małpą. Wówczas uczeni, po długich naradach, zgodzili się uznać mię za papugę pozbawioną piór, wychodząc z téj zasady, że podobnie jak każdy ptak mam tylko dwie nogi. I rzeczywiście przez umyślny rozkaz rady wyższéj, zostałem zaszczycony nową tą godnością i natychmiast osadzono mnie w ptasiéj klatce.

Tłumy mnie odwiedzających jeszcze się bardziéj zwiększyły. W całém mieście byłem przedmiotem ciągłéj rozmowy i najrozmaitszych przypuszczeń. Wszyscy nie mogli dość się nachwalić méj zmyślności, a nawet jak mówili niektórzy rozsądku. Władze znów zostały zmuszone wydać nową do ludu odezwę, w któréj znajdował się wyraźny zakaz przypisywania wszystkich mych dowcipów rozsądkowi. Zdanie jednak o mnie powzięte przez ogół oddziałało i na niektóre wyższe klassy. Powstało z tąd rozdwojenie w całém państwie, utworzyły się dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa, jedno utrzymując, że muszę być człowiekiem, drugie najzawzięciéj przeczące temu.

Dla pogodzenia zwaśnionych tym sporem umysłów, uradzono, że trzeba otworzyć komitet znaw-

ców i naturalistów i wziąść mnie jeszcze raz pod bardzo ścisły egzamen.

Komitet ten jednak nie wiele mi pomógł, bo po tysiącznych głębokich filozoficznych rozprawach, jakie prowadzili ze mną światli jego członkowie, zostałem awansowany tylko na strusia z téj przyczyny, żem nie miał skrzydeł i nazad odprowadzony do klatki.

Bądź co bądź, skorzystałem na tém wiele z tego względu, że wprawiłem się jeszcze lepiéj w ich język, tak, że mogłem nim płynnie mówić o wszystkiém.

Między osobami, które mnie najczęściéj odwiedzały, znajdowała się młodziuchna jedna panieneczka z przybocznéj służby królowéj.

Miałem u niéj wielkie łaski. Z początku przynosiła mi orzechy i ciastka, ale późniéj widząc mnie tak rozsądnie jéj zawsze dziękującego za odebrane dary, przestała wierzyć w brew zdaniom uczonych, żebym miał być papugą, a następnie strusiem i nabrała ochoty do bliższéj rozmowy ze mną.

Słuchała z nadzwyczajném zajęciem, gdym jéj opowiadał o naszéj ziemi, o naszych zwyczajach i obyczajach. Nakoniec do tego stopnia podobał się jéj nasz świat z moich opowiadań, że mnie zaklęła na wszystko, abym ją zabrał ze sobą jeśli kiedy-

kolwiek będę miał sposobność wyjechać z księżyca.

Ale i ona ze swéj strony opowiedziała mi mnóstwo bardzo zajmujących rzeczy. Przesiadywała bowiem u méj kratki po kilka godzin dziennie, w końcu byłaby się nawet zgodziła całkowicie dzielić ze mną los choćby w klatce, gdyby ją nie wstrzymywały żelazne szpychy i zamki, któremi zamykano mą siedzibę.

Tymczasem spory, których wiecznym byłem przedmiotem, znów się z nowym podniosły żarem. Znów zwołano komitet uczonych, i stawiono mnie przed nim. Jeden z najstarszych i najuczeńszych profesorów zadał mi kilka pytań z dziedziny nauk naturalnych, i zdaje się, że był dość zadowolnionym z mych odpowiedzi. Następnie wyłożył mi swoje myśli i przekonania o budowie świata, które również w moim umyśle znalazły przyjazne odbicie, byłbym się nawet całkowicie zgodził na jego dowodzenia, gdyby nie to, że przy końcu zaczął twierdzić, iż świat jest wieczny. Usłyszawszy więc coś tak przeciwnego zasadom méj wiary, oburzyłem się niezmiernie; i nie zważając na skutki jakieby ztąd wyniknąć mogły, krzyknąłem z całéj siły:

— Teraz przekonywam się, że wasz świat nie jest niczém inném jak tylko księżycem, skoro podobne na nim istnieją wyobrażenia.

— Jakże możesz utrzymywać cóś podobnego, odrzekli mi, widzisz tu przecie rzeki, jeziora, góry, widzisz nareszcie ludzi, czyż cię to aż nadto nie powinno przekonywać, że nasza planeta jest światem, a przeciwnie ta, z któréj ty się mienisz być rodem, księżycem tylko? utrzymywali Selenici.

— Co mi do tego, odparłem, zapominając się już, Arystoteles twierdzi, że to księżyc i ja ślepo tym razem chcę się trzymać jego zdania.

Głośne śmiechy wybuchły w całéj sali, ale gdy owo pierwsze śmieszne przeminęło wrażenie, zewsząd dały się słyszeć głosy, że jestem bezbożnikiem, bluźniercą i żem zasłużył na utopienie. (Jest to jedyny rodzaj kary śmierci, znany na księżycu).

Zostałem odprowadzony do klatki, a tymczasem wyprawiono deputacyę do króla z prośbą, aby podpisał wyrok méj śmierci. Król pozwolił na ten wymiar sprawiedliwości, ale zastrzegł abym przed wykonaniem wyroku stawiony był przed całém zgromadzeniem; żeby mi dano głos i pozwolono raz jeszcze publicznie się bronić. Zostałem więc po raz trzeci wyprowadzony z méj klatki. Stanąłem przed surowém zgromadzeniem sędziów i nie mają nic do powiedzenia na swą obronę, przygotowywałem się do śmierci, gdy w tém jakiś człowiek wszedł na trybunę i przemówił w mojéj sprawie:

— Sprawiedliwi! możecież wydawać wyrok śmierci na tego człowieka, czy tam małpę, lub wreszcie papugę, za to, że utrzymuje iż księżyc jest światem, z którego on tu przybył? Przypuszczacie jednak w końcu, że on jest rzeczywiście człowiekiem, skoro zbieracie się dla sądzenia go, bo zwierzęta nie podlegają naszéj sprawiedliwości, w prawne ujętéj formy. Ona dla ludzi tylko istnieje. Przyjmując zaś to za zasadę, jesteście sami z sobą w sprzeczności obchodząc się z nim tak surowo. Bo przecież prawa wasze głoszą wolność nieograniczoną człowieka, nie zabraniają one nikomu myśleć i wyobrażać sobie, co tylko stanowi przedmiot myśli lub wyobraźni. Za cóż to wyjątkowe, nie zdarzające się nigdy u nas zgwałcenie odwiecznych zasad naszéj sprawiedliwości, względem tego nieszczęśliwego?.....

I długo w ten sposób mówił moj obrońca, a całe zgromadzenie uczonych prawników i filozofów i król sam między nimi, słuchało go w milczeniu. Kiedy skończył, król pierwszy wstał z miejsca i oświadczył publiczności, że odtąd mam używać wszelkich praw człowieka i być niezwłocznie wypuszczonym na wolność. Osądzono tylko za słuszne, abym przed tém jeszcze, odwołał publicznie z zachowaniem przepisanego w téj mierze obrządku, wyrzeczone zdanie o ich planecie, a to z tego

względu, że lud mniéj oświecony mógłby się tém zgorszyć, mógłby wpaść w niewiarę, a ztąd dla państwa mogłyby bardzo złe wyrodzić się skutki.

Przystąpiono więc niezwłocznie do obrządku odwoływania. Wsadzono mnie w tym celu przybranego w świetny nadzwyczaj strój, na ogromny wóz tryumfalny i zaprzężono do niego czterech najpierwszych dygnitarzy państwa. W ten sposób obwożono mnie po całém mieście, zatrzymując się na placach i rogach ulic. Wówczas musiałem wstawać z siedzenia i wołać na cały głos:

— Narodzie! objawiam ci publicznie i uroczyście, że księżyc, na którym mieszkacie nie jest bynajmniéj księżycem, lecz światem. Świat zaś z którego jestem rodem, nie jest światem ale księżycem.

Powtórzyło się to na pięciu znaczniejszych rynkach miasta, poczém spostrzegłem mego obrońcę, wyciągającego do mnie rękę, aby mi pomódz zsiąść z mego tryumfalnego wozu.

Proszę sobie wystawić moje zadziwienie, gdym poznał w nim mego przyjaciela, owego słonecznego obywatela Szatana Sokratesa. Rzuciłem się w jego objęcia i całowałem go przez całą godzinę.

Zabrał mnie późniéj ze sobą i już nie rozłączaliśmy się przez cały ciąg pobytu mego na księżycu. Pokazywał on mi mnóstwo ciekawych rze-

czy, zapoznał mnie ze wszystkiemi naukowemi znakomitościami, które zwalczywszy w sobie ów nieszczęśliwy dla mnie przesąd co do méj nieludzkiéj natury, bardzo odtąd były ze mną grzeczne i uważnie zawsze słuchały mych dowodzeń.

Za wiele by nam to zabrało czasu, gdybym się chciał wdawać we wszystkie szczegóły tego com widział i słyszał. Na każdym kroku uderzała wzrok mój jakaś nowość i nic dziwnego; przysłowie mówi: „co kraj to obyczaj,“ a możnasz porównać różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jednym a drugim krajem, z różnicą istniejącą między dwiema tak odległemi od siebie planetami? Znalazłem tu wszystko inne od *a* do *z*, aniżeli na naszéj ziemi. Odkąd przestano mnie uważać za małpę, nie mogę się użalać, było mi bardzo wygodnie żyć tutaj. Miałem przytém tak rozsądnego, tak doświadczonego przyjaciela i doradcę z tego poczciwego Szatana! Z nim téż najczęściéj spędzałem wieczory, bawiąc się zawsze poważną jakąś rozmową. Czytaliśmy razem bardzo pożyteczną książkę pod tytułem: „Historya państw na słońcu“ i drugą: „Historya iskier.“ Darował mi nawet oba te dzieła z obowiązkiem, abym je przetłómaczywszy wydał na ziemi, jeżeli kiedy wrócę na nią. Mówię przetłómaczywszy, należało by raczéj powiedzieć przerobiwszy, bo to nie była książka jak każda inszą;

muszę ją opisać bo warto. Najprzód oprawa jéj była tak bogatą, że na ziemi o podobnéj nawet wyobrażenia nie mają. Jedną jéj okładkę stanowił olbrzymi dyament, drugą zaś prześliczna perła. Ale mniejsza o to, najwięcéj mnie zdziwiło, że w téj książce nie było wcale kartek; natomiast znajdowały się w niéj sprężynki, strasznie pokomplikowane i mikroskopowych rozmiarów. Na zewnątrz okładek wychodził maleńki sztyfcik, za naciśnięciem którego, książka opowiadała dźwięcznym głosem wszystko co się w niéj zawierało, zupełnie jakby usta żyjącego człowieka.

Po kilku latach pobytu na tym poczciwym planecie, na którym tyle rozmaitych z kolei ról odgrywałem, na którym byłem potworem, małpą, dzikim człowiekiem, papugą, strusiem, a nakoniec wielce od wszystkich uczonych poważanym człowiekiem, po kilku mówię latach na nim pobytu, obudziła się jakoś we mnie uśpiona miłość rodzinnego kraju i zachciało mi się doń powrócić. Niepodobieństwo jednak przyprowadzenia do skutku tych życzeń, sprawiło, żem bardzo posmutniał. Rzadziéj się śmiałem, straciłem apetyt, tak że aż mój Szatan to zauważył.

— Powiedz mi, rzekł pewnego razu, zkąd pochodzi twój smutek? zdajesz mi się być czegoś niespokojny, pragnący; powiedz, zwierz mi się,

zasłużyłem przecie, o ile mi się zdaje, na twe zaufanie.

Wyjawiłem mu więc otwarcie, że przyczyną mego smutku jest tęsknota.

— Jakto, chcesz powrócić na ziemię?

— A tak, odrzekłem.

— A czegoż się smucisz?

— Tego, że nie widzę sposobu dostania się na nią.

— Czemu żeś mi tego nie powiedział wcześniéj? nie potrzebnieś się martwił tyle czasu, w każdéj chwili mogę cię zdrowo i szczęśliwie dostawić na wasz świat.

Niezmiernie się ucieszyłem, gdy mi to powiedział i natychmiast począłem myśleć o przygotowaniach do podróży.

— Przedewszystkiém, powiedział mi Szatan, winieneś podać prośbę o paszport do króla, a nawet wartoby pojechać osobiście podziękować mu za wszystkie względy jakie miał dla ciebie.

— Niech i tak będzie, odrzekłem, i zabrałem się do króla.

Niezmiernie grzecznie mnie przyjął ten zacny monarcha, żałował, że tak rozumny i uczony człowiek jak ja opuszcza jego państwo. W końcu zaś życzył mi szczęśliwéj drogi i podpisał mi paszport z jednym wszelako warunkiem, żebym przy-

bywszy na ziemię, opisał moim współziomkom z wszelką sumiennością wszystko com widział na księżycu, aby go już nadal nie uważali za nocną tylko latarkę, lecz za świat zaludniony.

Kiedym powrócił do domu, zastałem Szatana gotowego już do drogi.

Zapytał mi się tylko:

— Gdzie chcesz wysiąść na ziemi?

— Bogaci mieszkańcy Paryża, zwykle choć raz w życiu bywają w Rzymie, jeśli ci to więc nie zrobi różnicy, wysadź mnie w Rzymie. Ale, powiedz że mi jakiego rodzaju będzie ta maszyna, w któréj mamy odbyć tak długą drogę?

— Maszyna będzie ta sama, na któréj jechałeś pierwszy raz z miasta, gdzie to cię więzili w ratuszu.

— Jakto? rzekłem zdziwiony, czyż powietrze pod twemi nogami zgęści się do tego stopnia, że będziesz mógł po niém równie bezpiecznie stąpać jak po ziemi? nie sądzę, aby to miało miejsce.

— Ach jakie to wszystko zabawne, ta wasza wiara i niewiara. Powiedziałem ci już przecie, iż słabe rozwinięcie waszych zmysłów, nie dozwala wam widzieć i rozumieć mnóstwa najprostszych rzeczy. Próżnobym więc czas tylko tracił chcąc ci wytłumaczyć w jaki sposób dostaniemy się na ziemię. A zresztą możebyś mi w końcu nie uwierzył.

Powiedzże mi, jak to czarownicy na waszym świecie chodzą wybornie po powietrzu i prowadzą nawet za sobą całe zastępy wojska? Jakimże sposobem sprowadzają oni na wasze niwy grad, deszcz, śnieg i tym podobne klęski? Zaufaj mi tylko a ręczę ci, że źle na tém nie wyjdziesz.

— Rzeczywiście, odrzekłem, dałeś mi tyle dowodów swego rozumu i życzliwości ku mnie, że zasługujesz na ślepą z méj strony wiarę.

Zaledwie dokończyłem tych wyrazów, zerwaliśmy się w powietrze jakby nadprzyrodzoną jakąś popychani siłą.

— Usiądź mi na karku, rzekł, trzymając mnie w swych rękach, tak i mnie i tobie zbyt byłoby niewygodnie.

Usłuchałem. W przeciągu trzydziestu sześciu godzin przebyliśmy całą przestrzeń dzielącą ziemię od księżyca. W pierwszéj ćwierci drugiego dnia podróży spostrzegłem, jakkolwiek bardzo niewyraźnie, zarysy starego naszego lądu, to jest Europę, Azyę i Afrykę, które bez przesady wydały mi się tak małe, jak je przedstawiają na średniéj wielkości mapkach. Odtąd to przestałem wierzyć tym kłamcom, którzy twierdzą, iż młyński kamień rzucony z księżyca spadałby na ziemię trzysta sześćdziesiąt lat, skoro ja i mój towarzysz, lżejsi przecież od niego, spadaliśmy tylko półtora dnia.

Brzegi Europy coraz już jaśniéj rysowały się przed mym wzrokiem, zdawało mi się nawet, że mogę już rozróżniać drobniejsze wklęśnięcia i wystające cząstki brzegów włoskiego półwyspu; wreszcie i powierzchnia już ziemi uwydatniła mi się; jaskrawemi kropkami świeciły na niéj miasta, czerwieniały lasy i niższe góry, a wyższe pokryte śniegiem, wysuwały białe swe czoła do góry.... gdy w tém duszący jakiś siarkowy wyziew owionął mnie i zemdlałem.

Domyśliłem się późniéj, że musieliśmy właśnie w téj chwili przelatywać nad Wezuwjuszem.

Gdym się ocknął, ujrzałem się na przecudnéj pochyłości wzgórka, a w około mnie stało kilku pasterzy mówiących do siebie po włosku. Nie wiedziałem co się stało z Szatanem; spytałem więc pasterzy czy go czasem nie widzieli. Poczciwe chłopy usłyszawszy to przeżegnali się i z niedowierzaniem zaczęli mi się przypatrywać, jak gdybym sam był złym duchem. Widząc to przeżegnałem się natychmiast, żeby ich przekonać, iż jestem chrześćjaninem i prosiłem ich, aby mnie zaprowadzili do jakiéj chałupy, w któréjbym mógł wypocząć po tak dalekiéj i męczącéj podróży. Uczynili zadość zacni ludzie memu żądaniu i zanieśli mnie do wsi. Zaledwie mnie jednak wprowadzili na podwórko, gdy wszystkie psy, począwszy od wyżeł-

ków aż do brytanów tak zażarcie zaczęły na mnie szczekać i ujadać, że gdyby nie to, że ludzi było dużo na około mnie, pewnieby mnie rozszarpały w kawałki. Gościnny gospodarz chałupy, do któréj przyniesiony zostałem, zamknął mnie w oddzielnéj komorze, gdzie na wybornie, *po ziemsku* przygotowaném posłaniu, nadzwyczaj smacznie zasnąłem. Psy jednak całą noc pod memi drzwiami szczekały, co zauważywszy gospodarz, zaczął się już na mnie krzywo cokolwiek patrzeć. Widać, że mnie podejrzewał o tajemne związki ze złemi duchami. Nazajutrz jednak domyśliłem się przyczyny tego szczekania, a tą był świat, z którego powróciłem. Wiadomo jak silnym jest wpływ pełni księżyca tak na psy jako téż i na inne istoty; wpływ ten poznać można po wewnętrznéj niespokojności zwierząt, objawiającéj się przez silne i nieustanne szczekanie. Kilkoletni mój pobyt na tym planecie, napoił mnie zupełnie różną od ziemskiéj, właściwą tylko księżycowi atmosferą, tak jak marynarze przez długoletnie podróże nabierają zapachu wody morskiéj. Psy więc poczuwszy woń księżyca uległy zwykle na jego widok doznawanemu niepokojowi. Dla pozbawienia się więc tego zapachu, leżałem rozciągnięty przez trzy lub cztery godziny na tarasie, wystawiony na działanie słońca. Poczém psy nie doznając więcéj wpływu, przez który nie

mogły mnie ścierpieć, przestały szczekać i powróciły każdy do swéj budy.

Nazajutrz udałem się w drogę do Rzymu, gdzie mi pokazywano szczątki tryumfów kilku wielkich ludzi, jak również i całych wieków; podziwiałem piękne rozwaliny i jeszcze piękniejsze poprawki, porobione w nich przez nowożytnych. Nakoniec po piętnastodniowym tam pobycie, w towarzystwie pana Cyrano, mojego kuzyna, który zaopatrzył mnie w to, bez czego nie byłbym w stanie powrócić do mego rodzinnego kraju, to jest w pieniądze, udałem się do Civita Vecchia i wsiadłem na statek, który mnie miał odwieść do Marsylii.

W czasie całéj drogi myślałem tylko o dziwnych wypadkach podróży, którą odbyłem. Zacząłem nawet zaraz pisać pamiętniki, a kiedym powrócił, uporządkowałem je o ile tylko słabość, która mnie ciągle w łóżku zatrzymywała, pozwoliła na to. Przewidując jednak jaki będzie koniec mych prac i badań, dla dotrzymania słowa danego radzie państwa księżycowego, prosiłem pana Bret, mego niezmiennego i najdroższego przyjaciela, ażeby je wydał na świat razem z „Historyą rzeczypospolitéj słonecznéj“ i z „Historyą iskier“ i innemi podobnego rodzaju utworami.

* * *

Usłyszawszy od tego młodzieńca tak sumienne sprawozdanie o wszystkiém co jest najciekawszego na księżycu, czułem mą ciekawość prawie już zaspokojoną, a zważywszy wszystkie niezbyt zazdrości godne koleje, jakie tenże przechodził w pierwszych latach swego pobytu na tym planecie, jeszcze mniéj miałem ochoty własném sprawdzać doświadczeniem to, co mi opowiedzianém zostało.

Przeszła mi więc myśl po głowie powrotu na ziemię i zostając jeszcze pod wpływem poetycznego opowiadania tego uroczego młodziana, zacząłem na prawdę marzyć o tém, jak wesoło będę z memi towarzyszami spędzał czas na opowiadaniu tak dziwnych a tak ciekawych rzeczy, które się dzieją na księżycu.

— O czém się tak zamyśliłeś? zagadnął mnie.

To zapytanie przerwało nić moich marzeń i zwróciło mnie do rzeczywistości.

— Zamyśliłem się, odrzekłem, o mojéj ziemi, o kraju mym rodzinnym, o wesołéj chwili powrotu..... ale to były marzenia tylko, bo jakże się tam dostać? Chyba że mnie zapoznasz z tym poczciwym Szatanem.

— Nie zapoznam cię z nim, gdyż sam nie wiem gdzie się obecnie znajduje, ale pociesz się, posia-

dam te same co on własności przenoszenia się z planety na planetę. Wprawdzie nie miałeś jeszcze czasu stęsknić się do domu; ale jeżeli tak jest, nie wchodząc więc w przyczyny, skutki i t. p. rzeczy, jestem na twoje usługi. Możemy natychmiast zjechać na ziemię, a jeżeli weźmie cię jeszcze chętka tego oryginalnego podróżowania, wówczas zgłoś się do mnie, a dalsze jeszcze przedsięweźmiemy wycieczki, na słońce naprzykład lub, na odleglejszą jeszcze jaką planetę.

Gdy słów tych domawiał, poczułem jakby lekkie usypiające kołysanie, zmróżyłem oczy i usnąłem. Sen mój był dziwnie przyjemny. Nie byłbym w stanie opowiedzieć wszystkich cudów, które w nim widziałem, ale i przebudzenie nie było mniéj urocze. Nastąpiło ono na ziemi, w okolicach Paryża, w tém samém miejscu, z którego po raz pierwszy wybrałem się w nadpowietrzną wędrówkę przy pomocy baniek szewckich, napełnionych rosą i wystawionych na działanie promieni słonecznych.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

str.

Wstęp I
Selenografia III
Przedmowa XXXI
Podróż z ziemi na księżyc 1
Dom doktora Gerwida na księżycu 7
Opowiadanie doktora Serafina 9
Miłość. Rozpacz 15
Kąpiel zapomnienia 19
Oświata na księżycu 25
Skrzydła 27
Noc i myśli 31
Układy 33
Latanie skrzydłami i czuciem 36
Książe wielkorządca 40
Książe Neujabi 46
Telegraf akustyczny 53
Lawinia 58
Smętarz 64
Wynalazki 70
Kuracya 76
Wdzięczność pyłaczen 80
Szarlatanizm 85
Nieprzyjęty podarunek 88
Harfa 95
Podróż z Jasnogrodu do Drzemniawy 100
Podstępy 105
Baron Drzejna 113
Zakład somnopatyczny 116

str.
Przebudzenie 123
Wesele na obłoku 128
Przeszłość 131
Pobyt na księżycu Sawiniusza Cyrano de Bergérae, oficera gwardyi francuzkiéj. 137

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
1400949

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001020455468